Nie może nas to pocieszać, że w Łomży z budownictwem mieszkaniowym jest jeszcze gorzej niż w Łodzi!

Gdzie są klucze do nowego mieszkania?

ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

Podobno w Łomży jest jeszcze gorzej. Cóż, Łomża też kawałek Polski, ale żadna pociecha to, że jest jedno województwo, którego budownictwo legło jeszcze bardziej.

Efekty łódzkiego budownictwa, w postaci mieszkań oddanych w minionym roku, to już nie jest nawet wynik słaby. To po prostu mizeria. **Wykonano 74 proc. planu**, co w klasyfikacji województw dało nam 48 miejsce. Oczywiście, plany powstają na różne sposoby, kolano kolanu nierówne w dopychaniu.

Trzeba przyznać, że od początku był to plan wzięty z sufitu nie wybudowanego mieszkania. Fantasmagoria. Tu zamierzam stanąć w obronie **Wydziału Budownictwa Urzędu Miasta Łodzi:** po zbilansowaniu planów przedsiębiorstw i lekkim pchnięciu kolanem, możliwości określono na 4 tys. mieszkań. Podczas sesji RN ktoś rzucił propozycję, aby plan podwyższyć o 400 mieszkań. I bez sprzeciwu to **przegłosowano, nie licząc się z faktami.** Prestiżu to radnym miało dodać, a teraz okazuje się, że — ujęło.

Wykonanie planów to jednak sprawa drugorzędna. Istotniejsze jest to, że nasze lokalne budownictwo jak już popadło w kryzys, to tkwi w nim permanentnie, podobnie jak cała gospodarka, tyle że głębiej i w sposób bardziej widoczny. **W 1976 r. oddano klucze do 11 850 mieszkań**, w roku minionym — **do 3 288.** Efekt jest niemal czterokrotnie gorszy.

Lata siedemdziesiąte to już inna epoka? Dobrze, inna. Na tapetę weźmy rok **1980**, trudny ze względu na sytuację społeczną i gospodarczą. Rzeczywiście, był to zły rok dla budownictwa Łodzi, bo efekty były niższe o 44 proc., wybudowano wówczas **5 972 mieszkania.** Ktoś trafnie dostrzeże, że szło to jeszcze dawnym, pokrętnym rozmachem „epoki". Przypomnę więc, że **w 1985 r.** do nowych bloków wprowadziły się **4 624 rodziny** i zapanowało przygnębienie, że tak mało — pamiętam dobrze narady, podczas których wypracowywano programy na lepszą przyszłość, bo

6

■ **Dziewczynka z fotografii** — str. 4

■ **Tygrys w jaśminach** — str. 1 i 7

■ **W Kazachstanie u progu lat czterdziestych** — str. 10

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 14 (1618) ROK XXXII — 2 KWIETNIA 1989 ROKU — CENA 80 ZŁ

Powstanie Pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Łódź", warto więc wiedzieć, co to była Armia „Łódź", z jakich składała się jednostek, jak i gdzie walczyła?

Ułani, ułani, malowane dzieci

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Kto nie widział defilującego szwadronu ułanów ten nie wie, co to jest piękne wojsko. Ułani rzeczywiście wyglądali jak malowane dzieci. Kolorowe otoki na czapkach, kolorowe proporce na lancach, konie tej samej maści. Orkiestra na koniach. Chrzęst broni, rzemieni od uprzęży, stukot końskich kopyt. Wszystko to tworzyło niezapomniany widok, niezapomniane dawało wrażenie. Ale kawaleria odeszła już w przeszłość.

Władysław Sikorski w wydanej w 1934 roku książce „Przyszła wojna" uznał, że wiek XIX przyniósł kryzys kawalerii. Jeżeli zachowało przewagę nad piechotą, to jedynie ze względu na możliwość pokonania trzy razy takiej odległości, jaką w ciągu dnia mogła osiągnąć piechota. Jeśli uznano, że piechota w ciągu dnia mogła przejść maksymalnie 30 km, to kawaleria osiągała dwa lub trzy razy tyle, a więc 60 do 90 km. Autor przewidywał, że kawaleria może służyć do „opanowania i utrzymania wysuniętych naprzód pozycji, aż do chwili nadejścia sił głównych, przedłużenie i osłona flanki lub załatanie dziury we froncie własnym albo też szybkie rzucenie się w wyrwę, dokonaną we froncie przeciwnika, a względnie po rysie odwrotu i stworzenie warunków dla mającej nastąpić kontrofensywy". Oto jak widział rolę kawalerii w przyszłej wojnie gen. Władysław Sikorski.

Generał Juliusz Rómmel przygotowując się do obrony

brygadom kawalerii, jakimi miał dysponować, wyznaczył właśnie zadanie osłaniania tych rejonów, gdzie Armia „Łódź" stykała się na północy z Armią „Poznań" i na południu z Armią „Kraków". Styk w rejonie **Kalisza** i **Ostrowa Wielkopolskiego** broniła 25 Dywizja Pie-

4

Rys. Dariusz Romanowicz

Trwa dyskusja o wpływie śpiewu słowika na rozwój dorożkarstwa, a drzewa umierają.

Tygrys w jaśminach

Rozmowa z inż. ANDRZEJEM WIERCIOCHEM, wojewódzkim konserwatorem przyrody w Łodzi.

— Wiosna maszeruje weselnie przez pola, lasy i łąki, a pan wypatruje, czy w przyrodzie nie zbiera się jakiś kondukt żałobny.

— Kiedy jeden człowiek urządza przyrodzie smutne pogrzeby, drugi musi temu zapobiegać, aby mogła przyjść w pełnej krasie kolejna wiosna. I szczęście, że mam jeszcze coś do uchronienia przed degradacją. Bo do 1975 roku marginesową pieczę nad zielenią sprawował urzędnik z wydziału rolnictwa. Po podziale administracyjnym, gdy powstało kadłubowe województwo, uznano, że nie ma w nim żadnych krzaczków do ratowania, i Łódź zrezygnowała z konserwatora przyrody. Dopiero gdy zabrakło nam tlenu w płucach, kiedy Łódź stała się jednym z 27 okręgów zagrożenia ekologicznego i gdy ok. 3 tys. ha lasów znalazło się w I strefie zagrożenia, w 1985 roku powołano stanowisko konserwatora przyrody. Objąłem je bez wahania.

— Skąd się pan wziął?

— Z typowego łódzkiego podwórka, jakich tysiące w mieście. Urodziłem się w Łodzi, mam 37 lat, wyrastałem z majtek przy ul. Obrońców Stalingradu. Cała przyroda dla mnie był park na Zdrowiu i w Helenówku, no i park „Śledzia". Ale przede wszystkim stanowiło ją kilka drzew na własnym podwórku. To była nasza oaza zieleni, dbaliśmy o te drzewa, one do dziś tam rosną, zadbane, ogrodzone...

— Chciało się wyjść z otoczenia murów w przestrzeni, w świat zieleni?

— To naturalne w chłopięcym wieku. Wpływy lektur, Indianie, tropiciele śladów, szlachetni traperzy, wspaniały Bari, syn Szarej Wilczycy... Ciągoty przyrodnicze podsycał nauczyciel biologii, a w rodzinie byli leśnicy z nadleśnictwa Skierniewice.

— No i wyrastał pan w okresie postępującej degradacji łódzkiej przyrody.

— Wie pan, oczyma dziecka jakoś się tego nie dostrzegało. Kiedy zacząłem studiować leśnictwo na SGGW, zobaczyłem, że Warszawa jest bardziej zielona od Łodzi. Widziałem też inne zielone miasta w Polsce. Każdy, kto po dłuższej nieobecności wysiada na dworcu Fabrycznym, widzi ponurą szarzyznę.

— Ta szarzyzna towarzyszy wszędzie, nawet gdy chce się odetchnąć w parku. Stan łódzkich parków jest tragiczny, panie inżynierze.

— Coś panu powiem. Ożywiło się zainteresowanie ochroną środowiska, ale tylko w zakresie potrzeb. Konserwator przyrody się na tym zna i jak coś powie, to sprawa natychmiast będzie załatwiona. A ja mam obowiązki typowo harcerskie: „Konserwator przyrody czuwa nad tym, czuwa nad tym i nad tym...". Zakres obowiązków szeroki, co nie zawsze odpowiada możliwościom, bo przecież ja jestem sam. A jak chodzi o zieleń miejską, to niewiele mam do zadania, bo to leży w gestii gospodarki komunalnej. Mogę się przyczepić do Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego, gdy źle się dzieje z drzewami — pomnikami przyrody, czy też w parku Źródliska, który cały jest pomnikiem przyrody. Moja władza ogranicza się do około 200 drzew i alej — pomników przyrody. No, może trochę więcej... Bo na przykład korzystnie przedstawia się sprawa 7 parków zabytkowych. Tutaj dobrze układa się współpraca z konserwatorem zabytków. Konsultacja, wspólne stanowisko, choć nie jest to obligatoryjne. W sprawie rezerwatów także mam coś do powiedzenia. Ale gdy chodzi o zieleń miejską, to mogę coś tam skonsultować, o coś poprosić i na tym koniec.

— Zaraz! To w mieście jest pan całkowicie bezsilny?

— Czasem coś mi się udaje. W parku Adama Mickiewicza chciano ułożyć kolektor między drzewami. Musiałem się sporo nawojować, żeby przenieść kolektor w aleję, aby nie wycinać tylu drzew. Z inicjatywy ŁPO wysoka komisja uznała, że w projektowanej waloryzacji odcinka od A. Struga do Nawrot trzeba usunąć 11 srebrnych klonów i posadzić jarzębiny. Sprzeciwiłem się temu, bo kiedy te jarzębiny wyrosną, i czy w ogóle wyrosną? A kiedy inna wysoka komisja, która ma się wypowiedzieć w sprawie

7

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32 89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32 59 11

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36-80-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa Książka Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23, 00 958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 744 D-14.

Przegląd prasy

Nazywam się Mona Lisa del Giocondo. Mam 19 lat. Mieszkam we Florencji. Niedawno wyszłam za mąż. Spodziewam się dziecka.

Oto wizytówka najsławniejszej kobiety świata. Jej zagadkowy, ledwo uchwytny uśmiech intryguje szesnaste pokolenie miłośników sztuki. Obraz powstał we Florencji. Potem artysta zabrał go do Francji. Po jego śmierci przeszedł na własność króla Franciszka I. Następnie znajdował się w Fontainebleau, a od 1804 roku w Muzeum Napoleona (późniejsze Muzeum Luwru). W 1911 roku został skradziony i po dwóch latach odnaleziony we Florencji. Ponownie umieszczony w Luwrze i spopularyzowany dzięki niezliczonym reprodukcjom należy do najsłynniejszych dzieł światowego malarstwa.

Kim była kobieta, która w latach 1503—1506 pozowała wielkiemu Leonardo da Vinci? Jaki miała charakter? Jak ułożyło się jej życie? Na te pytania odpowiada w miesięczniku „MŁODOŚĆ" (nr 3) psycholog radziecki Tofik Dadaszew. Jego opis uchodzi wśród fachowców za przekonujący i trafny, choć powstał w wyniku olśnienia, a nie badania archiwów.

„Urodziła się na przedmieściach Florencji, tam też mieszkała do chwili zamążpójścia. Pochodziła z dobrej rodziny, niezbyt zamożnej. Była jedynym dzieckiem, bardzo kochanym, ale bynajmniej nie rozpieszczanym. Wpajano jej proste, surowe zasady. W domu zdobyła podstawowe, normalne, jak na owe czasy wykształcenie. Wolny czas spędzała w kręgu rodzinnym, z obcymi ludźmi prawie się nie stykała. Z nabożeństwem modliła się w pobliskiej świątyni, gdzie rodzice prowadzili ją od wczesnego dzieciństwa. Życie upływało dość monotonnie — dom, od czasu do czasu jakieś uroczystości rodzinne, małe kłopoty, małe radości. (...)

Jej panieństwo przeciągało się. W swej miejscowości nie miała dużego wyboru. Z powodu przeciętnego wykształcenia i wychowania nie była zbyt atrakcyjną partią dla żadnego florentyńczyka ze szlachetnej i ambitnej rodziny. Ale główna przyczyna tkwiła w niej samej.

Ideałem Mony Lisy, energicznej i zasadniczej, był mężczyzna z charakterem, poważny, wzbudzający szacunek, będący autorytetem dla niej i dla innych — a zatem starszy. Prawdopodobnie właśnie Francesco Giocondo, uczciwy florentyński kupiec, był najbliższy tego ideału.

Była jeszcze jedna przyczyna. Dziewczynie, całym sercem związanej z rodzinnym domem, niespieszno był się rozstawać z dotychczasowym życiem. Rodzice, szanujący jej zdanie i uczucia też nie nalegali.

Pozornie wydawała się chłodna i narzucająca dystans, ale faktycznie była delikatna, uczuciowa, jak prawdziwa Włoszka. Jednak zasady religijne i samokontrolę wyćwiczono w niej tak silnie, że nigdy nie pozwoliłaby sobie na spontaniczną, nierozsądną miłość. (...)

Życie jej było długie i układało się pomyślnie. Urodziła pięcioro dzieci. Francesco Giocondo zmarł po 10 latach. Ponownie wyszła za mąż, ponownie za człowieka dobrego i uczciwego. Czy była szczęśliwa? Wprawdzie wszystko układało się zgodnie z jej życzeniami, ale chwil prawdziwego szczęścia zaznawała rzadko".

Pozostając w kręgu sztuki, zwracam uwagę na ciekawy reportaż Krystyny Koneckiej w miesięczniku „KONFRONTACJE" (nr 3). Przedstawia ona sylwetkę Leona Tarasewicza, który na liście rankingowej „Kultury" (nr 37 z 1988 r.) zajął zdecydowanie pierwszą lokatę wśród polskich artystów plastyków. Urodził się w Stacji Waliły (woj. białostockie), na skraju wsi i puszczy zwanym Wysranką. Uczył się w Supraślu, studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Obecnie mieszka i pracuje we wsi Waliły (3 km od Stacji Waliły, 18 km od granicy radzieckiej). Pracownię urządził w budynku nie istniejącej szkoły. Jego dzieła znane są w wielu krajach świata, ale trudno być prorokiem w rodzinnych stronach.

„Gdybym przyjechał tu z Warszawy, to byłbym — pan z Warszawy. A tutaj znają moich rodziców, wiedzą, że jestem po prostu syn Waśki, Lonik z Wysranki. Mówią, że wróciłem, bo mi się nie udało. To jest konserwatywne środowisko. Ludzie tu przeszli rewolucję po wojnie. Zrównali się z panami. Teraz ładują w rodziny, w swoje dzieci w mieście, w ich wille. Ten budynek jest z 1934 roku. Cieszę się, że ratuję go i będę się starał, żeby został uznany za zabytek. Walczyłem o telefon. Z początku jak zamawiałem rozmowy do Nowego Jorku, to pani pytała: — Co pan, głupi?!!!".

Na wspomnianej liście rankingowej za Leonem Tarasewiczem znaleźli się tak znakomici artyści jak: Magdalena Abakanowicz, Tadeusz Kantor, Jerzy Duda-Gracz, Józef Szajna...

ŻOŁNIERSKI LOS

Życie i działalność ostatniego dowódcy Polski Podziemnej, gen. bryg. Leopolda Okulickiego (pseud. „Niedźwiadek"), opisuje w tygodniku „PRZEGLĄD KATOLICKI" (nr 12) Wojciech Ziembiński. Bohater urodził się 11 listopada 1898 roku w Bartucicach koło Okulic na Pogórzu Krakowskim. W momencie odzyskania przez Polskę niepodległości miał dokładnie 20 lat. Wcześniej był w Związku Strzeleckim i Legionach, a po kryzysie przysięgowym wcielony został do armii austriackiej.

„Ranny trzykrotnie w latach 1919—1920, Okulicki wyrwał się ze szpitala na pole walki swego 4 pułku, w którym dowodził kompanią, a później batalionem. Za czyny wybitnego męstwa otrzymał czterokrotnie Krzyż Walecznych; srebrnym Krzyżem Virtuti Militari dekorował go w 1920 roku osobiście Marszałek Piłsudski.

W 1925 roku zdobył dyplom Wyższej Szkoły Wojennej. Służbę oficera sztabowego rozpoczął w Dowództwie Okręgu Korpusu w Grodnie. Później, po rocznym pobycie w 75 pp. przez trzy lata wykładał taktykę w Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie. Wiosną 1934 roku został szefem sztabu 13 Dywizji Piechoty. Od września 1935 r. przez cztery lata pracował w Sztabie Głównym, w III Oddziale Operacyjnym — jako szef Wydziału „Wschód", a następnie szef Wydziału Sytuacyjnego i zastępca szefa III Oddziału, pułkownika Stanisława Kopańskiego.

I września 1939 roku ppłk dypl. Leopold Okulicki, pełniąc nocny dyżur w Sztabie Głównym, o 4.48 rano przyjął osobiście telefoniczny meldunek majora Sucharskiego o ataku na Westerplatte".

Za udział w obronie Warszawy 28 września 1939 r. otrzymał złoty Krzyż Virtuti Militari. W październiku objął komendę Okręgu Łódzkiego SZP-ZWZ. W marcu 1940 r. zawiózł majorowi Hubalowi rozkaz nakazujący rozwiązanie oddziału. W lipcu awansował na pułkownika.

„Od 2 listopada 1940 r. przebywa we Lwowie pod pseud. „Mrówka" jako Komendant ZWZ Obszaru Nr 3 — Lwów i Obszaru Nr 2 — Białystok; zostaje aresztowany 22 stycznia 1941 r. i wywieziony na „śledztwo" do Moskwy (Łubianka, Lefortowo). Podzielił los poprzednich komendantów ZWZ na terenach zajętych przez Rosjan — generała Tokarzewskiego i pułkownika Klemensa Rudnickiego (później generała); w sierpniu 1941 spotkali się wszyscy w Armii Polskiej generała Andersa. Jako Szef Sztabu tej Armii Okulicki dwukrotnie uczestniczył w rozmowach gen. Sikorskiego i gen. Andersa ze Stalinem"

Od jesieni 1943 r. pracował w VI Oddziale Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Zajmował się sprawami kraju. 22 maja 1944 r. został przerzucony do Polski. Brał udział w Powstaniu Warszawskim. Tuż przed kapitulacją gen. Tadeusz Komorowski-„Bór" wyznaczył go swoim następcą. 2 października opuścił stolicę i przeniósł Komendę Główną AK do Częstochowy. 21 grudnia 1944 r. prezydent Władysław Raczkiewicz mianował go formalnie dowódcą AK. 19 stycznia 1945 r. gen. Leopold Okulicki-„Niedźwiadek" wydał rozkaz o rozwiązaniu Armii Krajowej.

27 marca 1945 r. ostatni dowódca AK został aresztowany w Pruszkowie przez NKWD i przewieziony do Moskwy. Sądzony w procesie szesnastu przywódców podziemia (18—21 czerwca 1945 r.), otrzymał najwyższy wyrok: 10 lat więzienia. Zakończył życie na Łubiance w wigilię Bożego Narodzenia 1946 roku. Miał wtedy 48 lat.

ŻYDZI POLSCY W IZRAELU

W różnych czasopismach (szczególnie katolickich) nadal ukazują się ciekawe materiały na temat Żydów. W poznańskim tygodniku społeczno-politycznym „WPROST" (nr 13) czytam interesujące wspomnienia Aleksandra Rozenfelda. W trzecim odcinku przedstawia problemy Żydów, którzy wyjechali z Polski i Związku Radzieckiego do Izraela. Okazuje się, że wielu z nich tęskni i marzy o dawnej ojczyźnie. O własnych rodzicach i niektórych innych emigrantach autor pisze następująco:

„Polska była i jest dla nich do dzisiaj, choć przebywają od dwudziestu lat w Izraelu, największą świętością. Oni nie mówią po hebrajsku, mówią po polsku, kłócą się po polsku. Jak w takim razie, proszę mi powiedzieć, to może być normalny dom?

Moi rodzice to przecież nie tylko polscy Żydzi. Ci ze Związku Radzieckiego są jeszcze gorsi. Nie uczą się hebrajskiego. Sklepy w Izraelu mają pełne żarcia. Budują jednak anteny satelitarne skierowane na radziecki sputnik telewizyjny, od rana do wieczora oglądają moskiewską telewizję i mówią: „Izrael, eto nie kulturnaja strana".

Oczywiście, wszystko zależy od wieku, w którym się wybrało imigrację, ale znam zupełnie młodych ludzi, którzy przyjechali do Izraela mając 16 lub 17 lat i do dzisiaj są chorzy. Michał Sobelman otrzymał stypendium UNESCO na roczny pobyt w Polsce i pisze doktorat o Gwardii Ludowej w Zagłębiu. Poranoja. „Chorzy na Polskę" rodzice przekazują tę chorobę dzieciom. „Chorzy na Rosję" przez sen wracają do łagrów, w których siedzieli za sam fakt złożenia podania o udzielenie zezwolenia na wyjazd do Izraela".

Pewnego razu Aleksander Rozenfeld spotkał znajomego w Tel Awiwie. Zdenerwowany, siedemdziesięcioletni Chaim opowiedział mu następującą historię:

„Wyobraź sobie, że wracam z sądu. Kilka tygodni temu spotkałem Żyda w sklepie. Trzydzieści lat temu, w UB w Warszawie, to on właśnie mówił, że tacy jak ja powinni od spodu gryźć ziemię. Bo ja byłem w AK. To ja go teraz spotykam w sklepie, tego mojego prześladowcę, a on spokojnie kupuje mleko i bułki. Jak gdyby nigdy nic. To wziąłem butelkę i strzeliłem go w łeb. Był sąd, a on łobuz wycofał pozew. To się ciebie pytam, czy to w porządku, żeby taki gudłaj chodził spokojnie po tym samym mieście, po którym ja chodzę? Tych Żydów — ciągnie Chaim — to się powinno postawić przed sądem, bo to przez nich do dziś jest w Polsce antysemityzm. Bo w Polsce się mówi, że jak Żyd, to on musiał robić coś nieczystego. A ci, co to robili, żyją sobie spokojnie za granicą, a ja nie mogę pojechać do Polski. Wiesz, ja tam chciałbym umrzeć — rozpłakał się.

Chodziłem po Izraelu i spotykałem płaczących z tęsknoty za Polską Żydów, sam nie płakałem, pisałem wiersze i to był mój płacz".

W państwie Izrael wychodzi jedna polska gazeta — „Kurier — Nowiny". Żydzi polscy nazywają ją w skrócie „kurwiny". Zdaniem A. Rozenfelda, nie jest do dobre pismo, ponieważ posługuje się polszczyzną sprzed wojny.

E. L.

Apel w sprawie uzupełniania listy katyńskiej

Czytelniczki i Czytelnicy!

W dniu 29 stycznia 1989 r. rozpocząłem na łamach tygodnika „Zorza" druk listy zaginionych w ZSRR polskich żołnierzy, jeńców obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Dotychczas ukazało się 6 odcinków, w sumie 1128 nazwisk.

Jest dziś wszystkim wiadomo, że w powyższych trzech obozach znajdowało się na przełomie lat 1939—1940 około 15.000 jeńców: generałów, oficerów, podchorążych, podoficerów Wojska Polskiego, a także policjantów, celników, pocztowców, funkcjonariuszy Straży Więziennej, żołnierzy Straży Granicznej oraz Korpusu Ochrony Pogranicza. Jak dotąd udało się ustalić personalia nieco ponad 10.000 osób. Dane te są oczywiście często niekompletne, niekiedy brakuje na przykład dokładnej daty urodzenia, dokładnego aktualnego przydziału wojskowego itp. Przede wszystkim jednak wymagają ustalenia personalia ok. 5.000 jeńców, którzy nie figurują jeszcze na liście strat. Większość nieznanych nazwisk, to internowani w obozie w Ostaszkowie.

Zwracam się zatem do wszystkich, którzy posiadają wiadomości o polskich jeńcach osadzonych w powyższych trzech obozach w ZSRR, a w pierwszym rzędzie do ich bliskich i towarzyszy broni, o nadsyłanie informacji pod adresem redakcji tygodnika „Zorza": **00-551 Warszawa, ul. Mokotowska 43**, z dopiskiem na kopercie **„Lista zaginionych"**.

Dane te należy podawać według poniższej ankiety:

1. Imiona, nazwisko, imiona rodziców, data oraz miejsce urodzenia, ostatnie miejsce zamieszkania (wystarczy podać tylko miejscowość), ponadto obóz, w którym był internowany;
2. Dane cywilne: wykształcenie, zawód, tytuł naukowy lub zawodowy, miejsce pracy, stanowisko;
3. Dane wojskowe: stopień, rodzaj broni (piechota, kawaleria itd.), stosunek do służby wojskowej (zawodowy, rezerwista, stan spoczynku), ostatni znany przydział oraz stanowisko bądź funkcja. Jeśli był ranny w 1939 r., podać miejscowość i datę;
4. Dla Policji Państwowej, Służby Więziennej, Straży Granicznej: ówczesny stopień służbowy (np. przodownik, aspirant, nadkomisarz), nazwa i miejsce pracy (np. Komisariat Rzeczny — Warszawa, posterunek Policji Państwowej — Trembowla) oraz funkcja;
5. Kiedy i gdzie dostał się do niewoli lub został aresztowany. Można szerzej opisać okoliczności;
6. Z jakiego obozu nadchodziły listy, karty, telegramy — podać datę dzienną, ewentualnie miesiąc nadania oraz informacje uzyskane inną drogą (np. przez zwolnionego żołnierza, listy w prasie okupacyjnej, PCK);
7. Pożądane: dołączyć odbitki foto lub kserograficzne z korespondencji z obozami oraz innych istotnych dokumentów, jeśli takie zachowały się (np. fotografie);
8. Imię, nazwisko, adres, telefon oraz stopień pokrewieństwa osoby zgłaszającej. W przypadku rodzin jeńców wymienionych w p. 4 (Policja Państwowa, Służba Więzienna itd.), osoby, które nadal chcą zachować incognito mogą nie ujawniać swych danych. Rozumiem, proszę jednakże sumiennie wymienić stopień pokrewieństwa np. wnuk, córka, żona policjanta itp.

Nie zwlekajcie, dane te są pilnie potrzebne! Wasi bliscy muszą zostać upamiętnieni dla historii, a pamięć o nich ma być zachowana wśród potomnych. Zarazem informuję, że po zakończeniu w sierpniu druku w „Zorzy" lista ta, poprawiona i rozszerzona w oparciu o nadesłane przez Czytelników materiały, zostanie szybko wydana w postaci książki o odpowiednio wysokim nakładzie.

Inż. JĘDRZEJ TUCHOLSKI
(autor książki „Cichociemni")

W najbliższych numerach „Odgłosów"

Gustaw M. alias Kopyto przysłał na propozycję Bernarda z prozaicznych powodów. Otóż jego krzepka trzydziestokilkuletnia małżonka chodziła z brzuchem i przebąkiwała nieśmiało, że przed przyjściem dziecka na świat należałoby dokonać w mieszkaniu pewnych zmian — odremontować je, wymalować albo nawet położyć tapety, zrobić coś z tą cholerną ubikacją i łazienką, bo skoro tatuś mógł sobie pozwolić w Proboszczewicach pod Żgierzem na kafelki i tyrakotę, to ona nie chce być gorsza ani od tatusia, ani od tych wszystkich sakramynckich łódzkich małpów, co to żyją w luksusach, kąpią się w ciepłej wodzie, a wieczorami bierze jedna z drugą wywczas przed kolorowym telewizorem. Mają nie tylko elektroluksa, nie tylko lodówki i pralki, ale nawet zamrażarki, w tych zamrażarkach natomiast rzadko się trafi jakiś gnat, podczas gdy tatuś mógłby im spokojnie dostarczyć tonę mięcha. — powieść ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO „Pięćdziesiąt melonów".

Uśmiech w Kanadzie jest wszechobecny. Ekspedientki, kasjerki, pielęgniarki, lekarki, urzędniczki i przewodniczki uśmiechają się na potęgę. Wyglądają z tym wspaniale, i człowiek ze wschodu myśli, że jest bardzo przystojnym facetem. Dopiero po jakimś czasie zauważa, że one uśmiechają się tak samo do sparaliżowanego staruszka na wózku i do pańci z ogródkiem na głowie.

Sa to uśmiechy zawodowe, gdyby te dziewczyny nie potrafiły się uśmiechać, nie dostałyby tej pracy. Mało tego, muszą mieć zdrowe i białe zęby, nie ma mowy, żeby pracująca z publicznością — na jakimkolwiek stanowisku — osoba, mężczyzna też, pokazała pieńki a la stuletni Frankenstein. Ząb to człowiek. W Kanadzie ząb jest najlepszą wizytówką. On określa twój status społeczny. Bo po zębach widać, w jaki sposób się odżywiasz i w jaki sposób traktujesz higienę. Słowem, czy szanujesz własne życie, czy nie. Jak własne cenisz, to i cudze też (...) Jeśli natomiast brakuje ci zębów, to jesteś absolutnie przegrany. Zęby na rynku są, każdy może mieć zęby, tylko trzeba pójść do dentysty, żeby wstawił — ale nie o to chodzi, tylko o to, że brak zębów wskazuje na wieloletnie zapuszczenie higieny jamy ustnej, dekonspiruje twoje kompletne lenistwo i zamiłowanie do brudu i smrodu, skłonności do masochizmu, bo przecież musiałeś cierpieć, kiedy te zęby gniły, zatruwając twój cały organizm przez wiele lat. Człowiek bez zębów nie powinien pokazywać się na ulicy w postaci innej, niż postać żebraka. — najnowsza powieść ANDRZEJA BRYCHTA „Azyl polityczny".

Nie ukrywam, że byłem posłem mianowanym, a nie wybranym.

Czy nasz parlamentaryzm dojrzał do prezydentury?

Rozmowa z profesorem HENRYKIEM RAFALSKIM — byłym posłem na Sejm PRL trzech kadencji, działaczem ZSL, kierownikiem katedry higieny Akademii Medycznej w Łodzi

Od dawna zajmuje się pan polityką...

— Co najmniej 40 lat spędziłem świadomie w ruchu ludowym.

— Interesuje się więc pan niewątpliwie obradami „okrągłego stołu". Czego się pan po tych obradach spodziewa?

— Chciałbym zacząć moją odpowiedź jakby może trochę nie wprost. Zastanawiam się od dłuższego czasu nad istotą zasady: „nieważne kto skąd przychodzi, ważne czy chce zasiąść przy stole". Stół to wprawdzie okrągły, choć wolałbym, aby był raczej obficie zastawiony, bo jak do tej pory więcej się mówi jak dzielić to co mamy niż w jaki sposób więcej wytwarzać. Otóż w moim przekonaniu jest to zasada ahistoryczna. Tak można myśleć, kiedy głosi się, że przed nami nic nie było, albo jeśli było, to już nie jest ważne, a wszystko zaczyna się od dziś i trzeba patrzeć tylko w przyszłość.

— Czy należy to rozumieć, że przez ostatnie 8 lat nic się w Polsce nie zmieniło?

— Zmieniło się, ale dwie zasadnicze siły są na tych samych pozycjach, na jakich były przed 8 laty. Tych sił zresztą jest więcej. I dlatego mnie przede wszystkim interesuje, kto i z jaką przeszłością zasiadł do obrad przy „okrągłym stole"?

Natomiast, jeśli chodzi o zmiany to zaszły one przede wszystkim poza Polską.

— Czy ma pan na myśli radziecką pierestrojkę?

— Owszem, ale nie tylko. Mam na myśli przede wszystkim poprawę wzajemnych stosunków między ZSRR i USA. Taki zewnętrzny układ stosunków sprzyja temu, aby spokojnie móc rozwiązać te problemy, których nie udało się rozwiązać w 1970, 1980 i 1981 roku.

— I dlatego teraz pana interesuje, kto tam zasiada, a nie tyle, co ma do powiedzenia w społecznych sprawach? Proponuje pan zaglądanie do cudzych życiorysów? Dlaczego?

— Tak. Interesuje mnie bowiem, co kto robił przez te całe lata, kim był i kim jest dziś, czym się zajmował. No, bo jeśli dziś zmierzamy do koalicji, to nie odkrywamy żadnej przysłowiowej Ameryki. Wracamy do tego, co było w drugiej połowie lat czterdziestych, a nawet wcześniej w latach 1919—1926.

— Ale w latach czterdziestych, nie było sprzyjających zewnętrznych warunków dla rozwoju tego, co powstawało: koalicji i opozycji.

— Powinna pani powiedzieć: konstruktywnej opozycji, bo to dziś bardzo modne słowo. W moim przekonaniu ta konstruktywna opozycja istniała zawsze. Po pierwsze — wobec ludzi niekompetentnych. Po drugie — wobec niewłaściwych metod rozwiązywania wielu spraw. Po trzecie — wobec wyboru takich a nie innych sposobów działania. Po czwarte — wobec układów społecznych, przy pomocy których próbowano wszystko rozwiązać. Po piąte — wobec stosunku do układów zewnętrznych.

— Tylko ta opozycja — jak pan to łaskawie nazywa — nie miała możliwości ujawnienia się, nie miała formalnych warunków do działania. Były lata, że ujawnienie takich zastrzeżeń, groziło bardzo przykrymi konsekwencjami. Nawet formalnie istniejąca koalicyjność, choć to się tak nie nazywało, nie miała wielkich możliwości ujawnienia swoich sprzeciwów.

— Owszem. Było tak. W Stronnictwie mówiliśmy, że jeśli ktoś chce w ZSL zostać prezesem, to musi za I sekretarzem PZPR teczkę ponosić. Nie ponosi teczki, nie zostanie prezesem. Niestety, tak było.

Czy wie pani na przykład, że Władysław Kowalski nim został prezesem ZSL był... kierownikiem Wydziału Rolnego KC PPR? Nie twierdzę, że Władysław Kowalski nie był w ogóle związany z ruchem ludowym, bo to byłaby nieprawda. Mógł i powinien powrócić do ruchu ludowego, ale nie od razu na prezesa. Prezesem zrobił go Bolesław Bierut. A przecież byli inni, wielce zasłużeni ludowcy.

— I nikt nie miał odwagi temu sprzeciwić się.

— Sprzeciwy były nie uwzględniane. Ale to wcale nie znaczy, że w latach czterdziestych nie było możliwości sprezentowania na przykład trzech różnych programów. Takie intelektualne możliwości istniały. Również po stronie katolickiej, po stronie PPS. Nastąpił okres dominacji PZPR.

A przecież z wojny Polska wyszła zwycięska i pluralistyczna. Było Stronnictwo Pracy, Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Ludowe, PPS i partia komunistyczna typu stalinowskiego choć — o czym warto pamiętać — nie wszyscy komuniści byli stalinowcami. Jako przykład może służyć Andrzej Stawar. Istniały więc w społeczeństwie polskim — jak i w innych społeczeństwach to się dzieje — różne tendencje: chrześcijańskie, nacjonalistyczne, agrarystyczne, socjalistyczne, liberalne, komunistyczne. I to jest naturalne.

— Ale po roku 1948 tendencje te nie mogły się rozwijać, co nie znaczy, że przestały w ogóle istnieć.

— Jak już powiedziałem nastąpił okres dominacji PZPR. Na przykład do 1952 roku na wyższych uczelniach w Łodzi istniały koła ZSL. Było w nich około 500 członków. Zostały rozwiązane. W 1957 roku przy okazji nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym powstała możliwość powrotu do tej sprawy. Chodziło o to, aby członkowie ZSL czy SD mieli takie samo prawo zrzeszania się przy uczelniach, jakie mają członkowie PZPR. I żeby ich przedstawiciele mogli być reprezentowani we władzach uczelni na podobnej zasadzie, jak reprezentowana jest PZPR. Na czele ZSL stał wówczas profesor Stefan Ignar, który doskonale rozumiał znaczenie ustawy o szkolnictwie wyższym i wiedział na czym polega równouprawnienie stronnictw i partii. I nic nie mógł zdziałać. Punkt o możliwości zrzeszania się młodej inteligencji udało się wprowadzić dopiero w 1982 roku.

— Mimo wszystko bałabym się przyrównać dzisiejszą sytuację do tej sprzed 40 lat.

— Bo pani chciałaby wszystko zacząć od dziś, przekreślając to, co było. A tak nie można. Dokonuje się pewien proces historyczny. Gdzie więc byli ci, którzy dziś zasiadają przy „okrągłym stole" w różnych momentach tego procesu? Bo ja nie chcę wszystkiego zaczynać od dzisiaj.

Wywodzę się z tego nurtu ruchu ludowego który rozumiał potrzebę sojuszu różnych sił politycznych, ale mogliśmy się godzić najwyżej na sojusz centro-lewicowy. Taki sojusz, naszym zdaniem, wystarczał, aby zdobyć większość i przez to władzę.

— Czy mam rozumieć, że posądza pan siedzących przy „okrągłym stole" o kumanie się lewicy z prawicą?

— To proszę popatrzeć, kto tam zasiada. Obok biskupa i tych, którzy chcieli w 1945 roku zakładać partię chrześcijańskiej demokracji siedzą i tacy, którzy chcieliby zakładać partię narodową. I siedzą oni po obu stronach. Jeśli po jednej stronie siedzi Adam Michnik z Jackiem Kuroniem, to po drugiej siedzą ich rówieśnicy, z którymi niegdyś wspólnie działali.

— A nie sądzi pan, że do takiego spotkania musiało w ogóle dojść?

— Czy chciała pani powiedzieć, że wymusiła to opozycja?

— Nie. Wymusiły to zmiany, jakie zaszły w politycznej rzeczywistości i to nie tylko w Polsce.

— Oczywiście. Byłbym skłonny nawet uważać, że to konsekwencja umów zawartych w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, gdzie zastrzeżono wobec ZSRR tolerancję partii opozycyjnych w Polsce. Z czego ZSRR nie wywiązał się.

Ale skoro już mówimy o zmieniającej się rzeczywistości, to warto też pamiętać, że były tu siły, które ani za ruble, ani za dolary USA, tylko ze zrozumienia sytuacji Polski dążyły do zmiany.

— Czym pana zdaniem — „okrągły stół" powinien się zakończyć? Podpisaniem umowy społecznej?

— Ale jakiej? Zaraz pani wyjaśnię, skąd to pytanie. W 1980 roku podpisaliśmy taką umowę społeczną. W 1981 roku poprosiłem o podliczenie wszystkich zobowiązań finansowych dotyczących służby zdrowia. I co pani powie? Suma ich trzykrotnie przewyższała budżet Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Komu i po co była potrzebna taka nierealna umowa?

— Był pan posłem. Czy nie sądzi pan, że obrady „okrągłego stołu" odsuwają w cień rolę Sejmu PRL?

— Kiedy w 1972 roku zostałem posłem zasiadłem w bibliotece sejmowej, aby przeczytać stenogramy z posiedzeń Krajowej Rady Narodowej i z obrad Sejmu po październiku 1956 roku. Byliśmy po kolejnym zakręcie i chciałem dowiedzieć się, czym zajmował się Sejm PRL w dwu ważnych okresach dziejów Polski. Otóż mogę powiedzieć, że w obydwu sejmach walczono o demokrację, domagano się koalicyjnego rządu, domagano się precyzyjnie nakreślonego programu rozwoju społeczno-gospodarczego Polski. W obu przypadkach chciano widzieć właściwie określoną polską drogę do socjalizmu.

— I co było dalej? Posłem był pan przez 3 kadencje.

— Lata 1972—1975 — moim zdaniem — należały do najlepszych. Była to dobra pięciolatka, nie za kredyty. Jeśli mierzyć wielkością dochodu narodowego na mieszkańca Polski, to osiągnięto wówczas największe przyrosty. Na wsi nastąpił znaczny rozwój, osiągano wysoki dochód, wieś stawała się naprawdę murowana.

Ale proszę sobie przypomnieć rok 1977. Była to sześćdziesiąta rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Ogłoszono powstanie światowego systemu socjalistycznego. Powstały państwa socjalistyczne w Afryce, Środkowej Ameryce i Azji. No skoro taki system ogłoszono, to trzeba go było stworzyć i... utrzymywać.

Potem przyszły lata osiemdziesiąte. W roku 1980 wystąpiły dążenia, które najbardziej przypominały lata KRN i czas po październiku 1956 roku. Do takiego modelu nawiązuję, taki model — parlamentarny, sejmowy jest mi najbliższy. I nie mogło być inaczej, gdyż chłopi zawsze walczyli o samorząd, o współudział we władzy, która pochodzi od demokratycznej większości. Kto przeszedł przez szkołę wychowania obywatelskiego w „Wici", ten nie może być przeciwny demokracji. Nie przeszkadza mi to, że mówi się o demokracji socjalistycznej. Najbardziej odpowiadałaby mi demokracja ludowa, ale nie ta, której istotę próbowali określać stalinowscy teoretycy. Ale demokracja większości ludzi, którzy zawsze mają o co walczyć, bo są biedniejsi.

— Nigdy nie raziło pana to, że rząd dominował nad Sejmem?

— W 1980 roku, kiedy nadciągała burza, kiedy zaczęły się nieskrępowane rozmowy, wiele razy powtarzałem, że Biuro Polityczne KC PZPR powinno wysłuchiwać zdania rządu, ale i Sejmu PRL, a nie identyfikować się tylko z rządem i nadrzędnością rządu nad Sejmem. I nie tylko ja tak mówiłem.

— Może mówiliście zbyt nieśmiało, zbyt słabym głosem?

— Czy chce pani przez to powiedzieć, że nie wyszliśmy na ulicę i nie krzyczeliśmy, bo władza słucha tylko tych, którzy krzyczą na ulicy? Tylko, że to nie jest sposób na rządzenie.

W Polsce nie wyczerpały się możliwości samorządzenia. I nie sądzę, żeby pojawiła się genialna jednostka, która porwałaby za sobą naród. Pozostaje nam droga demokracji.

— A co pan sądzi o postulatach wprowadzenia urzędu prezydenta PRL?

— Powtarzam: w Polsce nie wyczerpały się możliwości samorządzenia się, demokracji. Nie wykształcił się na tyle parlamentaryzm, aby dojrzała do realizacji idea prezydentury. Byłbym zatem, aby z tym poczekać, aby należycie rozwinąć to, co do tej pory było niedorozwinięte. Czy „okrągły stół" ma wykazać, że dotychczasowe struktury władzy, od Sejmu do rady sołeckiej nie sprawdziły się? Przecież tak naprawdę to nie sprawdziło się wielu ludzi tam wydelegowanych. Nie łączmy zatem niesprawdzenia się konkretnych osób z wyczerpaniem się zasobów struktur państwowych. W Polsce już były autokratyczne rządy jednostek.

— Jaka pana zdaniem powinna być ordynacja wyborcza?

— Nigdy nie kryłem tego, że byłem posłem mianowanym a nie wybranym i że chciałbym być społecznie akceptowanym. Zatem ordynacja wyborcza powinna dawać możliwość takiej akceptacji, ale musi też zachować ciągłość państwa. Musi się liczyć z układem politycznym, jaki już istnieje, a na który składa się też istnienie tendencji politycznych chrześcijańskiej demokracji i narodowej demokracji. A więc trzeba się liczyć z istnieniem sił prawicowych.

Przy tym zgadzam się z tymi, którzy powiadają, że nam nie jest potrzebna walka o mandaty na ringu, rynku i na ulicy, a zatem wybory nie mogą być konfrontacyjne.

— Ale są zwolennicy i takiego rozwiązania.

— Nie należę do nich. Każda ze stron powinna wystawić najlepszych ludzi i niech inni spośród nich wybierają. Nie oczekuję spontanicznego zainteresowania wyborami. Raczej spodziewam się, że będzie ono umiarkowane. Przy tym powinno być jak najmniej wszelkiego rodzaju manipulacji, zakulisowej gry zmierzającej do tego, aby partnera wystrychnąć na dudka.

— Ale nie wyklucza pan chyba walki programów?

— Nie wykluczam. Ale byłbym za rywalizacją skutków a nie ofert, żeby to była walka kompetencji, a nie dobrych chęci.

Ordynacji wyborczej nie można rozumieć jako celu samego w sobie, to jest środek do tego, żeby wybrać kompetentnych ludzi, którzy chcą coś zrobić i reprezentują polską rację stanu. Jesteśmy poddani działaniu przynajmniej czterech zewnętrznych sił: rosyjskiej, amerykańskiej, bońskiej i watykańskiej. One nie zrezygnują z wpływu na polską rzeczywistość polityczną. Trzeba więc im przeciwstawić to, co leży w polskim interesie narodowym. I temu powinna służyć ordynacja wyborcza.

— Co dalej z ZSL? Stronnictwo traci monopol na wsi. Już są samorządy, rychło może powstać jako legalna siła „Solidarność" rolników.

— Proszę pamiętać, że ruch ludowy wydał w Polsce wielu światłych ludzi, którzy działali w polityce, gospodarce, kulturze, nauce. Ten ruch ludowy, który rozwijał się pod zaborami i w II Rzeczpospolitej, w III Rzeczpospolitej został administracyjnie ograniczony i zawężony. Chłopom odebrano kółka rolnicze, które istniały od 120 lat, zabrano samorząd, o który chłopi walczyli przez całe życie, tak jak walczyli o oświatę i dostęp do władzy. I chłopi walczą o to dalej.

— Rozumiem, że wielość reprezentacji chłopskich w tej walce nie powinna przeszkadzać, a raczej pomagać.

— Owszem. W ruchu ludowym było kilka partii: od lewicy po prawicę, ale w 1931 r. zjednoczyły się w jedno Stronnictwo przeciwko sanacji. W okresie stalinizmu sprowadzono to do transmisji. A PSL? Niezależnie od tego, co PPR zarzucała PSL, to PSL skupiło w swoich szeregach najlepsze siły ruchu ludowego. I to właśnie PSL najdłużej sprzeciwiało się stalinizacji Polski i stalinizacji ruchu ludowego. Jeśli dziś mówimy o demokracji, jeśli szukamy jej korzeni w przeszłości — a to robić trzeba — to sięgnijmy też do ruchu ludowego. Pokażmy jaki był jego los w latach pięćdziesiątych.

— To są nasze rodzime „białe plamy".

— Przypominam sobie, że w latach pięćdziesiątych musiałem przysłuchiwać się procesowi brata Stanisława Bańczyka i słuchać zarzutów o jego współpracy z gestapo, choć wiedziałem, że to nieprawda. Bańczykowie pochodzili z moich okolic i dobrze ich znałem. Musiałem więc słuchać, z jakimi to ja zdrajcami zadawałem się.

Czy prezesem ZSL musiał został Władysław Kowalski z nakazu PZPR? A nie mógł zostać nim właśnie Stanisław Bańczyk czy Bronisław Drzewiecki? W dokumentach historycznych można się doczytać jak Władysław Gomułka posłużył się Stanisławem Bańczykiem, Bronisławem Drzewieckim i Stefanem Ignarem dla nakłonienia kierownictwa „Rocha" do współpracy z PPR. Ludzie ci odeszli w zapomnienie. Gdy chowano Bronisława Drzewieckiego najlepsze przemówienie nad grobem wygłosił przedstawiciel Kościoła. PZPR nie zaznaczyła swojej obecności.

Ruch ludowy proponował PPR i PPS koalicyjny układ partnerski. PPS odmówiła współpracy. Skoro taki układ nie powstał, to nie jest to tylko wina ludowców.

— Nie odbiegnę chyba daleko od prawdy, jeśli powiem, że tradycje ruchu ludowego nie są zbyt dobrze znane, szczególnie wśród młodego pokolenia.

— Zapewne. Ale trudno się temu dziwić. Nie były one popularyzowane i nie są nauczane. I nie należy ich rozumieć wyłącznie jako tradycji „Wici". Są znacznie szersze, znacznie bogatsze. Proszę sobie wyobrazić, że przed wojną „Chłopskie Życie Gospodarcze" pisało o tym, że istnieje kilka wariantów rozwoju rolnictwa w Polsce i jednym z nich jest spółdzielczość rolnicza. Podkreślam: przed wojną! I oferty o partnerskiej koalicji z ruchem ludowym nie podjęto.

Dla mnie wzorem człowieka i działacza ludowego jest Antoni Piwowarczyk, dowódca jedynego oddziału BCh-AK w Koneckiem, pseudonim „Wąsowicz". U niego w oddziale ukrywali się jeńcy radzieccy zbiegli z niewoli. Przez pewien czas był prezesem „Wici". Po wojnie siedział w więzieniu przez 5 lat.

— To już na szczęście historia.

— Trzeba jednak ją znać, aby rozumieć teraźniejszość. Szukajmy w przeszłości naszej tożsamości. Powróćmy do naturalnych układów, bo układy, które stworzył stalinizm są nienaturalne. Gdy od utopii powrócimy do nauki to powstaną też naturalne sojusze. Jestem zwolennikiem takich rozwiązań, takiego porozumienia, które wyrasta z naturalnego układu sił.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

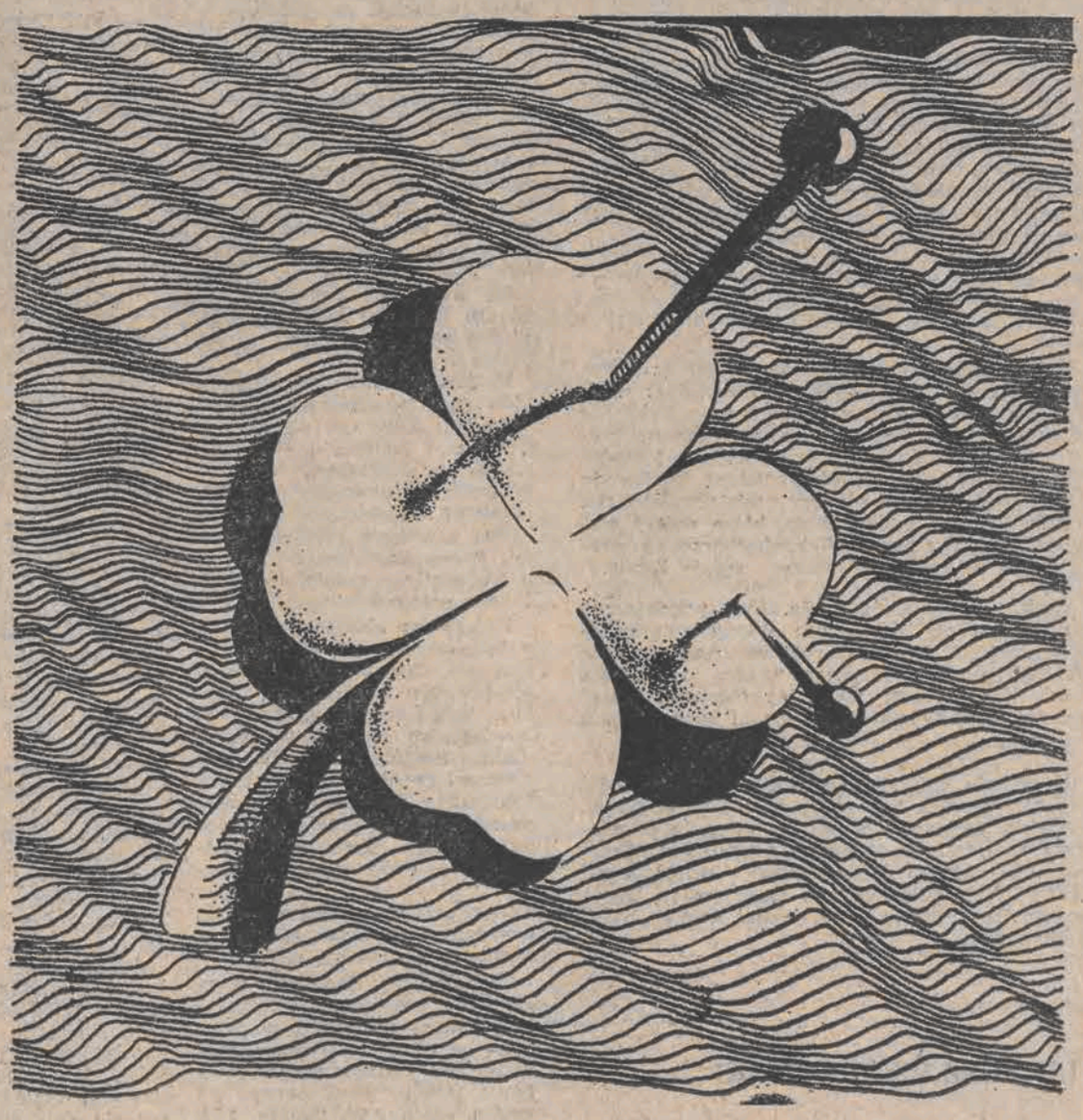

Ryt. Dariusz Romanowicz

ze str. 1

choty, a Ostrów Wielkopolski 60 pułk Piechoty Wielkopolskiej należący do tej dywizji. Na południu linia rozgraniczająca tereny działania Armii „Łódź" i Armii „Kraków" biegła od Krzepic wzdłuż Liczwarty do jej ujścia do Warty i dalej wzdłuż Warty, pozostawiając na północ Radomsko aż do **Przedborza nad Pilicą.** Rejonu Częstochowy miała bronić 7 DP, a jej najdalej wysunięte oddziały stały pod **Lublińcem i Truskolasami.** Rejon między Liczwartą i Częstochową miała osłaniać **Wołyńska Brygada Kawalerii.**

Przed 1939 rokiem Polska miała 26 pułków ułanów, 3 pułki szwoleżerów i 8 pułków strzelców konnych. Trzy pułki: 24 pułk ułanów, 1 i 10 pułk strzelców konnych zostały zmotoryzowane. Kawaleria zgrupowana była w brygadach. Do **Kresowej Brygady Kawalerii** włączono 1 pułk kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza. Kawaleria była chlubą naszego wojska, ale — jak słusznie zauważył gen. Władysław Sikorski — jej czas już przeminął. Podobnie uważali inni dowódcy polscy. Na przykład gen. Piotr Skuratowicz — szef Departamentu Kawalerii w Ministerstwie Spraw Wojskowych uważał, że „oddziały polskiej kawalerii ustępują sąsiadom pod względem stanów i wyposażenia". Gen. Kazimierz Fabrycy — inspektor armii — uważał, że „kawaleria nasza jest bronią stanowczo zbyt kosztowną i zbyt bogato wyposażoną w swych urządzeniach tyłowych w stosunku do efektu bojowego, którego dowódca może się od niej spodziewać".

Utrzymanie kawalerii w Polskim Wojsku przed 1939 rokiem kosztowało rocznie 70 milionów złotych, z czego 20 milionów złotych szło na zakup i wyżywienie koni. Ale warto pamiętać, że kawaleria pokonywała przestrzeń konno, walczyła natomiast tak, jak walczyła piechota. Przy stanie dróg w Polsce, przy braku samochodów, które mogłyby przewozić piechotę, kawaleria spełniała właściwą rolę. Ale w porównaniu ze stanem wyposażenia Wehrmachtu czy Armii Czerwonej była już jaskrawym przeżytkiem. Stąd pierwsze kroki w przekształcaniu kawalerii w jednostki zmotoryzowane: 10 Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej, którą dowodził gen. **Stanisław Maczek** i Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa, którą dowodził gen. **Stefan Rowecki.**

Ułani, ułani, malowane dzieci

Armia „Łódź" otrzymała do dyspozycji dwie brygady kawalerii

Miały to być Kresowa i Podolska Brygada Kawalerii. Otrzymała jednak **Wołyńską Brygadę Kawalerii** i w czwartym dniu wojny na teren działania Armii „Łódź" przybyła **Kresowa Brygada Kawalerii,** w ramach której działał 1 Pułk Kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza, którym dowodził ppłk **Feliks Kopeć.**

Wołyńska Brygada Kawalerii siedzibę dowództwa miała w Równem. Dowodził nią płk dypl. **Julian Filipowicz.** Szefem sztabu był mjr dypl. **Wilhelm Lewicki.** W jej skład wchodziły:

— **12 pułk Ułanów Podolskich** z siedzibą w Białokrynicy pod dowództwem ppłk Andrzeja Kuczka,

— **19 pułk Ułanów Wołyńskich** z siedzibą w Ostrogu pod dowództwem ppłk dypl. Józefa Pętkowskiego,

— **21 pułk Ułanów Nadwiślańskich** z siedzibą w Równem pod dowództwem ppłk Kazimierza de Rostwo-Suskiego,

— **2 pułk Strzelców Konnych** z siedzibą w Hrubieszowie pod dowództwem ppłk Józefa Mularczyka,

— **2 dywizjon artylerii konnej** stacjonujący w Dubnem pod dowództwem ppłk Jana Kamińskiego,

oraz: 11 batalion strzelców, 21 dywizjon pancerny, 82 batalion artylerii przeciwlotniczej, 4 batalion 84 pułku piechoty, 8 szwadron łączności, szwadron kolarzy i szwadron pionierów.

Sztab **Kresowej Brygady Kawalerii** stacjonował w Brodach, a dowodził nią płk **Stefan Kulesza** — do 4 września 1939 roku, po nim dowództwo KBK objął płk dypl. **Jerzy Grobicki.** Jednocześnie nastąpiła zmiana na stanowisku szefa sztabu KBK. Do 4 września 1939 roku sztabem kierował płk dypl. Antoni Witkowski, a po tej dacie rtm. dypl. Maksymilian Turski. W skład Kresowej Brygady Kawalerii wchodziły:

— **20 pułk ułanów** z Rzeszowa pod dowództwem, płk. dypl. Andrzeja Kunachewicza,

— **22 pułk Ułanów Podkarpackich** z Brodów pod dowództwem płk dypl. Władysława Płonki,

— **6 pułk Strzelców Konnych,** z Żółkwi pod dowództwem ppłk dypl. Stefana Mossora,

—**1 pułk Kawalerii KOP** pod dowództwem ppłk. Feliksa Kopcia,

— **13 dywizjon artylerii konnej** z Brodów pod dowództwem ppłk Janusza Grzesio,

oraz: 4 batalion strzelców, 61 dywizjon pancerny, 33 batalion artylerii przeciwlotniczej, szwadron kolarzy, szwadron pionierów i szwadron łączności.

Pułk polskiej kawalerii posiadał uzbrojenie, które można było porównać do uzbrojenia batalionu piechoty. Pułk kawalerii dysponował 36 oficerami, 810 podoficerami i szeregowymi, 850 końmi, 14 ckm, 14 rkm, jednym lekkim km, 4 działkami przeciwpancernymi i 12 karabinami przeciwpancernymi. Natomiast batalion piechoty dysponował 24 oficerami, 1020 podoficerami i szeregowymi, 12 ckm, 27 rkm, 2 moździerzami, 9 granatnikami, 3 działkami przeciwpancernymi i 9 karabinami przeciwpancernymi.

Pułki kawalerii miały swoje barwy, tradycję i żurawiejki.

Wyjaśnijmy może najpierw, co to są owe żurawiejki. Jak podaje Cezary Leżeński w pięknej książce poświęconej polskiej kawalerii „Zostały tylko ślady podków..." — żurawiejki są to „swego rodzaju żartobliwe kuplety układane dla każdego pułku". Nazwa pochodzi od żurawia, gdyż żurawiejki są jak żurawie przelotne. Żurawiejki powstały w rosyjskiej kawalerii, a ich twórcą był poeta Michał Lermontow.

Na początek przedstawię **pułki Wołyńskiej Brygady Kawalerii.**

12 pułk Ułanów Podolskich powstał w listopadzie 1918 roku z 7 pułku ułanów III Korpusu Polskiego w Rosji. Ułani tego pułku nosili czapki z otokami amarantowymi. Na lancach mieli proporce amarantowo-granatowe z białym paskiem pośrodku. Takie proporczyki nosili ułani na kołnierzach kurtek i płaszczach. Pułkowa żurawiejka brzmiała:

„Pułk dwunasty rusza w pole
Po majątki na Podole".

19 pułk Ułanów Wołyńskich nosił imię gen. Edmunda Różyckiego — oficera wojsk powstańczych z 1863 roku. Powstał w końcu 1917 roku na Ukrainie jako dywizjon kawalerii i w lutym 1918 roku wszedł w skład III Korpusu Polskiego w Rosji. W konspiracji odtworzony w ramach 27 Wołyńskiej Dywizji AK.

Żołnierze 19 pułku Ułanów Wołyńskich nosili granatowe otoki i granatowe proporce z białym trójkątem u nasady. Pułkowa żurawiejka:

„Dziewiętnasty to hołota
Bo ma otok jak piechota".

21 pułk Ułanów Nadwiślańskich powstał w lutym 1920 roku z 11 pułku Strzelców Granicznych w Starej Woli. Później przyjął właściwą nazwę. Ułani z Równego nosili turkusowy otok na czapce i turkusowy proporczyk z żółto-białym paskiem pośrodku. Żurawiejka głosiła:

„Nadwiślańskich miano wzięli,
Chociaż Wisły nie widzieli".

2 pułk Strzelców Konnych z Hrubieszowa powstał w czerwcu 1917 roku jako oddział kawalerii we Francji. Od 1918 roku był szwadronem, a następnie stał się pułkiem strzelców konnych. Strzelcy konni nosili rogatywki z otokiem amarantowym, a na kołnierzach kurtek i płaszczy proporce szmaragdowo-amarantowe z niebieskim paskiem pośrodku. W pułku tym jako oficer oświatowy służył **Jan Dobraczyński.** Pułkowa żurawiejka głosiła:

„Cienki w pasie, tęga głowa,
To są strzelcy z Hrubieszowa".

A teraz pułki należące do **Kresowej Brygady Kawalerii.**

20 pułk Ułanów nosił imię króla Jana III Sobieskiego i powstał w lipcu 1920 roku ze szwadronów 6 i 8 pułku ułanów i 3 pułku Strzelców Konnych. W styczniu 1921 roku otrzymał właściwą nazwę i numerację. Ułani z Rzeszowa nosili rogatywki z amarantowym otokiem i proporczyki amarantowe z granatowo-białym paskiem pośrodku. Żurawiejka:

„Liczba duża, lecz pułk mały
Dwudziesty ułański cały".

22 pułk Ułanów Podkarpackich powstał w listopadzie 1920 roku z połączenia 209 i 212 ochotniczych pułków ułanów. Proporczyk biały z amarantowym trójkątem u nasady, biały otok na rogatywce. Żurawiejka:

„Śmierdzą naftą, robią długi
To jest pułk dwudziesty drugi".

6 pułk Strzelców Konnych nosił imię hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego i stacjonował w Żółkwi. Powstał w końcu 1917 roku we Francji, przebywał we Włoszech i używał nazwy: dragoni. Do Polski wrócił w maju 1919 roku wraz z armią gen. Józefa Hallera. Na rogatywkach strzelcy konni nosili białe otoki, na kołnierzach proporce szmaragdowo-białe. Żurawiejka:

„Szósty strzelców w Żółkwi siedzi,
I nad dolą swą się biedzi".

Polski kawalerzysta uzbrojony był w lance, szable, karabinek i bagnet. Oficerowie mieli pistolety. Lanca służyła nie tylko do boju, ale zatykano ją w miejscu postoju, oznaczano brody w rzekach, którymi przechodziła kawaleria, oznaczano nimi punkty sanitarne, koniowody i inne. Jak twierdzą historycy wiele pułków nie wzięło lanc na wojnę. A te, które wzięły niewielki zrobiły z nich użytek, choć przecież zdarzyły się w czasie tej wojny szarże konne.

Szabla była częścią siodła. Była przytroczona do siodła. Przy siodle były sakwy oraz zrolowany płaszcz. Numer drugi w każdej trójce miał brezentowe składane wiadro do pojenia koni. Kawalerzyści mieli też chlebaki, maski gazowe i łopatki saperskie. Nosili buty wysokie z ostrogami.

Kawaleria chlubnie wypełniła postawione jej zadanie. Broniła luk w polskiej linii obronnej, osłaniała cofające się wojska, odnosiła zwycięstwa w starciu z wojskami pancernymi Wehrmachtu. Ale to już są dalsze dzieje Armii „Łódź". Nim dojdziemy do czasu wojny, warto poznać inne rodzaje broni, jakimi Armia „Łódź" dysponowała.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Prawda o stalinizmie potrzebna jest żywym, nie martwym.

Dziewczynka z fotografii

Ludzie starszego pokolenia być może pamiętają to zdjęcie: dziewczynka z bukietem kwiatów ufnie wtulająca się w uśmiechniętego Stalina. Nie było takiej szkoły, czy przedszkola, w którym by ono nie wisiało. Dziewczynką tą była Giela Markizowa. Nasza obecna rozmówczyni — Engielsina Siergiejewna. Zrozumiałe, że naszą rozmowę rozpoczęliśmy od tej fotografii. Jak do tego doszło?

— W 1936 roku — wspomina Engielsina Siergiejewna — delegacja przodowników pracy z zakładów Buriat — Mongolskiej ASRR (tak w tym czasie nazywała się Buriacka Republika Autonomiczna) przyjechała do Moskwy na spotkanie z kierownictwem partii i przedstawicielami rządu. Na czele delegacji był również mój ojciec, pełniący wtedy funkcję II sekretarza komitetu obwodowego WKP(b) i komisarza ludowego ds. rolnictwa republiki, Ardan Angadykowicz Markizow. Moja mama, Dominika Fiodorowna, studiowała wówczas w Moskwie w Instytucie Medycyny i ja mieszkałam z nią.

Dowiedziawszy się od ojca o planowanym spotkaniu na Kremlu, prosiłam, by zabrał mnie ze sobą. Ojciec nie chciał się zgodzić, ale ja nalegałam, mówiąc, że bardzo chciałabym wręczyć kwiaty Stalinowi i Woroszyłowowi. Chociaż nie miałam jeszcze siedmiu lat, dobrze znałam twarze przywódców. Nie było chyba dnia, żeby nie pokazywano ich zdjęć w gazetach... Ojciec zgodził się. Z rana mama kupiła dwa wspaniałe bukiety kwiatów i udaliśmy się na Kreml.

Pamiętam brawa, jakimi sala przywitała wejście przywódców partii i rządu i moment zasiadania ich w prezydium. Słuchałam, mało naturalnie rozumiejąc, o czym mówią. Potem zaczęłam się nudzić i powiedziałam do Ilji Wasiljewicza Baldanowa (przyszłego Bohatera Związku Radzieckiego, generała), obok którego siedziałam, że pójdę wręczyć kwiaty Stalinowi. I poszłam.

Na scenie zatrzymał mnie A. Andriejew, sekretarz KC WKP(b) i zapytał: *„Ty do kogo?"*. Powiedziałam mu. *„Do ciebie"* — zwrócił się do Stalina. Pamiętam, że zdziwiło mnie to, że jest on z wodzem na „ty". Stalin odwrócił się, wziął mnie na ręce i postawił na stole prezydialnym. Wziął obydwa bukiety. Klim Woroszyłow ogłosił: *„Dziewczynka chce przemówić"*. I ja „przemówiłam": *„To są kwiaty od dzieci Republiki Buriacko-Mongolskiej"*. Sala skwitowała to oklaskami. Stalin posadził mnie obok siebie i ja, dumna, siedziałam w prezydium. Potem kątem ucha słyszałam rozmowę o jakichś prezentach i zapytałam: *„A czy ja dostanę prezent?"* Wszyscy zaczęli się śmiać.

Dobrze pamiętam, jak już pod koniec wieczoru przywołał mnie Mołotow. W rękach trzymał czerwone pudełeczko. Stalin zwrócił się do niego: *„Daj, ja sam"*. Otworzył pudełeczko i zapytał, czy podoba mi się zegarek. Kiwnęłam głową, że tak. *„Ale patefonu, oczywiście, nie dasz rady udźwignąć?"* — powiedział Stalin. *„Poproszę tatę"* — znalazłam się. Podszedł potwornie zmieszany tata. On już miał jeden patefon. W ten sposób mieliśmy w rodzinie drugi.

Następnego dnia we wszystkich gazetach ukazały się fotografie Gieli ze Stalinem. Chodziłam po hotelu i chwaliłam się: *„Zobaczcie, to ja..."*. Wszyscy gratulowali mi, pokój hotelowy, w którym mieszkaliśmy, zawalony był prezentami. Przez długi czas jeszcze przychodziły prezenty do Ułan-Ude z całego kraju.

Zdjęcie to obiegło cały kraj, a być może i cały świat. Stałam się sławna, jako *„symbol szczęśliwego dzieciństwa"*. Byłam wszędzie zapraszana i obowiązkowo sadzana w prezydium. Rzeźbiarz G. Ławrow stworzył rzeźbę „na motywach" fotografii. Ta ogromnych rozmiarów rzeźba została ustawiona na stacji metra „Siemionowskaja" (wówczas „Stalinskaja").

Tak „przyczyniłam się" do powstania wizerunku Stalina — wielkiego przyjaciela dzieci...

Opowiadając, Engielsina Siergiejewna, pokazywała mi ocalałe nieliczne fotografie, pociemniałą ze starości metalową plakietkę od podarowanego patefonu: *„Gieli Markizowej od wodza partii J.W. Stalina. 27.I. 38 r."*. Taki sam napis był wygrawerowany na kopercie złotego zegarka.

— Moje szczęśliwe dzieciństwo — kontynuuje opowieść Engielsina Siergiejewna — trwało do grudnia 1937 roku, do momentu aresztowania ojca. Na miesiąc przed tym usunięto go ze stanowiska. Już na początku roku aresztowano I sekretarza komitetu obwodowego M.N. Jerbanowa (ojciec przejął jego funkcję), i przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych DD. Dorżijewa. Pamiętam, że ojciec był zaszokowany tym i ciągle zamartwiał się: jakże to, tyle lat przepracowaliśmy razem, jak mógłbym nie dostrzec obok siebie wrogów ludu. Rodzina i przyjaciele doradzali mu wyjazd z Ułan-Ude, ukrycie się, on jednak odpowiadał, że nie jest niczemu winny i nie zamierza nigdzie uciekać.

Wzięli go nocą i postawili absurdalny zarzut o szpiegostwo na rzecz wywiadu japońskiego i przygotowanie zabójstwa Stalina. Dużo później na naszą interpelację otrzymałyśmy z mamą oficjalną odpowiedź, w której zawiadamiano nas, że A.A. Markizow skazany został na 10 lat bez prawa korespondencji. Że ta formułka oznacza rozstrzelanie, jeszcze wtedy nie wiedziałyśmy i dlatego miałyśmy nadzieję, czekałyśmy na powrót ojca.

— *To znaczy, że nawet ta fotografia nie ustrzegła waszej rodziny i nie uratowała osobista znajomość z „wielkim przyjacielem dzieci"?*

— Nie, nie uratowała. Nawet pisałyśmy do Stalina. Mama dyktowała mi, a ja starannie pisałam list. Przypominałam w nim, że jestem tą dziewczynką z fotografii. A potem pisałam wszystko o ojcu. O tym, że jest prawdziwym komunistą, aktywnym uczestnikiem wojny domowej. Że pracował w oddziale politycznym Piątej Armii razem z Jarosławem Haszkiem, wydawał gazetę „Ut" („Świt") w języku buriackim. Że był jednym z założycieli Republiki Buriackiej i członkiem rządu...

— *Jaka była odpowiedź Stalina na wasz list?*

— Aresztowano mamę. Nasz list odegrał złowieszczą rolę. Zostaliśmy z bratem Władilenem (starszy ode mnie o dwa lata). Wysiedlono nas z czteropokojowego mieszkania do małego przechodniego pokoiku, gdzie mieszkało sześć osób.

Na początku 1939 roku, po dziewięciu miesiącach więzienia, wypuszczono mamę i wyjechaliśmy na zesłanie do Kazachstanu. Nam z bratem i tak się udało — nie rozdzielono nas z mamą i nie oddano do domu dziecka, jak robiono to zwykle z dziećmi „wrogów ludu".

Już na stacji spotkaliśmy dobrego człowieka, Uzbeka o nazwisku Chodżajew, który przygarnął nas do swojej rodziny, chociaż sam miał siedmioro dzieci. Przeżyliśmy u niego blisko rok, dopóki nie przenieśliśmy się do wpół rozwalonej chatki. Mama pracowała w szpitalu dziecięcym. Była silną kobietą. I mistrzynią w robótkach ręcznych: obszywała miejscowe modnisie. W ogóle, potrafiła stworzyć nam znośny byt, na ile to było możliwe w takich warunkach.

Pewnego dnia do szpitala przywieziono chore dziecko. Ale przywieziono zbyt późno i nie udało się go uratować. Wtedy to jego rodzice skierowali sprawę do sądu. Przeciwko mamie — żonie „wroga ludu", wdrożono sprawę karną. Niedługo potem znaleziono ją martwą w sali szpitalnej. Miała zaledwie 32 lata...

Napisaliśmy z bratem do Moskwy, do siostry ojca, Anny Angadykowny Drabiejewej. Ona zabrała nas do siebie. Po pięciu miesiącach wybuchła wojna. Razem z ciocią ewakuowaliśmy się do Ułan-Ude. Żyliśmy tam, jak wszyscy w tych złych czasach.

— *Jak odnoszono się do was, dzieci „wrogów ludu"?*

— Różnie. Niektórzy odnosili się do nas ze współczuciem, a nawet życzliwie. Zdarzało się jednak zakosztować i krzywdy. Jednym z takich przypadków był moment, kiedy moja najlepsza koleżanka, córka prokuratora, przeszła w Ułan-Ude na mój widok na drugą stronę ulicy, żeby nie przywitać się ze mną. Później w szkole, w Moskwie, pamiętam taki epizod: trwały zajęcia chóru, wszyscy śpiewali, a ja nie — nie pamiętam już, czy to był ból gardła, czy też nie znałam słów. Dziewczynka, stojąca obok mnie powiedziała na głos: *„A Giela nie śpiewa"*. Na co nauczycielka zareagowała ostro: *„A może ona nie lubi radzieckich piosenek?"* Musiałam przenieść się z tej szkoły.

Kiedy w 1951 roku, po ukończeniu szkoły wybierałam się na uniwersytet, i było oczywiste, że z takim „piętnem" w życiorysie na pewno nie zostaną przyjęta, moja ciocia i jej mąż Siergiej Iljicz zaadoptowali mnie.

— *Jak zmieniał się pani stosunek do Stalina, kiedy nastąpił zwrot w świadomości, przewartościowanie znaczenia jego osoby?*

— Przez długi czas nie kojarzyłam sobie przyczyny swojego sieroctwa, tragedii wielu rodzin z osobą Stalina. W rodzinie panował kult jego osoby, był bożyszczem. Kiedy umarł Stalin, stałam przy głośniku ze swoją ośmiomiesięczną córeczką na rękach i płakałam, przeżywałam fakt, że moja maleńka Lola nigdy nie zobaczy żywego wodza. Chociaż krążyły już pogłoski, spotykałam się z wieloma ludźmi wypuszczonymi z więzień, również z takimi, którzy znali ojca i wysłuchiwałam ich niewiarygodnych wprost opowieści o przesłuchaniach. O tym, że wszystko to nie mogło się dziać bez jego wiedzy... Dopiero po XX Zjeździe dowiedziałam się prawdy.

W 1955 roku otrzymaliśmy dokument o pośmiertnej rehabilitacji ojca. Słowa „o braku znamion przestępstw" wstrząsnęły mną. I przez cały ten czas, do tej pory, pali mnie świadomość, że niewinnego człowieka, mojego ojca, pozbawiono życia...

Moje dalsze życie potoczyło się szczęśliwie. Skończyłam MGU. Przez kilka lat mieszkałam w Indiach, wykładając język rosyjski w uniwersytecie delhijskim. Później — praca naukowa, doktorat, pracowałam w Instytucie Orientalistyki przy AN ZSRR. Od pięciu lat jestem na emeryturze. Mam troje dzieci, wnuczkę Dinoczkę.

Kiedy zdarza mi się słyszeć głosy przeciwko ujawnianiu czarnych stron naszej historii, przeciw ujawnianiu monstrualnych przestępstw epoki stalinizmu, jestem po stronie tych, którzy chcą poznać prawdę do końca, nawet tę najbardziej gorzką. Dobrze, że powstanie pomnik niewinnych ofiar terroru stalinowskiego, *„Jest to potrzebne nie martwym, lecz żywym"*.

Rozmawiała:
C. LEBIEDIEWA
(„Trud" 1988, nr 155)

Nie mamy żadnych kompleksów!

Widza (szczególnie małego) nie wolno lekceważyć

Rozmowa ze STANISŁAWEM OCHMAŃSKIM, dyrektorem i kierownikiem artystycznym Teatru Lalek „Arlekin" w Łodzi.

— Teatr lalek jest dziedziną zaniedbywaną, a nawet traktowaną z przymrużeniem oka. W przeciwieństwie do aktorów dramatycznych środowisko lalkarzy pozostaje trochę na uboczu życia teatralnego, mówi się o nich „ludzie zza parawanu". Na czym polega specyfika bycia aktorem-lalkarzem, reżyserem teatru lalkowego?

— Nie mamy żadnych kompleksów, jakie często przypisuje się nam. Teatr lalek pozostaje na uboczu podobnie jak film i literatura dziecięca. Ten sposób traktowania wynika stąd, że dorośli często nie doceniają, jak ważna jest sztuka dla dziecka. Nie widzę żadnej różnicy między teatrem dramatycznym, który gra czasem dla dzieci, a teatrem lalkowym. U nas pracują tacy sami aktorzy, którzy dodatkowo potrafią animować lalki. Wielu ludzi po naszych szkołach zabiera dramat, świadczy to o wysokich kwalifikacjach aktorów-lalkarzy.

— A jak zaczęło się pana spotkanie z lalkami?

— Od dzieciństwa myślałem o pracy w teatrze. Jednakże sytuacja rodzinna sprawiła, że musiałem zmienić szkołę ogólnokształcącą na taką, po ukończeniu której szybko zdobędę zawód. Mój wspaniały wychowawca i polonista — Teodor Gajewski wystarał się dla mnie o miejsce w liceum pedagogicznym w Łowiczu. A jaki w liceum pedagogicznym można robić teatr? — oczywiście dla dzieci, oczywiście lalki! Zorganizowałem tam teatr prawie profesjonalny. Wtedy obowiązywały jeszcze nakazy pracy, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności, po skończeniu szkoły wszyscy pozostaliśmy w naszym teatrze.

— A jakie drogi doprowadziły pana do Łodzi, w której pan spędził dzieciństwo?

— Ciągnęło mnie w rodzinne strony, odwiedziłem „Arlekin", przywiozłem cały mój zespół, nieśmiało zaprosiłem do nas, a oni przyjechali na premierę do Łowicza i dyrektor Henryk Ryl zaproponował mi to, co śniło mi się po nocach — pracę w zawodowym teatrze. Dość szybko zostałem nawet niezłym, tak myślę, aktorem, ale interesowała mnie organizacja. Zacząłem robić warsztat reżyserski. Ryl nie był tym zachwycony — chciał aktora, reżyser nie był mu potrzebny, ale nie czynił przeszkód. Po eksternistycznym egzaminie w krakowskiej szkole teatralnej dostałem skierowanie do Lublina, gdzie teatr organizowałem od podstaw. Już ponad 30 lat udaje mi się kierować teatrami jako ich dyrektor i kierownik artystyczny, po 15 latach w Lublinie objąłem dyrekcję „Arlekina" i w tym roku mija kolejne 15 lat.

— Dzisiejszego „Arlekina" też zbudował pan niemal od podstaw, pracę w nim zaczął pan od generalnego remontu i modernizacji teatru.

— Zastałem teatr w bardzo złym stanie, więc poprosiłem prezydenta, żeby go sobie obejrzał i powiedziałem, że to bardziej przypomina dworcową świetlicę niż teatr dla dzieci w dużym mieście. Dostałem wtedy 3 miliony złotych, a po trzech latach koszty remontu zamknęły się kwotą 23 milionów. Sukcesywnie remontowaliśmy kolejne sale, jednocześnie pracując w wynajętych pomieszczeniach.

— Czy nigdy nie ciągnęło pana aktorstwo dramatyczne?

— Będąc już w „Arlekinie" zdawałem do szkoły teatralnej, wszystko poszło dobrze, ale akurat w tym roku mieli zapotrzebowanie na amantów. A ja sobie obmyśliłem, że pójdę do szkoły teatralnej, tam się wyuczę i przeniosę tę wiedzę do teatru lalkowego. Chciałem pogardzić teatrem dramatycznym, no niestety...

— Czy to dobrze, że w ciągu 40 lat „Arlekin" miał tylko dwóch dyrektorów i kierowników artystycznych?

— Jeśli się jest otwartym na innych ludzi, którzy przychodzą i reżyserują, to myślę, że nie jest to szkodliwe. W „Arlekinie" aktorzy i widzowie mają dwóch absolutnie różnych reżyserów, myślę o panu Wieczorkiewiczu i o sobie — to bardzo ważne. Proszę zwrócić uwagę, ilu młodych ludzi wystawia u nas sztuki, ale jeśli jedna osoba realizuje cztery sztuki w sezonie, to taki teatr niedługo umrze.

— Jest pan dyrektorem, kierownikiem artystycznym, prodziekanem Wydziału Reżyserii w białostockiej filii PWST w Warszawie, nauczycielem akademickim, był pan aktorem, teraz pan reżyseruje — która z tych ról jest panu najbliższa, która daje najwięcej satysfakcji?

— Myślę, że reżyseria. Kiedyś robiłem przedstawienie w pewnym teatrze dramatycznym — oczywiście wprowadziłem maski. To dopiero była afera, aktorzy protestowali: „czterdzieści lat na scenie i pierwszy raz mam zakrytą twarz!" Już bardzo dawno doszedłem do wniosku, że najbardziej interesuje mnie praca wśród lalek. Trzeba aktorowi wyjaśnić, jak ma zrealizować pomysł reżysera, ale i dostosować się do lalki stworzonej przez plastyka. Aktor nie może grać obok lalki. W ciągu 38 lat pracy wyreżyserowałem ponad 100 przedstawień i myślę, że mogę sobie przypisać, że udało mi się przy tym wykształcić nowe pokolenie lalkarzy.

— Czym różni się teatr Stanisława Ochmańskiego od teatru Henryka Ryla — założyciela i pierwszego dyrektora Arlekina?

— To trudne pytanie, może zacznę od podobieństw. Wydaje mi się, że tak jak Ryl, preferuję przede wszystkim rzetelny warsztat aktorski, kontynuuję dobrą grę lalką. Ryl nauczył mnie zwracania uwagi na widza, liczenia się z nim. Myślę, że teraz korzystamy z nieco lepszej literatury, jest mniej poszukiwań formalnych, które tak Ryla niepokoiły. Uważam, że nie należy eksperymentować kosztem widza, ale realizować techniki już sprawdzone. Jeśli tych różnic między mną a moim poprzednikiem jest niewiele, to nie ma powodu do obaw — Ryl robił dobry teatr.

— Jaka jest aktualna linia repertuarowa teatru, jakie „Arlekin" stawia sobie cele?

— Staramy się robić teatr dobrze, tak, aby nie psuć dziecku gustu, kształcić je estetycznie, nie mówiąc już o tym, że każda sztuka, jaką pokazujemy, musi nieść ze sobą określone wartości moralne i wychowawcze. Jeśli chodzi o dobór repertuaru, jest to sprawa dosyć trudna, ponieważ przychodzą do nas dzieci w wieku od 3 do 11 lat. Sztuki muszą być dostosowane nie tylko do wieku dziecka, ale i do stopnia jego przygotowania. Dziecko, które dużo czyta i ogląda, będzie w stanie odebrać widowisko trudniejsze. I taki teatr musimy robić, nie będę z tego rezygnował mimo protestów i kontrowersji. Repertuar jest różnorodny, każdy w nim może znaleźć coś na siebie. Zauważyłem, że łódzka publiczność lubi pewien rodzaj teatru popularnego, komunikatywnego.

— W recenzjach najczęściej powtarza się zarzut, że przedstawienie owszem, interesujące, ale nie dla dzieci.

— Dziecko szybciej radzi sobie z nową konwencją niż dorosły, który przyzwyczaił się do pewnego typu teatru. To rodzice decydują, że „Miś Rymcimcim" jest odpowiedni dla dziecka. Ja nie lubię teatru, który nie sprawia trudności, nie stawia pytań i wszystko wyjaśnia. Oczywiście należy liczyć się ze zdaniem widzów, ale nie można schlebiać tanim gustom.

— Kilka lat temu szeroko była dyskutowana kwestia, że w teatrach lalkowych jest coraz mniej lalek, stają się one rekwizytami, a zastępują je aktorzy w tzw. żywym planie.

— Henryk Ryl, poza uzasadnionymi koniecznością przypadkami, w ogóle nie dopuszczał żywego planu. Dla niego lalka to była świętość. Jeśli rzeczywiście tak się stało, że w teatrach jest dużo żywego planu, to dlatego, że jest to łatwiejsze, reżyserzy i aktorzy nie wiedzą jak należy grać lalką. Często dzwonią do nas widzowie, a może raczej rodzice naszych widzów, pytając czy przedstawienie będzie lalkowe. Pamiętam pewnego pana, który wręcz życzył sobie, aby jak przyjdzie następnym razem do „Arlekina", były wyłącznie lalki.

— „Arlekin" obchodzi podwójny jubileusz — 40 lat istnienia teatru, z czego 15 lat pod pańskim kierownictwem. Pięć lat temu nie chciał pan jeszcze dokonywać podsumowań, czy nadszedł już czas po temu?

— Nie, myślę, że nie. 15 lat to żaden jubileusz, akurat tak się zdarzyło, że jest to okrągła data, natomiast 40 lat dla teatru to już sporo. Dużo się zmieniło. Bardzo ważne jest dla mnie to nowe pokolenie, które wykształciło się już w środowisku lalkarskim. Mamy świetnych fachowców, natomiast gorzej z zespołem technicznym — na przykład elektrycy są tak dobrze opłacani gdzie indziej, że śmieją się z naszych 35 tysięcy. Nie, nie chciałbym podsumowywać — niech zrobią to za mnie inni. Chcę tylko powiedzieć, że bardzo, bardzo lubię swój zespół i dobrze mi się z nim pracuje, to są prawdziwi, pełni poświęcenia ludzie teatru. U nich nie ma taryfy ulgowej, zawsze grają z jednakowym zaangażowaniem dla 50 i dla 300 widzów. To jest najważniejsze — szacunek dla widza, tego nauczył mnie Henryk Ryl i zawsze to podkreślam: widza nie wolno lekceważyć.

— Jakie były w historii „Arlekina" przeboje repertuarowe, jakie niewypały? Czy są jakieś specjalne plany związane z sezonem jubileuszowym?

— W teatrze Henryka Ryla najwybitniejszymi przedstawieniami były na pewno „Kolorowe piosenki", „Sambo i lew", „Lekarz mimo woli", a za mojej kadencji „Konik Garbusek", „Pieśń o lisie", „Ludowa szopka polska". Jeśli chodzi o niewypał, pozwoli pani, że nie będę mówił, niech to pozostanie tajemnicą teatru i widzów. W planach obecnego sezonu jest „Mały Książę", myślę, że może znów spektakl wzbudzi dyskusje, bo podobno jest to książka mało sceniczna, ale próbujemy, może uda nam się zrobić interesujące przedstawienie. Sezon jubileuszowy chcemy potraktować bardzo roboczo, nie będzie żadnych specjalnych uroczystości, nie szykujemy żadnej bomby repertuarowej.

— Jakimi nagrodami może poszczycić się „Arlekin"?

— W 1983 r. teatr otrzymał „Srebrną Łódkę" za przedstawienie „Cesarski słowik", była to pierwsza w historii nagroda w kategorii najlepszych przedstawień roku, która przypadła teatrowi lalkowemu. Następnie Nagroda Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci, nagroda w Zagrzebiu na festiwalu esperanto dla „Uli z Ib". Od czasu do czasu zdarzają się jakieś dyplomy.

— Teatr prowadzi także szeroką działalność pozascenieczną — przedstawieniom towarzyszą wystawy, obecnie można podziwiać ekspozycję wspaniałych szopek...

— Wszystko bierze się stąd, że w „Arlekinie" pracują ludzie z inicjatywą, którym chce się coś robić. Kilka lat temu koledzy wymyślili akcję „W świecie bajek i lalek — czyli przygoda w kulisach teatru", polega ona na tym, że około 40 razy w roku aktorzy występują społecznie w szpitalach, sanatoriach, pogotowiach opiekuńczych i domach dziecka.

— Przy teatrze powstało studium przygotowujące adeptów do zawodu aktora lalkarza.

— Ponieważ nie mogę zaoferować ludziom z zewnątrz mieszkań, a stara kadra się wykrusza, byłem zmuszony zorganizować takie studium. Poprosiłem naszych mistrzów, żeby kształcili swych następców.

— Czy mógłby pan powiedzieć kilka słów o kontaktach zagranicznych teatru?

— Mamy stałe kontakty z teatrem w Ljubljanie, prowadzimy wymianę z ZSRR, Bułgarią, jest podpisana umowa z teatrem w Karl-Marx-Stadt, gdzie w ubiegłym roku reżyserowałem. Za trzy tygodnie jedziemy do Moskwy i Iwanowa, w dalszej przyszłości prawdopodobnie wyjazdy na festiwale do Francji, Austrii i Jugosławii.

— W czym tkwi tajemnica zgranego zespołu teatralnego?

— To jest to, czego częściowo nauczyłem się od Henryka Ryla, a potem udoskonaliłem w Lublinie. Mogę trochę się pochwalić — zawsze organizację teatru staram się doprowadzić do perfekcji. Kiedy tylko przyszedłem do „Arlekina", zaznaczyłem, że najważniejszy będzie zespół artystyczny, jemu zostaną podporządkowane wszystkie służby, a całość ma służyć scenie i widzowi. Bardzo pomaga mi mój wspaniały zastępca — pani Urszula Raczkowska-Reiter.

— Jaki jest widz „Arlekina", czy łatwo dla niego przygotować przedstawienie, jakie mogą czyhać na realizatora niebezpieczeństwa?

— Widz jest dość trudny, u nas przedstawienie musi obfitować w akcję, dziecko nie znosi zafałszowanych sytuacji, sztucznego przeżywania, afektowanej albo infantylnej recytacji. Najtrafniej ocenia przedstawienie strażak, bileterka, bufetowa i szatniarka, oni tyle lat mają bezpośredni kontakt z widzami i doskonale znają ich gust.

— Czy potrafiłby pan po przejściu na emeryturę opuścić świat lalek?

— Kiedyś trzeba to zrobić, tak będzie z korzyścią dla teatru. Myślę, że kiedy mój poprzednik oddawał mi swój teatr, nie była to dla niego decyzja łatwa, ale taka jest normalna kolej rzeczy. Wprawdzie czuję się jeszcze na siłach, nie brak mi pomysłów, ludzie chyba mogą ze mną wytrzymać, nie jest jeszcze tak, że muszę odejść, ale nadchodzi czas, kiedy się trzeba nad tym zacząć zastanawiać. Nie chcę, żeby zostało to odebrane w ten sposób, że Ochmański wybiera się na emeryturę, bo zaraz zaczną się w garderobach spekulacje od kiedy, kto przyjdzie na jego miejsce itd. Niemniej mam świadomość, że chwila rozstania z „Arlekinem" nadejdzie.

Rozmawiała:
MONIKA MATUSZAK

Z tej ziemi

„Raz, dwa, wziali!", ale tak szybko nie oddają

1.

Parę ludzi — a może parędziesięciu — zastanawia się właśnie nad tym, czy nie podjąć się wydawania gazety. Są już pierwsze doświadczenia. Mam na myśli „Gazetę Bankową" czy „Res Publikę". Niedawno słyszałem, że gdzieś gminna rada narodowa wydaje pismo na powielaczu. W Szczecinie pewien cudzoziemiec wydaje tygodnik składający się z samych ogłoszeń. Należy spodziewać się, że w niedługim czasie powstanie kilka nowych pism. Należy zatem przygotować się na spotkanie konkurencji.

Jednocześnie toczy się jakby z innego czasu dyskusja na temat pism społeczno-kulturalnych czy wręcz literackich. W moim przekonaniu podział taki jest anachronizmem. Pozostałością minionej epoki, kiedy pisma wydawano z myślą o środowiskach i dla tych środowisk. Nie kwestionuję potrzeby istnienia pism środowiskowych, specjalistycznych, ale uważam, że epoka pism społeczno-kulturalnych, literackich minęła. Dziś potrzeba dobrych pism, które przede wszystkim i jedynie miałyby na celu zaspokajanie potrzeb — bardzo różnych przecież — Czytelnika. Znajdzie się w tym miejsce i na literaturę, i na sensację.

Nowe pisma, które nieuchronnie powstaną, nie będą miały żadnych podtytułów — tak to sobie wyobrażam — gdyż rzecz nie w tym. One będą musiały walczyć o miejsce na rynku, a więc siłą rzeczy będą musiały atakować różne dziedziny życia społecznego — szeroko rozumianego — a nie ograniczać się do zamkniętej formuły. Pisma kurczowo trzymające się swojej, przed laty ustalonej formuły mogą znaleźć się w trudnej sytuacji. I niektóre już się znalazły. Jestem wszakże przeciw likwidacji pism — bo to najłatwiejsze — jestem za ich wewnętrznym przekształcaniem się.

Ale tu zaraz padnie klasyczny już zarzut o schlebianiu gustom Czytelnika...

2.

Bardzo nie lubię autorów, którzy przychodzą i opowiadają — niekiedy ze szczegółami — o czym to oni właśnie mają zamiar napisać. Na ogół cenię takich, którzy mało mówią na temat tego, co mają zamiar napisać, za to dobrze piszą. **Adam Ochocki** znajduje się pośrodku. Sygnalizuje treść mającego powstać tekstu i w miarę szybko przynosi tekst gotowy. Tym razem było inaczej.

Przyszedł, usiadł i widać było, że jakoś mu niezręcznie.
— Czy ty wiesz, że ja siedziałem w lagrze? — zapytał.
— Wiem.
— Opowiadałem o tym niedawno znajomym i wszyscy byli tym bardzo zaciekawieni. Dla nich była to opowieść niemal fantastyczna. I wiesz, co mi powiedzieli?
— Skąd mam wiedzieć?
— Żebym to wszystko opisał.
— Dobry pomysł. Na co więc czekasz?
— A ty byś to wydrukował?
— Najpierw muszę zobaczyć tekst.

Adam Ochocki zbytnio nie zwlekał i już po kilku dniach dostałem dwa lub trzy pierwsze odcinki, po przeczytaniu których powiedziałem krótko: — Pisz dalej! Drukujemy. — I tak prawie cała książka najpierw ukazała się w „Odgłosach", a teraz Czytelnik może ją kupić w księgarni.

Nie pisałbym o tym, gdyby nie Adam Ochocki, który uważa mnie za „ojca chrzestnego" swojej książki i z którym z jej powodu odbyliśmy kilka kłótni. Najpierw może o samej książce.

Szymon Kobyliński, który zrobił dla niej okładkę — chociaż karta tytułowa bardziej mi się podoba — wyraził się o niej: **„Znacząca książka!"** Zbyt cenię tego autora, abym się z nim spierał, tym bardziej, że sam tak uważam. I jeszcze jedno zdanie muszę zacytować: **„I tu raptem mamy rys szczególny tej książki: jej ton, ni to szwejkowski, ni Lejzorka Rojtszwańca, gdzie makabra i horror stają się szyderczo zjawiskami naturalnymi, oczywistością, wręcz banałem całej epoki"**. Trafność tej opinii jest wręcz niepodważalna.

Adam Ochocki swoje wspomnienia z ZSRR z lat 1939—1946 zaczął publikować zanim jeszcze zaczęły się ukazywać wspomnienia z łagrów, których teraz mamy sporo. Można powiedzieć, że „RAZ, DWA, WZIALI!" to jedna z pierwszych, jeśli w ogóle nie pierwsza książka na temat losów Polaków w ZSRR w latach 1939—1946. I choć ukażą się inne, to „RAZ, DWA, WZIALI!" cieszyć się będzie popularnością. Dlatego dziwi mnie, że ukazała się tylko w 25 000 egzemplarzy. Dodruki pewne! A dlaczego cieszyć się będzie popularnością? Właśnie przez swój charakter, przez styl i rodzaj narracji. Adam Ochocki nie bierze rewanżu, nie mści się, nie nienawidzi. Pisze z pozycji człowieka, który w najtrudniejszych warunkach musi dać sobie radę.

Jeszcze w czasie druku miałem kilka listów i telefonów, których autorzy zarzucali Adamowi Ochockiemu, że łagodzi, pomniejsza to, co było dramatem. Im było znacznie gorzej, oni więcej przeżyli, bardziej cierpieli. To prawda. Było różnie. Dlatego różne są relacje. Adam Ochocki opisał to, co sam przeżył. Nie uogólnia, nie sądzi. Opowiada. I robi to znakomicie.

Nie podobał mi się tytuł książki — i nie podoba nadal. Powiedziałem to Adamowi Ochockiemu. Bardzo się zdenerwował i trochę pokłóciliśmy się. Dla mnie — i myślę, że dla wielu innych — owo wezwanie: raz, dwa, wziali! — z niczym się nie kojarzy. Dla wyjaśnienia. Jest to takie samo wezwanie, jak komenda do równoczesnego wysiłku: — raz, dwa, hop! — Raz i dwa — dla przygotowania się, wziali! — wzięli dla wykonania ruchu. Ilu musiałem użyć słów, aby to wyjaśnić. Adam Ochocki najpierw się zgodził a później uparł się i został przy swoim. Słyszałem, że książka cieszy się dużym powodzeniem. Tytuł nie zaszkodził. Niech tam! Tym, którzy nie czytali — polecam!

Nie tracę nadziei, że Adama Ochockiego namówię jeszcze na napisanie kolejnej książki.

3.

Myślę, że taka powinna być droga powstawania książek. Z lektur wiem, że dawnymi czasy nawet eseje historyczne były drukowane w codziennych gazetach. Niegdyś używano określenia „zamówienie społeczne". Myślę, że to jest to samo, co „społeczne zapotrzebowanie". Ludzie na coś czekają, chcą o czymś wiedzieć, o czym się milczało i wtedy zaczynają pojawiać się książki, artykuły, eseje, rozprawy. W odchodzących w przeszłość latach „inżynierowie dusz" mieli je kształtować na wzór i podobieństwo objawione w referatach i przemówieniach. A oni po prostu powinni być sługami narodu i z racji talentu i wiedzy odpowiadać na pytania, które wszystkich nurtują, na które trzeba odpowiedzieć.

Mieczysław Kozak w liście do redakcji dziwi się, że tyle u nas pisze się o Józefie Stalinie i jego ludziach, a o naszych „Stalinach" jakoś cicho. Tamte teksty są gotowe, inni je napisali. Te trzeba dopiero napisać. Trzeba się odważyć to zrobić, a odważnych jakoś mało. Ot i cała tajemnica!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gdzie są klucze do nowego mieszkania?

ze str. 1

znów zdawało się, że gorzej już być nie może. I teraz trzeba przyznać, że wyniki roku minionego są o wiele gorsze.

Beton wielkiej płyty

Podobno łatwo ganić, trudniej naprawiać. Dlatego przynajmniej próbowałem zrozumieć...

Już wiemy, że na złe wyniki województwa łódzkiego złożyły się przyczyny charakterystyczne dla sytuacji całego krajowego budownictwa. Tak to bywa, że kryzys najbardziej podcina nogi gospodarce opierającej się na monokulturze. Pamiętam ministrów, którzy zapewniali w latach 70., że zbawić nas może tylko rozwój wielkiej płyty. Pamiętam tych, którzy tak twierdzili, gdy betonowa płyta się już posypała.

Wielka płyta to wielkie przedsiębiorstwa. Kombinaty-molochy. Krajowe kombinaty były kilkakrotnie większe niż przedsiębiorstwa budowlane innej strefy walutowej. Ale doszliśmy do tego, że nawet w ZSRR udział wielkich przedsiębiorstw w budownictwie mieszkaniowym był mniejszy niż u nas. Gdy wielka płyta pozostawała technologią „doktrynalną", nie mogło być miejsca dla małych wykonawców, dla innych technologii, dla cegły.

Taki też był stan w Łodzi. Miasto stało pięcioma wielkimi kombinatami. Przez pierwszych sześć lat reformy nic się nie zmieniło. Ostatnio tak, ale nadal króluje nam wielka płyta. Utrzymanie takiego „królestwa" musi drogo kosztować. I tak jest, przy czym firmy budowlane są finansowo biedne, grozi im ruina techniczna, a mieszkania budowane są drogo. I dla ratowania tej struktury z miejskiej kiesy wydano ostatnio setki milionów złotych!

Ostatnio nie brakowało nam sanacyjnych programów. Uzdrawianie jednak się nie udało. Zjawisko jest ogólnopolskie, co jednak nie zmienia, że właśnie **w Łodzi budownictwo posypało** się w taki sposób, jakby przygotowywano lekcje poglądową o kryzysowej niewydolności. Jestem gotów przyznać, że w połowie klęsce winne są warunki ogólnokrajowe, jednak tym razem interesuję się akurat tą drugą połową. I chyba warto, bo ta „część" była zależna już nie od tego, co dzieje się poza Łodzią, zwłaszcza w Warszawie.

Nie bez powodu należy przypatrzeć się właśnie naszemu miastu i województwu. O ile w latach 1979—1987 ilość mieszkań oddanych w kraju przez budownictwo uspołecznione zmniejszyła się o 31 proc., to w Łódzkiem niemal w dwukrotnie(!) większym stopniu, bowiem aż o 59 proc.

Zmierzch „Zachodu".

Los Łódzkiego Kombinatu Budowlanego „Zachód" to już słynna ze swych kosztów próba ratowania wielkiej płyty. „Zachód" przez wiele lat był dobrym przedsiębiorstwem, zbudował Retkinię. Lecz przedsiębiorstw nie ocenia się za przeszłość, świadectwo wydają prawa ekonomii.

Kombinat bankrutuje od 1984 roku, gdy poniósł 34,3 mln zł strat nadzwyczajnych (przypomnijmy sobie, jaki wtedy był złoty!), przy zysku bilansowym 81,9 mln zł. Bankowi przedsiębiorstwo miało spłacić dług w wysokości 61,8 mln zł. Nie oddało ani złotówki, bo nie było z czego. O tym, jaka była wielka płyta systemu „Szczecin" i jak budowano świadczy to, że nakłady, które firma powinna ponieść na usuwanie wad w wykonanych budynkach wyceniono na 162 mln zł, co zysku nie mogło powiększyć.

Lokalna filia NBP wstrzymała więc kredytowanie. I popłynęły żale, zgłaszane wobec filii NBP, choć trudno wyobrażać sobie funkcjonowanie banku który pożycza temu, który nie odda.

Jednak załoga kombinatu żale swe kierowała gdzie indziej. Budowano w systemie przestarzałym i drogim, który tracił atest, a do zmiany technologii firma nie była przygotowana, bo **budowanie mieszkań było sprawą rozpatrywaną w kategoriach politycznych, a nie ekonomicznych.** Kombinat miał budować jak najwięcej nie spoglądając w przyszłość. Decyzjami administracyjnymi skłaniano i do innych działań, które obracały się przeciw finansom ŁKB...

Skoro jednak świadectwo dawać ma ekonomia, to opisując dole i niedole „Zachodu" trzeba przyznać, że o ile lokalny bank wstrzymał kredytowanie, to zdołano załatwić, że centrala NBP przyznała 200 mln zł kredytu. Niestety, nie na zmiany w technologii, lecz na pokrycie strat. Okazało się też, że przedsiębiorstwo zawyżyło ceny na oddane mieszkania i **spółdzielniom należy oddać 115 mln zł,** a taką samą kwotę karnie zapłacić do budżetu państwowego. Z pobrania tej kary Ministerstwo Finansów jednak zrezygnowało! **W 1984 r. „Zachód" wybudował 1 204 mieszkania, w rok później — już tylko 928.** Budował mniej, ale swym pracownikom płacił więcej i za ten wzrost płac powinien przekazać do budżetu państwowego 387 mln zł podatku. **Ale Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych** obciążenie podatkowe zmniejszyło do 249 mln zł! Później prezydent Łodzi dał NBP poręczenie na 450 mln zł z budżetu Rady Narodowej Miasta Łodzi. Rada Narodowa była organem założycielskim dla „Zachodu", a skoro chciano utrzymać przy życiu kombinat, to trzeba było wydawać pieniądze z budżetu, których brakowało na kulturę, oświatę, komunikację miejską itd.

Zmieniali się dyrektorzy, zmieniały się zarządy komisaryczne przedsiębiorstwa. **W 1986 r. ŁKB „Zachód" wybudował jeszcze mniej mieszkań — już tylko 555.** I nie daje się tego wytłumaczyć, jak próbowano to czynić, spadkiem zatrudnienia. Prawda, niektórzy pracownicy odeszli z przedsiębiorstwa. W latach 1982—1986 stan kadrowy zmniejszył się o 18 proc., ale oddano o 55 proc. mniej mieszkań!

„Południe" też bliskie upadku.

Na ratowanie **ŁKB „Zachód"** wydawano duże pieniądze, a tymczasem okazało się, że **Łódzki Kombinat Budowlany „Południe"** też jest bliski plajty. W 1985 roku **„Południe"** budowało najdroższe mieszkania pośród łódzkich kombinatów, a jednak choć planowano 39 mln zł zysku, to zarobiono dziesięciokrotnie mniej! Rok później wybudowano już nie 928 mieszkań, lecz **tylko 555.**

Okazało się, że kombinat wprawdzie buduje w systemie „Dąbrowa", lecz podobnie jak w przypadku systemu „Szczecin" jest to technologia nie spełniająca wymagań ujętych w normach. A niespełnianie norm, to przemarzające ściany, straty ciepła i inne uciążliwości dla mieszkających w blokach wielkiej płyty zwanej „Dąbrowa". Budowano bez atestu, bo systemu na czas nie udoskonalono (!) i ta „metodyka" doprowadziła do tego, że zysk przedsiębiorstwa obciążały potężne kary.

Historia lubi się powtarzać. Filia NBP, która straciła chęci do kredytowania ŁKB „Zachód", straciła je również wobec ŁKB „Południe". Potwierdziły się przepowiednie NBP, że „Zachód" nie jest odosobnionym przypadkiem i należy się spodziewać kłopotów kolejnych kombinatów. Bank domagał się radykalnych zmian strukturalnych w łódzkim budownictwie.

Wreszcie zdecydowano się na poważniejsze zmiany. „Zachód" podzielono. Powstało **Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego „Zachód"** i **Przedsiębiorstwo Produkcji Prefabrykatów „Łódź".** Natomiast z podziału **ŁKB „Południe"** powstały: **Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego „Południe", Przedsiębiorstwo Produkcji Pomocniczej „Dąbrowa".** Oddzielono więc wytwórnie wielkiej płyty od wykonawstwa mieszkań (tzw. montażu). Była to zmiana o tyle słuszna, co zarazem spóźniona. Gdyby przeprowadzono ją wcześniej, efekty mogły być znacznie lepsze.

Po rozbiorze kombinatów.

Powstały cztery „nowe" przedsiębiorstwa, tyle że wisiały nad nimi stare długi. Prawo jest jednoznaczne: nowe przedsiębiorstwo nie może być obarczone ujemnym zyskiem bilansowym, czyli stratą.

Droga do rozdziału była długa i trzeba było ponieść tego konsekwencje. Przed „rozbiorem" ŁKB „Południe" miał 78 mln zł straty. Przy podziale z **kasy rady narodowej dołożono 60 mln zł.** ŁKB „Zachód" miał stratę 80 mln zł, **która w całości sfinansowano z miejskiej kasy. Przyznawano też pieniądze na rozwój np. PPP „Dąbrowa" otrzymało 49,1 mln zł.**

Pieniądze popłynęły dość wartkim strumieniem, a jednak z tych czterech przedsiębiorstw nie wszystkie znalazły się w korzystnej sytuacji finansowej. Dotyczy to zwłaszcza **ŁPBO „Zachód"**, które „od startu" budżetowi państwowemu winne było ponad 100 mln zł, a na dodatek na firmie ciążył obowiązek docieplenia 100 tys. metrów kwadratowych (!) ścian w budynkach już zamieszkanych. Po pierwszym kwartale „usamodzielnienia" przedsiębiorstwo nie wypracowało zysku, lecz — znów — stratę (5,3 mln zł). Szczęściem w tym nieszczęściu było to, że złagodzono wymogi związane z atestem i do 1990 r. można budować bloki w systemie „Szczecin".

Przedsiębiorstwa na reorganizacji jednak zyskały. Ponieważ były to „nowe" firmy, to nie dotyczyły ich bariery wzrostu cen. W nowo tworzonych firmach fundusz płac ustalany jest przez organ założycielski. Płace podwyższono, bo były niższe niż w innych kombinatach, aby zapobiec zwalnianiu się pracowników. Co oczywiście było przykre, zwłaszcza dla najlepiej pracującego **Łódzkiego Kombinatu Budowlanego „Północ"** (przykre także dla ŁKB „Wschód"). Złe wyniki dały korzyści, dobre takich możliwości nie stwarzały.

Foto: Grzegorz Galasiński

W 1986 roku ŁKB „Północ" wybudował 1 084 mieszkania, w rok później — 1 209. **ŁKB „Wschód"**, odpowiednio: 891 i 934 mieszkania. Jakie były efekty reorganizacji? W minionym roku **ŁPBO „Południe"** oddało o ponad dwieście mieszkań mniej niż w 1987 r. **ŁPBO „Zachód"** zmontowało 260 mieszkań (!), czyli pięciokrotnie mniej niż w dniach, gdy nad **ŁKB „Zachód" po raz pierwszy krążyć poczęło widmo bankructwa.**

Tylko jakimś dziwnym prawem przekory Przedsiębiorstwo Produkcji Pomocniczej „Dąbrowa" wypracowało nadspodziewanie dobre efekty. Ta fabryka domów, powstała jako poligonowa w 1961 roku, jej funkcjonowanie było ekonomicznie uzasadnione przez 5—7 lat. Po trzydziestu latach cudem się zdaje, iż przetrwała po dzień dzisiejszy. Jej stan techniczny jest fatalny. Potrzebne są bardzo duże nakłady finansowe na odnowienie majątku przedsiębiorstwa. Gdy reorganizowano dwa kombinaty, padła propozycja, aby dla powstających przedsiębiorstw montażu pracowała tylko wytwórnia wielkiej płyty przy ul. Teresy, a więc należąca dawniej do ŁKB „Zachód". Natomiast ta przy ul. Gojawiczyńskiej (dawniej należąca do ŁKB „Południe") miała wygaszać produkcję elementów systemu „Dąbrowa", by do czasu śmierci technicznej wytwarzać elementy pomocnicze (krawężniki, płytki chodnikowe itp.). Stanęło jednak na tym, że jako samodzielne przedsiębiorstwa przetrwały obie wytwórnie wielkiej płyty i konieczne było dofinansowywanie tego status quo, **PPP „Dąbrowa"** otrzymało skromniejsze dotacje niż inni, a jednak zaczęło prężnie działać! To jednak, ze względu na skalę zjawiska, na wynikach łódzkiego budownictwa nie może ważyć w sposób znaczący.

Kara za dobre wyniki?

O ile ŁKB „Zachód" przez kilka lat zdobywał sobie w kraju złą sławę, to przeciwnie działo się z **ŁKB „Północ"**. Dobra praca przedsiębiorstwu na dobre nie wyszła. Najpierw kombinatowi źle przysłużyło się swą polityką podatkową **Ministerstwo Finansów,** wprowadzając zasadę, że wzrost cen mieszkań nie może być wyższy od 21 proc. Ceny w końcu 1987 roku, niezależnie od przedsiębiorstwa, wzrosły o 40 proc., a kombinat wybudował ponad plan 80 mieszkań. Do każdego dodatkowego mieszkania trzeba było dołożyć z kasy firmy i w ten sposób utracono 75 mln zł!

Wkrótce polityka tego ministerstwa postawiła **ŁKB „Północ"** w dwuznacznej sytuacji. Rentowność netto jest to kategoria ekonomiczna, określana ilorazem zysku do kosztów własnych sprzedaży. Według pierwszej wersji bilansu osiągnięto ponad 10 proc. rentowność, najwyższą pośród kombinatów, co tylko pozytywnie świadczy o przedsiębiorstwie. Tymczasem ministerstwo zaskoczyło wszystkich przepisem (działającym wstecz!), wprowadzając zasadę, że na swobodę w kształtowaniu cen mogą sobie pozwolić tylko te przedsiębiorstwa budowlane, które mają rentowność poniżej 10 proc. Postanowiono znów premiować tych, którzy osiągają słabe wyniki. Tylko sobie znanymi metodami firma potrafiła doprowadzić do takich korekt, że o ile w pierwszej wersji bilansu rentowność przekraczała minimalnie „próg", to już w drugiej, tej ostatecznej, wskaźnik kształtował się nieco poniżej 10 proc.

W ten sposób przedsiębiorstwo zebrało doświadczenia, z których wynikało, że wychylać się już nie należy, że lepiej równać do słabszych. Na dodatek **ŁKB „Północ"** zażarcie bronił swej samodzielności i samorządności. Gdy ogłoszono konkurs na stanowisko dyrektora naczelnego, władze Łodzi narzuciły swego kandydata. Ale przedsiębiorstwo wygrało sądowy proces. Dyrektorem został ten, którego wybrała Rada Pracownicza ŁKB „Północ". Sprawa to sprzed trzech lat, ale w przedsiębiorstwie pracownicy przypominają ją niemal przy każdej okazji...

Tymczasem miniony rok znów przyniósł przedsiębiorstwu przykrą niespodziankę. W kraju wprowadzono tzw. eksperyment słupski. Chodziło o to, że kto wybuduje o 10 proc. więcej mieszkań, ten dostanie duże ulgi finansowe, pozwalające m.in. na wzrost płac. W ten sposób przedsiębiorstwa, które zachowywały rezerwy, w 1987 r. budowały mało, bez trudu na „eksperyment" się załapały. **Dla ŁKB „Północ"** okazało się, że wybudowanie 80 mieszkań ponad plan w 1987 r. pogrzebało szanse na osiągnięcie korzyści finansowych. Dla ŁKB „Północ" byłoby chyba lepiej, gdyby bardziej brano przykład z ŁKB „Zachód" czy ŁKB „Południe".

ŁKB „Północ" ma dwie fabryki domów. Jedną niedawno wyremontowano. Na remont drugiej, po utraceniu 75 mln zł i prawa do ulg z ogólnopolskiego „eksperymentu słupskiego" przedsiębiorstwo nie ma pieniędzy! I przy tej okazji trzeba zapytać: **czy należało tak wiele złotówek z budżetu miejskiego wydawać na dofinansowywanie firm słabych,** zamiast przeznaczyć je dla fabryki domów **ŁKB „Północ"?** Wytwórnie wielkiej płyty swe zdolności wykorzystują co najwyżej w połowie, **czy potrzebnych jest aż tyle fabryk domów w Łodzi,** gdzie buduje się tak mało, a utrzymanie tego stanu posiadania kosztuje wiele?

Dziwne rzeczy dzieją się z cegłą

Gdy bliskie zdawało się bankructwo dwóch kombinatów, ich los podzielić mogło **Łódzkie Przedsiębiorstwo Ceramiki Budowlanej,** dysponujące kilkunastoma cegielniami. Cegielnie w większości pracowały fatalnie, przynosząc straty lub minimalny zysk. Największa z cegielni całorocznych, położona niemal w centrum miasta, przy ul. Krokusowej, miała w 1987 r. przynieść 34 mln zł straty. Mniejsza — **w Strykowie** powiększała deficyt o dalsze 12 mln zł. W **ŁPCB** pracownikom płacono źle, co było skutkiem słabych wyników finansowych przedsiębiorstwa.

I cóż się stało? Przedsiębiorstwo nie zyskało dotacji, nie mogło liczyć na pomoc finansową i w październiku 1987 roku ogłoszono przetarg na dzierżawę dwóch najbardziej deficytowych cegielni.

Dzięki temu cegielnię przy ul. Krokusowej przejęła spółka prawa cywilnego, utworzona przez cztery osoby, trzech absolwentów Politechniki Łódzkiej i studenta Uniwersytetu Łódzkiego, proponując 3 mln zł rocznie tytułem dzierżawy (opłata co roku jest aktualizowana, w stopniu wynikającym ze zmian ceny cegły). Spółce cegielnia strat nie przynosi! Potrafiono wykorzystać potencjał produkcyjny: trzykrotnie zwiększono produkcję cegły, wykonywanej także dla kombinatów.

Absurdy ogólnokrajowej polityki budowlanej doścignęły jednak i spółkę. W 1988 roku minister budownictwa ogłosił swój program rozwoju tak potrzebnych materiałów budowlanych. Zapewnił ulgi finansowe, dla firm produkujących do... 2,4 mln sztuk cegły i okazało się, że przez to, że spółka tak zwiększa produkcję, **traci prawo do ulg,** umożliwiających... rozwój produkcji!

Dziś złośliwi pytają: **po co istnieje ŁPCB?** Przedsiębiorstwo konsekwentnie przekazywało kolejne cegielnie. Straty zamieniano w zyski. Po pięciu latach w ŁPCB znów wypłacono nagrody z zysku! Cegielnie przed przekazaniem były bliskie ruiny, bo preferowana była wielka płyta kosztem cegły. Teraz dzierżawcy z własnych pieniędzy ponoszą nakłady na unowocześnianie fabryk-manufaktur. Czy powinno istnieć ŁPCB w swej obecnej strukturze organizacyjnej, skoro potwierdziła się rzecz najważniejsza, że cegielnie nie muszą być własnością państwową, aby państwu przynosiły korzyści?

ŁPCB do niedawna było podporządkowane ministrowi budownictwa. W ramach decentralizacji władzy organem założycielskim jest obecnie **Rada Narodowa Miasta Łodzi.** Dlatego tak ważne jest, że przedsiębiorstwo zwiększyło zyski. Im większy zysk, tym więcej pieniędzy — tytułem podatków — wpływa do miejskiej kasy. A więc dla łódzkiego budżetu terenowego oddawanie cegielni w dzierżawę też jest nader korzystne.

Ten przykład dowodzi jeszcze jednej istotnej rzeczy. Dla ratowania wielkiej płyty wydawano wielkie pieniądze, a ratowane przedsiębiorstwa nie osiągają takich wyników, jakich się spodziewano. Efekt, to nie tylko niewielka liczba oddanych mieszkań. Im mniejsza jest sprzedaż „nowych" przedsiębiorstw, tym mniejsze płacą podatki.

Dla budżetu kara jest więc podwójna.

Czego możemy się spodziewać?

W 1988 roku wybudowano 3 288 mieszkań, przy czym tzw. inni wykonawcy (ci, nie zaliczani do grona kombinatów) oddali tylko 344 mieszkania. A więc, tak jak dawnymi laty bywało, niemal całe wykonawstwo skoncentrowane jest w ręku wymienianych w artykule potentatów.

Przed kilku dniami radni przyjęli plan, w którym założono wybudowanie **4 tys. mieszkań w 1989 r.** Przedsiębiorstwa były skłonne wykonać nieco mniej, ale plan można uznać za realny, zarazem niski. I należy się spodziewać, że plan zostanie wykonany, wyniki będą lepsze niż w ub. r. Do satysfakcji jednak bardzo daleko.

Ratowanie niewydolnych przedsiębiorstw kosztowało już co najmniej **miliard złotych!** Jest to kwota większa niż wynosi wartość majątku trwałego **ŁPBO „Zachód".** Przy dużym uproszczeniu można rzec, że łatwiej było wybudować nową wytwórnię wielkiej płyty niż utrzymywać stan posiadania.

Czy pieniędzy przeznaczonych na dotacje nie należało wykorzystać inaczej?! W 1988 r. ŁPBO „Zachód" po raz pierwszy wypracowało zysk, ale minimalny i na optymizm jest za wcześnie. A jakie *bytyby efekty*, gdyby przedsiębiorstwo upadło, a jego majątek został „zlicytowany" i wykupiony przez spółki zagraniczne? Czy obroniliśmy się przed czymś, czego bać się należało?

Pocieszeniem powinno być to, że do budownictwa mieszkaniowego powrócić ma **Łódzki Kombinat Budowlany „Śródmieście"**, znany obecnie pod szyldem **Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Ogólnego „Jedynka".** Firma ta powraca z... budowy Centrum Zdrowia Matki Polki. A więc gdy mówimy o drastycznym obniżeniu ilości budowanych i oddawanych do użytku mieszkań, przyznać trzeba, że związane jest to także z budową szpitala. Takiego wyboru dokonano.

Czy jednak **„Jedynka"** wróci „z rozmachem" do mieszkaniówki? Okazuje się, że na wykonawców czekają inwestycje, których nie ma kto kontynuować.

Niedawno na łamach „Odgłosów" ukazał się artykuł A. Gębarowskiego o skandalicznym tempie budowy innego szpitala. Chodzi oczywiście o budowany w naszym mieście nadmiernie potężny **szpital Akademii Medycznej.** Budowa trwa kilkanaście lat i jeszcze potrwa, oby tylko kilka lat. I jest to kolejny przykład budowy, przy podejmowaniu której nie liczono się z realiami, z możliwościami finansowymi i wykonawczymi. Czy stać nas na rozrzutność, polegającą na realizowaniu wielu celów, które w rzeczywistości nie są realizowane? Przecież okazuje się też, że **nie ma kto budować Grupowej Oczyszczalni Ścieków** Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej, a inwestycja opóźniona jest już ponad wszelką miarę.

Plan wszystkich przedsięwzięć powinien być wreszcie zbilansowany i zmodyfikowany, pod aktualne możliwości. Możliwości są większe od efektów, bo rezerwy tkwią w strukturze. Potrzebny jest solidny, perspektywiczny plan reformowania łódzkiego budownictwa.

ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

ze str. 1

renowacji drzewostanu zabytkowego parku Źródliska, zaczyna dyskutować nad wpływem śpiewu słowików na rozwój dorożkarstwa, to mnie zaczyna szlag trafiać. Komisja zastanawia się, czy przesunąć alejkę o pół metra, czy zerwać asfalt i posypać alejkę piaskiem, a drzewa giną. Trzeba ratować stare dęby, zabezpieczać dziuple, usuwać suche, chore gałęzie.

— Za miastem też nie jest lepiej, co?

— Różnie bywa. Na przykład miano położyć kolektor od starej oczyszczalni ścieków na Lublinku. Projektant opracował chyba trasę za biurkiem, ze starej mapy. Na ukos przez las, żeby wyciąć kilka hektarów lasu! Mówię, że można pociągnąć kolektor inną trasą, tańszą, bo wytnie się trochę czeremchy i opłaty będą niewielkie. Gdzie tam, projekt zaawansowany i tragedia, bo premie polecą. W końcu, przy pomocy życzliwych ludzi, wymusiłem zmianę trasy i uratowałem las na Lublinku.

— Ale nie zapobiegł pan temu, co się stało w pobliżu Lublinka. Przy regulacji Neru wycięto wszystko: krzewy wikliny, łozy, olchy, brzeziny. Nawet śmierć człowieka przy wycince drzew nie powstrzymała dewastatorów. I teraz mamy prawdziwy kanał ściekowy, obwarowany zwałami piachu.

— Niestety, ratując pola i łąki przed trującymi wylewami Neru, zniszczono cały nadrzeczny krajobraz. Nie położono na wałach ziemi i teraz przez lata, podobnie jak w wodzie nie wróci na brzegi życie biologiczne. A do tego jeszcze dochodzą bezsensowne melioracje. Gdzie tylko jakieś bagienko, to je osuszyć, chociaż wokół Łodzi nie ma już wody. I wszędzie ta bolszaja technika, byle tylko ręką nie tknąć, puścić maszynę. W Łodzi coraz mniej zieleni, ale budowlani muszą mieć koniecznie 25-metrowy pas manipulacyjny. Wjeżdża z rozmachem na nowy teren i golą wszystko, co żyje. Kary nie mają znaczenia. Opłaty i kary za wycięcie drzew wliczy się w koszt inwestycji, a ludzie zapłacą drożej za mieszkania.

— Panie inżynierze, łagiewnicki las umiera na suchoty. W pięknym parku w Pabianicach ze świerków i sosen sypie się rdzawe igliwie...

— Wiem, ten las dogorywa. Pewnie dlatego w łagiewnickim szpitalu zebrało się Towarzystwo Przyjaciół Łagiewnik, aby mu pomóc. Są inicjatywy społeczne, ale samymi działaniami kontrolnymi niewiele się osiągnie. Tu chodzi o ochronę ginącego lasu. Bo co z tego, że Dni Lasu i Zadrzewień poświęci się wyłącznie Łagiewnikom? Dzieci zbiorą śmieci, a dorośli przyjdą i od nowa zabałaganią. Fachowych prac w lesie nie wykona nam amatorsko młodzież. A jak chodzi o Pabianice, to powiem panu, że dla drzew groźne są pyły, ale jeszcze groźniejsze gazy, przede wszystkim dwutlenek siarki i tlenki azotu. Elektrownia Bełchatów ma 300-metrowe kominy, ale przy wysokiej temperaturze gazy zaczynają się rozchodzić z pułapu 1000 metrów, dzięki czemu mogą dotrzeć nawet do Skandynawii...

— Nie mniej groźna jest ludzka zaraza. Parki w Aleksandrowie, Konstantynowie, Zgierzu, to nie tylko obraz wandalizmu. To siedliska patologii społecznej.

— Proszę pana, to są parki miejskie, podlegające gospodarce komunalnej. Konserwator przyrody nie zastąpi milicji ani naczelnika. Ba, jest i tak, że nie pozwalam niczego budować w zabytkowym parku, bo mam takie prawo, a naczelnik wali pięścią w stół i stawia ośrodek zdrowia. Działam na zasadzie pogotowia, ale i tak wszystkiemu nie zapobiegnę. A jaki jest efekt? Jeżdżę tu i tam własnym autem w celach służbowych, zetnę opony, a nowych nie kupię.

— No, mógłby się pan chociaż pochwalić wiejskimi parkami.

— Mamy w województwie 24 wiejskie parki. Te w Sokolnikach i w Leśmierzu wpisane są do rejestru zabytków, toteż objęte są wyższą formą ochrony. Leczenie i pielęgnacja starych drzew są trudne, prowadzi się je bowiem na znacznych wysokościach. Rzecz w tym, że ja nie mogę wyręczać gospodarza w tej pracy. Są środki z Funduszu Ochrony Środowiska i tylko od inicjatywy naczelnika gminy zależy, żeby je wziąć i znaleźć wykonawców do prac renowacyjnych. Ja jestem sam, nie mam żadnych służb wykonawczych. I jeśli chodzi o dobry stan parku wiejskiego, to chlubny wyjątek stanowi tu Zespół Szkół Rolniczych w Bratoszewicach. Większość parków wiejskich, głównie tych należących do PGR i SKR, znajduje się w stanie śmierci klinicznej. Człowiek marzy, żeby doprowadzić parki do stanu kwitnącego, ale gdy patrzy na te w PGR i SKR, trzeba mieć dużą wyobraźnię, aby zobaczyć w tym park. Stare maszyny, kaczki, bydło, zagnojone okólniki, składowiska nawozów...

— Powiew socjalizmu powalił parkany i to, co było w środku, zostało zdeptane.

— A wie pan, że nie wszędzie? Będąc w Tucholi przekonałem się, że nie musi być tak źle. Pegeery stworzyły tam własny zakład renowacji i mają najpiękniejsze parki. Niemniej u nas, w Woj. Komitecie Ochrony Przyrody, słyszy się głosy, że parki i zieleńce należałoby grodzić. Nie chodzi o zasieki z drutu kolczastego, ale ten pęd do trawowania warto by jednak przykrócić.

— A może przynajmniej parki wiejskie oddać w ręce prywatne?

— Czemu nie? Tylko, widzi pan, gdy zgłosił się chętny do nabycia z PFZ 6-hektarowego parku w Klęku, to musiał szybko zrezygnować. Bzdurna sprawa, bo wpierw wyliczono mu 22 mln zł, a przy ulgach najmniej 11 mln. Żeby taki park zagospodarować, facet musiałby dodatkowo włożyć ładnych parę milionów. Parki zabytkowe zwolnione są od podatku, a zwykłe parki wiejskie nie, no i nabywca prywatny nie dostanie żadnych ulg. Jednostki gospodarcze, które najbardziej dewastują parki, mogą dostać fundusze na renowacje, a prywaciarz ani grosza.

— Proszę pana, skoro nie pomagają metody wychowawcze, apele ani kary, to w ochronie zieleni należałoby zastosować terror i najsurowsze represje. Konserwator przyrody powinien być człowiekiem twardym, nieustępliwym, stosującym ostre sankcje.

— Wie pan, ja z natury jestem człowiekiem pogodnym, łagodnego usposobienia...

— Ale gdyby pan miał pełne uprawnienia, byłby pan katem, co?

— Na razie to ja jestem papierowym tygrysem. Zniszczyć drzewo na terenach rolniczych to tyle, co splunąć. Obowiązują przepisy jeszcze z roku 1949. Jeśli ktoś zniszczy drzewo w mieście, grozi mu opłata w wysokości 30 tys. zł. Wydaję zezwolenia na wycinkę drzew, a jak ktoś jest niezadowolony, przychodzi do mnie. Inny mówi, że jest miłośnikiem przyrody, ale jedno drzewo strasznie mu przeszkadza, więc trzeba wyciąć. A przecież drzewa można formować, prześwietlać. Tylko nie ogławiać topól na wysokości trzech metrów, jak to miano rzekomo zrobić na ul. Kasowej. Na przycięcie drzewa nie trzeba zgody z urzędu, bo nie musi to być okaleczenie. Tymczasem wyciąć może drwal, ale na to trzeba zgody. Prześwietleń musi dokonywać fachowiec, lecz na to nie trzeba zgody. Przepisy zabraniają wysypywania takiej a takiej ilości soli na metr kwadratowy. A kto policzy, ile dozorca wysypał soli? I drzewa usychają, a ja mogę skierować sprawę do kolegium, tylko nie wiem przeciwko komu. Sypią się mandaty i hasła demagogiczne, a konserwator przyrody traktowany jest jak nieszkodliwy wariat.

— A jakie są tego efekty?

— Takie, że rocznie z różnych przyczyn wycina się w Łodzi ok. 6 tysięcy drzew.

— Więc niech pan chociaż ratuje ten park krajobrazowy w rejonie Górnej Moszczenicy.

— Mówi się, że my nie chcemy utworzyć tego parku krajobrazowego. A przecież dokumentacja w tej sprawie została złożona. I okazało się, że możemy mieć najmniejszy park krajobrazowy w Polsce, a na dodatek przetnie go autostrada Północ-Południe. Ze względu na walory przyrodnicze, podobną roślinność i konfigurację terenu chcieliśmy park powiększyć o takie tereny, jak Tadzin i Dąbrówka Mała, ale to już za granicą i Skierniewice nie wyraziły zgody. Poza tym ten obszar krajobrazu chronionego jest już silnie zurbanizowany, pozostaje mi więc nie wpuszczać tam uciążliwego przemysłu.

— A co pan ukrywa w tym miniwojewództwie?

— Powiem, ale nie wymienię tych nie spotykanych gdzie indziej roślin, bo ludzie zaraz by powyrywali. To jest torfowisko Rąbień — jedyny w Polsce środkowej, liczący 43 ha rezerwat przyrody z torfem wysokim, którym opiekuje się nadleśnictwo Grotniki.

— Pięknie. A po każdej akcji „Posesja" leży tam to wszystko, czego nie powinno być w lesie.

— To rzeczywiście plaga. Ostatnio na torfowisku strażnik Straży Ochrony Przyrody zatrzymał kierowcę, ten machnął jakąś legitymacją i pojechał dalej. Numery zostały spisane. Dotychczas „Gumówka" zwalała tam odpady. Wysypisko zrekultywowano i żeby zapobiec nielegalnemu wysypowi śmieci, stawiamy kontenery, za które płaci Wydz. Ochr. Środowiska. Za wywóz śmieci zapłaci gmina. W Głownie zdaje to egzamin.

— A co będzie z parkiem w Rzgowie?

— Nie wiem. Uchwała RN MB zabrania budować i wypasać bydło w parkach, a także prowadzić szkodliwe prace budowlane w bezpośrednim sąsiedztwie parków. W Rzgowie postanowiono wznieść na granicy parku budynki użyteczności publicznej. I to potrzebne, i to potrzebne. Codzienne dylematy, proszę pana. Samorząd chce stawiać kiosk na trawniku, inni mieszkańcy się nie zgadzają. Na nowych osiedlach nie ma zieleni, a jak się ją sadzi, to spontanicznie, chaotycznie i potem zaczynają się kolomyjki. Bo z drzewkiem jest jak z dzieckiem. Gdy małe, to miłe i wszystkich cieszy, a jak wyrośnie — zaczyna przeszkadzać.

— Drzewo rośnie przy szczycie, gdzie nie ma okien, ale liście się sypią, co?

— Właśnie. A przepisy nic nie mówią o wycince z powodu opadających liści. Albo dama rozkazuje, żeby tu drzewa wyciąć, a tu posadzić. Dobra, mówię, ale to będzie panią kosztować 12 tysięcy. O, nie! A może — mówię — to ten sąsiedni blok rzuca cień, więc go rozebrać? Ee — zżyma się dama, — blok? I puszcza pleśka między iglaki. A siusianie zieleni szkodzi. Kiedy piesek przez sezon podnosi nóżkę, to cypryśki i tuje szlag trafi. Ludzie gonią za pieniędzmi i przestają widzieć i kochać zieleń.

— Nawet ci wyrośli wśród przyrody przybysze ze wsi?

— Bo ja wiem? Może w mieście wstydzą się grzebać w ziemi? Bo na wsi stawia się teraz szkaradne pudła, wycina każdy krzak, żeby lepiej było widać i zalewa wszystko betonem. Wie pan, w parku Worcella rosną cisy. Dzieciak łamie gałązki, więc zwracam na to grzecznie uwagę, a mama na mnie z buzią. Mówię więc, że dobrze, ale jak dzieciak napcha do buzi igieł, to znajdzie się w szpitalu, bo cis jest trujący. Mały dostał po tyłku a ja ani słowa przeprosin. I słusznie, bo skłamałem, gdyż trujące są owoce cisu. Ale to tylko świadczy o wychowaniu i o naszej miłości do przyrody.

— Nie tryska pan optymizmem. A może znajdzie pan sojusznika w nowej organizacji Zielonych?

— Gdybym znał dobrze jej cele, miałbym pewne nadzieje. Faktem jest natomiast, że zieleń stała się własnością komunalną, może więc rady narodowe zajmą się nią wreszcie z należną troską. Myślę, że powstaną nowe zakłady renowacji zieleni, ŁPO przestanie być monopolistą i coś się zacznie dziać. Może i ja uzyskam więcej uprawnień i przestanę być tym papierowym tygrysem w jaśminach? Marzę o tym, aby nie oglądać więcej trupów powalonych drzew. Pogrzeby i stypy to nie moja specjalność.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
RYSZARD BINKOWSKI

Tygrys w jaśminach

Foto: Grzegorz Gałasiński

Grzegorz Gałasiński

PREZENTUJE:

Zabytki Moskwy

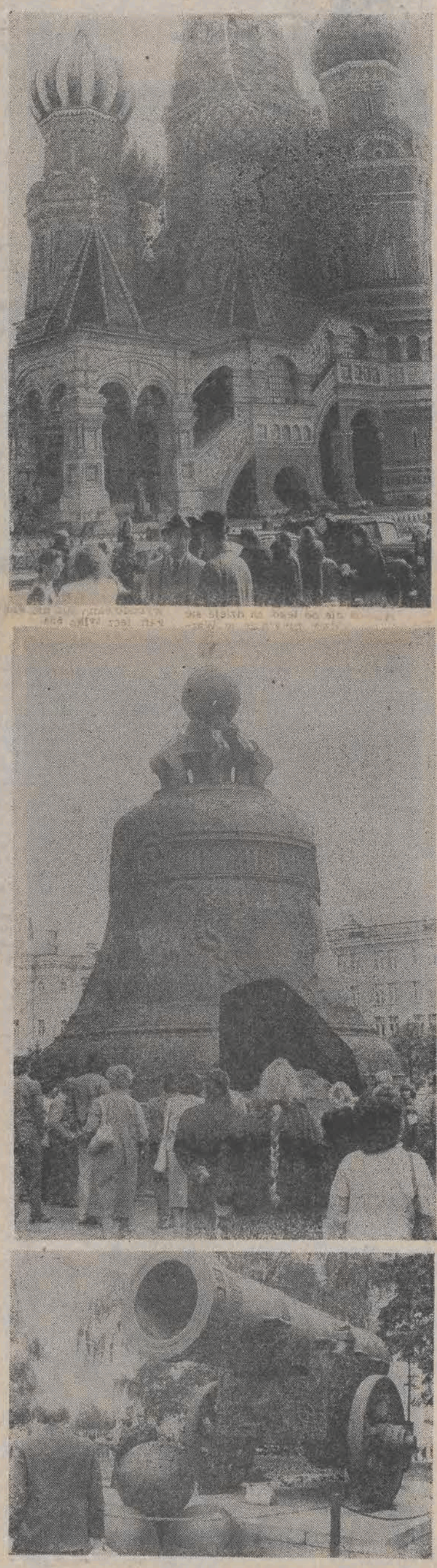

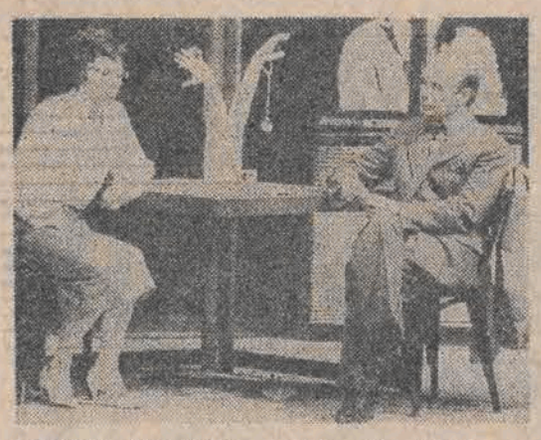

Barbara Dembińska i Aleksander Bednarz w „Elegii dla jednej pani".

Foto: Witold Werner

ZBIGNIEW PIELAS

Rzecz o stole

przy stole owym gdzie rylcem wyryto
z nudy lub szczęścia słowa KOCHAM JASIA
piwsko żłopano przy tym w mordę bito
albo tańczono hucznie obertasa

przy stole owym mogę dziś z godnością
całować pani wypieszczone ręce
mogę z kulturą bawić i miłością
najczulsze owej zdobywając serce

ponieważ sens tkwi w samym przeznaczeniu
czasu wyborze figlarnym i srogim
który jak obrus wizję rzeczy zmienia
i między diabłem wybiera a bogiem

rzecz bowiem nie w tym by w przeszłości
grzebać
lecz umieć znaleźć swój kawałek nieba

Poczta literacka

Drodzy Czytelnicy,

od tego numeru będziemy systematycznie zamieszczali w „Odgłosach" pocztę literacką. Jest to dobry zwyczaj kultywowany w kilku pismach polskich cieszący się zainteresowaniem oraz spełniający swoją edukacyjną rolę w kształtowaniu świadomości literackiej. Poczta literacka jest szczególnym rodzajem dialogu. Rozmawia bowiem krytyk z konkretnym adresatem (choć ukrytym najczęściej pod inicjałami), ale w rozmowie tej zawarte są sygnały „przesłania do wszystkich", przynajmniej do wszystkich piszących. Rozmowa ta winna wyrastać z atmosfery życzliwości, nawet wtedy, kiedy trzeba być surowym. Pobłażanie w błędach „sztuki pisarskiej" mści się srodze na całej literaturze.

Przysyłajcie zatem swoje wiersze, opowiadania, eseje. Będę odpowiadać i oceniać je jak najszybciej. Poza konkretnymi odpowiedziami będziemy też od czasu do czasu zamieszczali pewne wskazówki „warsztatowe" — podstawowe zasady „tworzenia literatury" skuteczności określonych technik pisarskich, informowanie o „modach literackich", notowania na „giełdzie poetyckiej". Niekiedy też owe ogólniejsze uwagi opatrzymy dodatkowo wskazaniami bibliograficznymi — odwołaniem do literatury teoretycznoliterackiej wielce przydatnej dla tych, którzy chcą się wedrzeć na „skałę Kaliopy".

KRYTYK

Miłości nienasycone?

Nie muszę tego wiedzieć, czy główną inspiracją twórczości **Arthura Millera** stały się od pewnego momentu przeżycia związane z **Marilyn Monroe.** Nawet ewentualne zwierzenia autora nie zobowiązują bowiem do odczytywania intymnego szyfru dzieła. Czy to była Beatrice, Lotta lub Maryla, czy też inna heroina romansu, które weszły do literackiej legendy, to i tak wybroniły się z upływem czasu tylko dzieła rzeczywistego talentu. Jestem więc przeciwko jakże łatwym napomknieniom o Marilyn przez pojawienie się w tle jej wizerunku, użytego jako swoisty „znak wywoławczy" w obu sztukach Millera, składających się na program wieczoru.

„Coś jakby historia miłosna" wydaje się w pewnym stopniu sztuką o miłosnym uczuciu, które jednak, choć uzależnia wzajemnie detektywa i prostytutkę, nie wypełnia całkowicie ich emocjonalnego związku. W rachubę wchodzi bowiem także wzajemna gra — przede wszystkim w zatajaniu przez Angelę, co wie ona o sprawcach zbrodni, którą obarczono niewinnego człowieka. Być może ze strachu przed ewentualną zemstą Angela stara się odwieść Toma od kontynuowania prywatnego śledztwa i dlatego usiłuje wzbudzać w nim pożądanie, ale może naprawdę ma dla niego uczucie?

Powątpiewałbym raczej w seksualne zapotrzebowania prostytutki, która przecież nie uprawia seksu con amore, Tom zaś, prowadzący grę o własną karierę, może również dobrze udawać tłumienie pożądania, którego nie odczuwa, jak rzeczywiście odsuwać od siebie wszelkie emocje, które zmąciłyby jego sąd o sprawie. Co prawda jedno może perwersyjnie przeplatać się z drugim na tak mało zbadanych pograniczach świadomości. Zresztą autor prowadzi akcję i dialog w ten sposób, iż trudno jest zyskać pewność, na czym ta obopólna gra polega.

AGNIESZKA KOWALSKA przekonująco łączy liście kurewską trywialność **Angeli** z przejawami kobiecego wdzięku, a w dodatku z somnambulicznym transem, w którym jakby szukała ucieczki w momentach szczególnie trudnych. **ALEKSANDER BEDNARZ,** może nie najlepiej predysponowany do ról tak dynamicznych, stworzył postać „swojego chłopa", któremu daleko do nienagannych manier detektywów filmowych; oboje zresztą obrzucali się obscenami z podziwu godną naturalnością.

„Elegia dla jednej pani" utrzymana jest w ściszonej tonacji, akcja toczy się niespiesznie. Tu znów wystąpił Aleksander Bednarz, jako dystyngowany klient sklepu z wytwornymi drobiazgami. W rozmowie z właścicielką **(BARBARA DEMBIŃSKA)** mężczyzna wyjawia zamiar obdarowania znacznie młodszej od niego kobiety, z którą łączy go od dawna w tajemnicy bliski związek. Jest to osoba nieuleczalnie chora, być może świadoma rychłego końca, prezent nie powinien więc wywoływać u niej niepożądanych skojarzeń.

W nasyconej refleksją rozmowie o życiu, śmierci i miłości **Mężczyzna** otwiera się coraz bardziej, a **Właścicielka,** najpewniej osoba samotna, zaczyna mu okazywać objawy czułego współczucia (stanowiącego decorum krystalizujących się pragnień). Mężczyzna przyjmuje to pocieszenie nadzwyczaj chętnie, jak coś najnaturalniejszego, choć nie jest to zgodne z prawdopodobieństwem sytuacyjnym, realistycznej dotąd konwencji utworu, nasuwać więc może interpretację, iż to co się dzieje jest wytworem wyobraźni bohaterów.

ALEKSANDER BEDNARZ potwierdził znów swą umiejętność tworzenia postaci spójnej, konsekwentnej w ruchu, geście, intonacji głosu. **BARBARA DEMBIŃSKA** uwiarygodniła postać kobiety w stałym pogotowiu do wyjścia naprzeciw miłosnej ofercie, umiejącej instynktownie utrafić wobec partnera we właściwy ton.

Istnieje ponoć trzecia jednoaktówka Millera, pokrewna ideowym przesłaniem tym obu sztukom, z którymi stanowić ma tryptyk, ale możliwości odbioru widowni zaspokoił chyba oglądany dyptyk. I to pomimo wizerunku Marilyn...

JERZY KWIECIŃSKI

Arthur Miller: „Some Kind of Love Story", „Eleg" for a Lady". Przekład — **Małgorzata Semil.** Reżyseria — **Włodzimierz Nurkowski,** scenografia — **Marek Braun.** Premiera na Małej Sali 4 marca br.

Honory dla ludzi teatru

Jak informowaliśmy w ub. tygodniu odbyły się w Łodzi uroczystości związane z Międzynarodowym Dniem Teatru połączone z obchodami setnej rocznicy powstania w naszym mieście stałej sceny polskiej. Uczestniczyli w nich: minister kultury i sztuki — prof. **Aleksander Krawczuk,** prezes ZG ZASP — **Kazimierz Dejmek,** prezydent Łodzi — **Jarosław Pietrzyk,** sekretarz KŁ PZPR — **Grzegorz Misiewicz** oraz przedstawiciele stronnictw, organizacji społecznych, politycznych, ludzie teatru i aktyw kulturalny.

Najbardziej zasłużonych pracowników teatru uhonorowano wysokimi odznaczeniami państwowymi: Krzyżem Komandorskim OOP — **Sabinę Nowicką;** Krzyżami Oficerskimi OOP — **Zygmunta Ciesielskiego i Bohdana Wróblewskiego;** Krzyżami Kawalerskimi OOP — **Zofię Darlak-Ostrowską, Andrzeja Głoskowskiego, Andrzeja Herdera i Alicję Zomer-Kubicką.** Złote Krzyże Zasługi otrzymali: **Wiesława Adamczak, Tadeusz Bilski, Irena Ginter, Lucyna Julkowska, Helena Kaniewska, Mieczysław Kowalski, Maciej Małek, Stanisław Sobczyk, Henryk Staszewski, Zyta Walczak i Helena Witkowska.** Srebrne Krzyże Zasługi — **Zbigniew Bielski, Leon Charewicz, Zofia Charewicz, Alicja Cwiklińska-Garlicka, Maria Hajman, Stanisław Jaskułka, Urszula Karaś, Marek Kołaczkowski, Jan Kruk, Barbara Marszałek-Krukowska, Jan Reszke, Roland Unczur, Mariusz Wojciechowski, Wanda Zajfert, Barbara Zyskowska,** natomiast Brązowe Krzyże Zasługi — **Józef Paszkiewicz, Krystyna Rajchert, Zbigniew Szatkowski i Jerzy Szczeblewski.**

Honorowymi Odznakami Miasta Łodzi wyróżniono: **Franciszka Gadzalę, Irenę Harasim, Jerzego Hutka, Barbarę Jankowską, Marka Jaszczaka, Mariana Kowalskiego, Pawła Marciniaka, Elżbietę Nojek, Aurelie Andrzejczak, Marię Chodkiewicz, Gabrielę Durkacz, Adama Forysińskiego, Halinę Grochowską, Adama Komana, Małgorzatę Rogacką-Wiśniewską, Barbarę Sobczyk, Alicję Wałęską i Macieja Wrzoska.**

Odznakami „Zasłużonego Działacza Kultury" uhonorowano: **Zdzisławę Głoskowską, Elżbietę Gryń-Radwańską, Jana Hencza, Stanisława Jaroszyńskiego, Andrzeja Kierca, Andrzeja Pałubskiego, Jadwigę Paul, Tadeusza Paula, Bogusławę Pawelec-Małek, Krzysztofa Sendke, Zofię Uzelec, Ewę Worytkiewicz, Kazimierza Banasiaka, Zofię Cendrowicz, Teresę Dembińską, Andrzeja Fogla, Bolesława Kochańskiego, Teresę May-Czyżowską, Mirosławę Marcheluk, Zbigniewa Sobisa, Halinę Sobolewską, Marię Szczucką-Kudanowską, Romualda Tesarowicza, Włodzimierza Traczewskiego i Piotra Wojciechowskiego.**

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru Medalami im. Leona Schillera, przyznawanymi za całokształt pracy na rzecz teatru, uhonorowano: **Antoniego Bilasa, Krystynę Bobrowską, Martę Janic, Stanisława Kaszyńskiego** (pośmiertnie), **Annę Kuligowską, Michała Kunę, Sabinę Nowicką i Mieczysława Woźniakowskiego.**

Wręczono także doroczne nagrody dyrektora wydziału kultury i sztuki (przyznawane za działalność w upowszechnianiu teatru), które przyznano: **Barbarze Baryżewskiej, Tomaszowi Fitasowi, Stanisławie Grosbart, Zdzisławowi Jaskule, Ewie Kamińskiej, Romanowi Kamińskiemu, Tadeuszowi Lewandowskiemu, Włodzimierzowi Wdowiakowi, Mieczysławie Tarłowskiej i Ewie Zdzieszyńskiej, która otrzymała także list gratulacyjny Prezydenta Miasta Łodzi.**

Gratulujemy.

M. Z.

PESTKI DYNI

ARNOLD SCHWARZENEGGER: wzrost 188 cm, waga 97 kg, obwód klatki piersiowej 145 cm, obwód ramienia 56 cm, obwód talii 81 cm, obwód uda 71,5 cm, obwód łydki 50,5 cm, włosy brązowe, oczy brązowe, stan cywilny — żonaty, hobby — sport, szybkie samochody, znaki szczególne — siedmiokrotny Mr. Olimpia i pięciokrotny Mr. Universum, aktor. („FILM")

Moja stara znajoma, Wacia Kociubińska uważa, że jest to zupełnie niezły przepis na męskie ciało, tylko trochę niekompletny. — Nawet najlepsza gospodyni nic z tego nie upiecze! — prycha z oburzeniem Wacia. — Dlaczego ukrywać, że do zrazów litewskich (nazwa oryg. LETUVIŠKI VYNIOTINAI) potrzebna jest garść suszonych borowików i dwie cebule na przykład, albo do czarcich zrazów (RAGANU KĖPSNYS) — jagody jałowca i liście laurowe? Wacia tego nie rozumie i uważa, że z informacją w publikatorach jest u nas tak jak było, czyli źle. A to Wacię wkurza!

Wacię fascynują nie tylko smaczne przepisy kulinarne — interesuje się również kulturą, sztuką, polityką i wszystkim innym, co się mocniej lub słabiej ociera o życie. Wacia ma rozległe horyzonty, wrażliwą duszę i dobre serce. Ale potrafi się też zrazić raz na zawsze — i za to ją lubię!

Kiedyś Wacię bardzo pociągał — intelektualnie oczywiście — prof. Krawczuk, ale jak przeczytała, w wywiadzie, że „nie tańczę, nie gram w karty, nie prowadzę samochodu, nie uprawiam sportów" — tylko „z maniackim wręcz uporem" sadzę w swoim ogrodzie najróżniejsze rośliny, szczególnie szpilkowe drzewa i krzewy iglaste — to się bardzo, bardzo zraziła. Tym bardziej, że zupełnie nie rozumie, dlaczego profesor jako minister kultury i sztuki woli artystów-amatorów od profesjonalistów, zaś prywatnie — zupełnie odwrotnie...

Potem Wacię zainteresował nasz ostatni noblista, bo i wąsy, i fajka, i w ogóle... Ale kiedy przeczytała w „PRZEKROJU" — a to jest Waci Biblia na wszelkie okazje — że Lech jako Lesio (czyli nieletnie pachole) przesiadywał nocami na cmentarzu, żeby udowodnić kolegom, że jest odważny — to też przestała się interesować. — Przecież mógł się biedactwo nabawić jakiejś nerwicy, a to bardzo przeszkadza w życiu — powiedziała mi potem.

Wacia nadal rozgląda się i szuka. Ministra Urbana dawno zaakceptowała takim, jaki jest i broni go niczym młoda lwica. Felietonistę Klaksona ze SZPILEK też. — Lubi sobie facet wypić, i to mi się u niego podoba. Poza tym nie upiera się, żeby nasz orzeł nosił coś na głowie...

Minister Wilczek przypomina Waci Napoleona, zwłaszcza z profilu, więc też ma u niej fory. Premier Rakowski — jako polski przystojny mężczyzna na arenie świata — również... Wacia w ogóle lubi ludzi sukcesu. Niedawno przyniosła mi fragment wywiadu wyciętego z „KOBIETY I ŻYCIA" z Andrzejem Czeczotem, który z rodziną mieszka w Ameryce:

„Mnie odpowiada nowojorska atmosfera zmuszająca do stałego wysiłku, do wspinania się po szczeblach drabiny. W Polsce mogłem czuć się pewny siebie, wszyscy mi kadzili w ostatnich latach — dopóki władza nie wyprowadziła mnie z błędu. W sytuacji uwielbienia chętnie spoczywa się na laurach, odpuszcza sobie. I tak przecież się da się dodatkowe robótki, by dobrze żyć, odcina się kupony. A tutaj trzeba stale się potwierdzać, walczyć i to jest w zasadzie zdrowe. Człowiek, niezależnie od tego ile ma lat i zasług, musi być młody, prężny i kręcić się koło tego biznesu bo sztuka jest nim także, ale nie tylko. I trzeba mieszkać tu na stałe, by pilnować swoich spraw. Inaczej się nie liczysz ani dla marszandów, ani dla krytyków. Dlatego wędrowcy którzy przywożą jedną wystawę, mają tak małe szanse. Jest w tym zapewne rodzaj szowinizmu: uznajemy tego, kto jest w Ameryce, przyznaje się do Ameryki, jest z nią związany. Bo tu jest teraz światowe centrum sztuki, tu są pieniądze, tu jest rynek".

Wacia, jak większość Polaków, wierzy w życie pozagrobowe, ale też wie, że w życiu doczesnym sukces, to sukces...!

ANDRZEJ GRUN

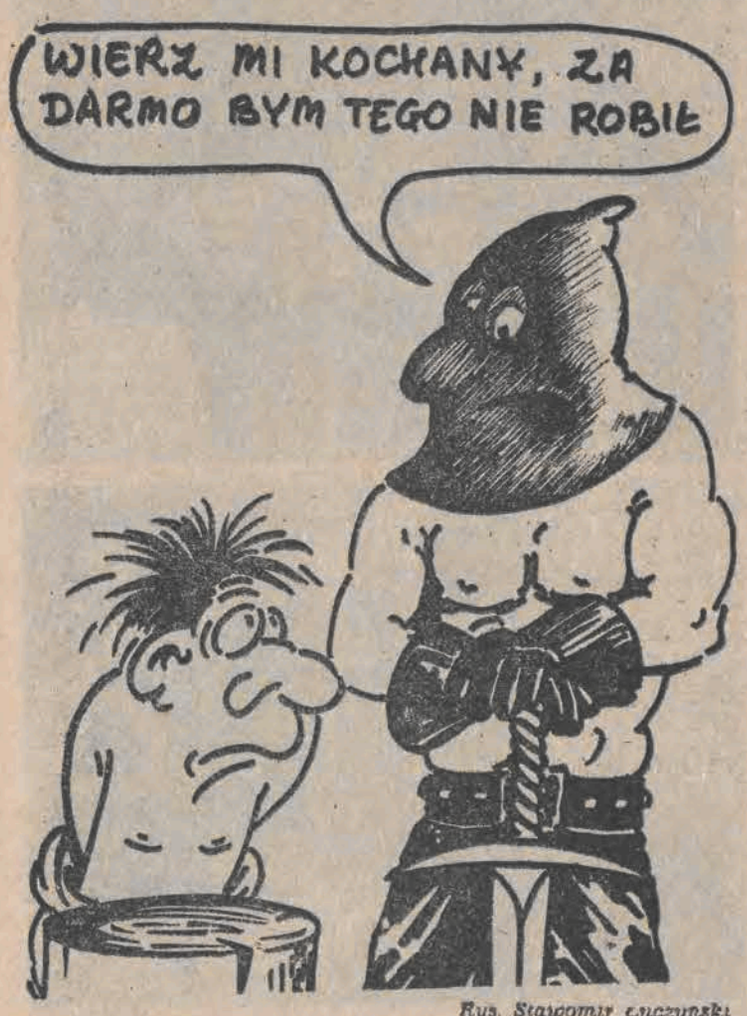

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

TEGO JESZCZE NIE BYŁO

Jeszcze nie tak dawno byłoby to nie do pomyślenia. Niedawny zjazd Związku Literatów Polskich upoważnił nowy zarząd do wystąpienia do właściwych organów w sprawie przeprowadzenia rewizji nadzwyczajnej wyroku na **Zdzisława Najdera.** Zareagowano również rezolucjami protestującymi przeciw skazaniu na karę więzienia czeskiego dramaturga **Vaclava Havela** oraz przeciwko stanowisku władz Iranu wobec autora „Szatańskich wersetów" — **Salmana Rushdiego.** Z prośbą o osobistą interwencję w sprawie uwolnienia czeskiego dramaturga zwrócił się do prezydenta Czechosłowacji polski PEN-Club. Polski PEN-Club podziękował także PEN-Clubowi bułgarskiemu za wyczerpującą odpowiedź na depeszę w sprawie poety **Petera Manolova.** Po odzyskaniu skonfiskowanych mu materiałów Manolov przerwał głodówkę.

A tymczasem w warszawskim Teatrze Powszechnym **Feliks Falk** wyreżyserował dwie jednoaktówki — **„Audiencję"** i **„Protest" — Vaclava Havela.** Znakomity czeski dramaturg jest jednocześnie jednym z czołowych przywódców opozycji w CSRS, współzałożycielem „Karty 77", skazanym niedawno przez sąd praski za „działalność antysocjalistyczną i antypaństwową" na 9 miesięcy więzienia.

Nastroje i klimaty polityczne zmieniają się szybko, a dogmatyczne myślenie przestało być w cenie.

F. DÜRRENMATT O...

— Żyjemy w epoce, w której dokonuje się więcej odkryć niż kiedykolwiek przedtem — powiedział wybitny pisarz **Friedrich Dürrenmatt** dla czytelników „Die Welt". — Mamy do czynienia nie tylko z eksplozją wiedzy. Nie było drugiej takiej epoki, w której nastąpiłoby tyle odkryć, tyle zaskakujących nowych momentów, nad którymi warto się zastanowić. To także czasy rozwoju nowej filozofii...

Byłem parę razy w Moskwie i uważam, że po prostu nie może tam być dalej tak jak przedtem. W Rosji problemem zawsze był transport. Przecież taka Rosja to ogromny obszar, Szosy są złe, a pociągi — ależ one chodzą! Widać, że centralizm jest ideą naukową, teoretyczno-poznawczą, ale w praktyce nie ma takiego państwa socjalistycznego, które by sprawnie funkcjonowało. Nie może funkcjonować, bo im więcej się planuje, tym gorsze są skutki wszelkich awarii. Każdy technik to panu powie...

W tych narodach jednak jest coś wspaniałego, coś, co wzbudza mój podziw: trwają mimo wszelkiego zła. Polaków, a także Czechów i Słowaków, nie sposób załamać. Muszą jednak wykazywać niezwykłą przemyślność, by przeżyć. Każdy wynalazł sobie jakiś trik, żeby przetrwać, i to podkopuje te państwa — są one już właściwie atrapami. W każdym razie uważam za utopię niebezpieczeństwo grożące nam ze Wschodu. Uważam, że Rosjanie muszą się starać o to, żeby w ogóle utrzymać jakoś swoje imperium. Widać to na przykładzie Węgier, Polski, Rumunii. Istnieją najprzeróżniejsze sposoby gry. Na przykład modelowy komunizm Niemców... No, ale oczywiście oni mają długie doświadczenie z dyktaturą...

EUROPEJCZYK

„Nie jestem reżyserem z Hollywood. Jestem Europejczykiem, który pragnie zawrzeć kawałek kultury europejskiej w tym międzynarodowym filmie" — powiedział **Jerzy Skolimowski** w związku z nakręconym ostatnio we Włoszech filmem **„Wiosenne wody"** według opowiadania **Iwana Turgieniewa.** Zrealizowany w międzynarodowej obsadzie film Skolimowskiego **(Nastassja Kinski, Timothy Hutton** i inni) kosztował blisko 10 mln dolarów; w kręgu znawców sztuki filmowej mówi się o nim pochlebnie, a wtajemniczeni utrzymują, że będzie on najprawdopodobniej reprezentował kinematografię włoską na tegorocznym festiwalu filmowym w Cannes.

„SZAFOT"

Jedną z najnowszych powieści **Czingiza Ajtmatowa** jest **„Szafot"**, którą natychmiast zainteresowali się radzieccy filmowcy i na jej podstawie powstał w Kirgizji film pt. **„Płacz wilczycy"**, którego reżyserem jest **D. Sadyniew.** Liczący sobie 60 lat pisarz od dawna cieszy się wielkim zainte-

„Kawaler" przed podróżą

W wydanej w 1955 r książeczce **„Poematy symfoniczne Ryszarda Straussa"** Stefan Kisielewski nie bez słuszności określił autora **„Kawalera srebrnej róży"** jako „niezrównanego wirtuoza orkiestry symfonicznej, jednego z ojców współczesnej instrumentacji" Książeczka ta, wraz z **„Gwiazdozbiorem muzycznym"** Kisiela, przez prawie 30 lat była właściwie jedynym u nas źródłem wiedzy o wybitnym, nieczęsto w Polsce grywanym neoromantyku niemieckim, wsławionym też twórczością pieśniarską i operową. Dopiero 6 lat temu ukazała się obszerna monografia napisana przez **Ernesta Krausego**, na którą powołuje się program wystawionego właśnie przez Teatr Wielki „Kawalera srebrnej róży" (niektórzy wolą inne tłumaczenie tytułu: „Kawaler z różą"). Trzeba podkreślić zresztą historyczność momentu. Doszło do pierwszej w ogóle premiery operowego dzieła Ryszarda Straussa w naszym mieście.

O „Rosenkavalier" powiada się, że wraz z **„Weselem Figara" Mozarta** i **„Śpiewakami norymberskimi" Wagnera** należy do „wielkiej triady" oper komicznych kręgu niemieckojęzycznego. Zgoda. Aczkolwiek cytowane w programie zdanie Krausego, jakoby dzieło to było dla Straussa tym, czym dla **Goethego „Faust"**, uważam za przesadzone. Trudno zaliczyć też utwór do funkcjonujących bez przeszkód poza rodzimym obszarem kulturowym. Libretto **Hofmannsthala**, mające niemal autonomiczną wartość artystyczną, jest błyskotliwe, nacechowane wirtuozerią słowną, zabarwione dialektem wiedeńskim i w związku z tym niezwykle trudne do przetłumaczenia. Prezentowanie zaś polskiej publiczności opery w oryginalnej wersji językowej — tak jak stało się również w Łodzi — daje odbiorcy rozrywkę jakby trochę ezoteryczną.

Nie stanowi wszakże dla nikogo tajemnicy eksportowe przeznaczenie łódzkiej realizacji. Kolejne, wspólne tournée artystów TW i orkiestry miejscowej filharmonii obliczone jest — powiedzmy to sobie szczerze — w dużym stopniu na ratowanie opadających do krytycznego pułapu budżetów muzyków oraz dostarczenie pozbawionym siedziby filharmonikom bodźca i zachęty do dalszej działalności.

Atoli po podniesieniu się kurtyny można było odnieść wrażenie, że realizatorzy zrobili także coś w tym kierunku, by podczas obcojęzycznego spektaklu lokalny widz poczuł się bardziej swojsko. Aby patrząc na „sprawdzony" rekwizyt i znajomy element scenografii wiedział, że jest u siebie. A zatem w I akcie — podobnie jak niedawno w dwu innych operach — wielkie łoże pośrodku sceny (po raz pierwszy zrobił tak przed laty w „Rosenkavalier" bodaj **Wilfried Werz** w berlińskiej Staatsoper, za nim poszli naśladowcy). Natomiast w tle — już niemal jak tapeta w prywatnym mieszkaniu znane z łódzkich przedstawień **„Traviaty"** i **„Wesołej wdówki"** — suto marszczone draperie. Muszę zresztą oddać sprawiedliwość scenografowi: projekt dekoracji do II aktu okazał się szczególnie udany. A pani kostiumolog sprawiła, że prawie wszystkie stroje wyglądały pysznie.

Prawdziwym bohaterem premiery stała się orkiestra. Pod batutą **Andrzeja Straszyńskiego** grała swą niełatwą, jakże rozbudowaną partię wyśmienicie. Zaimponowała precyzja wszystkich grup instrumentalnych pięknie kształtowanymi, zróżnicowanymi odcieniami wyrazowymi.

Spośród solistów na pierwszym miejscu wymieniam bez wahania **Andrzeja Malinowskiego** w arcytrudnej wokalnie roli barona Ochsa. (II premiera). Stworzył postać sugestywną, krwistą, świetny był zarówno jako aktor, jak i śpiewak. Troszkę ustępował mu w tym wcieleniu **Tadeusz Leśniczak**. Lirycznie zarysowana Marszałkowa **Danuty Paszkówny** bardziej przypadła mi do gustu niż **Delfiny Ambroziak** (zdarzały się nuty intonowane z mniejszą precyzją). Octavian **Małgorzaty Borowik** zainteresował muzycznie, tyle że postać nazbyt była dziewczęca. Trafniej obsadzono w tej roli **Agnieszkę Dąbrowską**. Jako Faninal podobał się więcej **Zbigniew Macias**. Ciekawa aktorsko **Elżbieta Walaszczyk** (Sophie) miała często trudności ze śpiewaniem wysokich dźwięków, nie zawsze dobre „góry" pojawiały się też u **Małgorzaty Pawlak**. Brzmienia „straussowskiego" generalnie wśród głosów brakowało, w tym kontekście wyróżniłbym **Jolantę Zielińską** (Annina).

„Kawaler srebrnej róży", ze względu na bardzo precyzyjne didaskalia, nie daje jakiejś wielkiej swobody działania reżyserowi. **Alexander Kraft** zaproponował inscenizację klasyczną, tradycyjnie pomysłowo wszakże rozegranymi, niejednokrotnie emanującymi humorem scenami zbiorowymi. To się powinno m.in. w kraju Straussa podobać.

JANUSZ JANYST

Richard Strauss: Kawaler srebrnej róży. Kierownictwo muzyczne — Andrzej Straszyński, reżyseria — Alexander Kraft, Prinz zu Hohenlohe (RFN), dekoracje — Mariusz Chwedczuk, kostiumy Xymena Zaniewska. Premiera w łódzkim Teatrze Wielkim 18 marca 1989 r.

„Kawaler srebrnej róży", Ensamble. Foto: Chwalisław Zieliński

Arp

Pewien pan, w niezupełnie prywatnej sytuacji, miał powiedzieć, że w Muzeum Sztuki zostanie otwarta bardzo ważna wystawa, przybędzie bowiem sam minister kultury i sztuki; wystawa nazywa się Arp, ale jemu jest bardzo przykro, niestety nie umie rozszyfrować tego skrótu. Kiedy inny pan, który to słyszał, opowiedział to pewnej pani, też w niezupełnie prywatnej sytuacji, ta miała odrzec: — Ależ to bardzo proste! ARP czyli Artysta Rewolucyjno-Postępowy.

I tak oto w krótkiej historyjce zawiera się prawie pełny obraz wiedzy o artyście **Hansie Arpie** urodzonym w Strasburgu w Alzacji w roku 1886 albo 1887 — uczeni co do tego się spierają — zmarłym w Bazylei w roku 1966, pochowanym w Locarno, znanym także jako Jean Arp, do czego upoważniają jego francuskie i niemieckie korzenie kulturowe i artystyczny życiorys.

Hans Arp, „Gwiazda", 1960 r.

Pani, która tak trafnie scharakteryzowała symboliczną treść nazwiska Arp oczywiście wiedziała, że artysta ten był współtwórcą dadaizmu, był bliski surrealizmowi, nie stronił od kontaktów z artystami orientacji abstrakcyjnej spod znaku Cercle e Carré i Abstraction Création, no i że to właśnie jemu, Arpowi, przypadło w udziale wprowadzenie do sztuki działania według zasady przypadku i co po nim ochoczo wykorzystywali inni artyści, czasami ponad miarę, był jednym z najwybitniejszych artystów dwudziestego wieku.

Hans Arp był grafikiem, malarzem a może przede wszystkim rzeźbiarzem. Niewielu w Polsce wie, że był również poetą. Nigdy u nas nie przetłumaczono jego wierszy, nie licząc kilku opublikowanych w książce **Hansa Richtera „Dadaizm"** no i tych paru zamieszczonych w katalogu wystawy, bardzo pięknej wystawy w Muzeum Sztuki

Tu wypada przytoczyć słowa dyrektora Muzeum **Ryszarda Stanisławskiego**, który informując, że na otwarcie wystawy przybył współautor katalogu pan **Gregor Laschen**, poeta, tłumacz, sprawca wydania tomu poetyckiego zatytułowanego Homage á Arp, będącego hołdem artystów różnych narodowości dla tego wybitnego twórcy, powiedział, że w tomie tym — o czym można się przekonać w bibliotece Muzeum — nie ma wiersza żadnego poety polskiego. Są wiersze poetów czeskich, jest wiersz rosyjski, tylko polskiego brak...

Notuję te okołoarpowe refleksje w piątek 3 marca. Właśnie dzień wcześniej oczekiwałam, że w telewizyjnym magazynie kulturalnym „PEGAZ" pan **Bogusław Sobczuk** chociaż napomknie o wystawie 80 dzieł Hansa Arpa, starannie wybranych głównie ze zbiorów **Fundacji Hans Arp i Sophie Taeuber-Arp w Rolandseck k. Bonn**, ale nie wspomniał. W piątek zatelefonowałam do redakcji „Pegaza" z pytaniem czy mają w planie tę wystawę a jeżeli tak, to kiedy. Dowiedziałam się, że nie mają, bo nikt im wystawy nie zgłosił...

W ten sam piątek zrelacjonowano mi spotkanie grupy dziennikarzy z kierownictwem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, podczas którego kolega z łódzkiej telewizji uskarżał się na kolegów z centrali, że są głusi na propozycje kulturalne z Łodzi. Nie wiem czy nawet sam Pan Bóg, no i Hans Arp, który gdzieś tam w pobliżu na pewno spaceruje, wiedzą o co w tym wszystkim chodzi, zajmijmy się więc artystą i wystawą. Pierwszą wystawą jego dzieł w Polsce, wystawą tak starannie przygotowaną, bowiem owe 80 pokazanych dzieł to reprezentatywny wybór z lat 1914—1963 — rysunki, grafiki, obrazy, reliefy, rzeźby, collage, podarte papiery, książki i pisma, które ilustrował, trzy tomy poezji oraz inne publikacje i wypowiedzi na temat sztuki.

To wszystko daje wspaniałą możliwość wprowadzenia dzieła Arpa w kulturalny obieg w Polsce, dzieła bardzo ważnego w rozwoju sztuki światowej dwudziestego wieku. Istnieje jeszcze jeden powód, aby tak się stało. Hans Arp i jego pierwsza żona, również wybitna malarka — **Sophie Taeuber-Arp**, byli w gronie tych artystów, którzy jako pierwsi odpowiedzieli na inicjatywę **Władysława Strzemińskiego** utworzenia w Łodzi Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej. Zalążek tej kolekcji udostępniono po raz pierwszy w Łodzi u progu lat trzydziestych jako depozyt grupy a.r., co legło u podstaw znacznie dziś wzbogaconych słynnych zbiorów Muzeum Sztuki. Z okazji stulecia urodzin Sophie Taeuber-Arp kolekcja grupy a.r. została zaproszona do Rolandseck, bowiem umyślono tam coś w rodzaju urodzinowego spotkania przyjaciół Sophie Taeuber (oczywiście za pośrednictwem dzieł) a kolekcja łódzka to reprezentacja prawie kompletna tego wspaniałego grona postępowych artystów europejskich końca lat dwudziestych.

Tak więc wystawa dzieł z Muzeum Sztuki w siedzibie Fundacji stała się faktem, a wystawa prac Hansa Arpa — w Łodzi. Obu wystawom towarzyszą starannie opracowane i pięknie wydane bliźniacze katalogi. Pozwolę sobie zacytować fragment zamieszczonego w jednym z nich tekstu **Jana Brzękowskiego** z 1936 roku: „Twórczość Arpa nie mieści się w ograniczeniach żadnego kierunku artystycznego obecnej doby, wyważa on drzwi dnia dzisiejszego i rozwiera okno jutra na wiatr od morza. Dlatego właśnie Arp nie jest ani dadaistą, ani surrealistą, ani też „abstrakcjonistą" — zarazem będąc tym wszystkim. Jako artysta zachował pamięć celów, które zdobywał w swym rozwoju, realizował te cele i nawet nadrealizował je, gromadząc wytwory swej wyobraźni i efekty swojej „ewolucji twórczej" (...). Arp odkrył rzeźbę ageometryczną. Świat tych form o urzekających kształtach, aczkolwiek tak różnych od oficjalnego piękna, owe wspomnienia malarskie, które Arp lubi określać jako wąsy, pępuszki, ptaki lub widelce, stanowią emanację duszy zakorzenionej w absolucie (...) Otwierają one nową epokę w rozwoju tego artysty i zapewne także w dziejach współczesnej rzeźby".

Dziś moglibyśmy wykreślić z tego tylko słówko „zapewne", reszta zachowuje swą pełną aktualność.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Kronika

PIĘKNE JUBILEUSZE OBCHODZĄ w tym sezonie **aktorzy Teatru Nowego w Łodzi: Hanna Bedrynska i Dobrosław Mater** — czterdziestolecie pracy artystycznej, **Marian Stanisławski** — trzydziestopięciolecie, **Andrzej Jurczak** — dwudziestopięciolecie. **Składamy serdeczne gratulacje!**

W DALLAS, w budynku z którego padły strzały zabijając **Jonna Kennedy'ego**, otwarto stałą ekspozycję poświęconą tragicznie **zmarłemu prezydentowi USA**. Na wystawę składa się **400 zdjęć oraz 6 filmów.**

W STOLICY ZSRR powołano ogólnokrajowy komitet obchodów 100-lecia urodzin **Anny Achmatowej.** Przewodniczy mu **Michaił Dudin. Patronat nad uroczystościami objęło UNESCO.**

TEGOROCZNYMI LAUREATAMI NAGRODY IM. ONASSISA (ustanowionej przez greckiego milionera na wzór Nagrody Nobla) zostali m.in. **archeolodzy z leningradzkiego Ermitażu za prace wykopaliskowe na wybrzeżu Morza Czarnego.**

6-LETNIA KATARZYNA EWERT Z POLSKI otrzymała jedną z dwu nagród drugiego stopnia, na **Międzynarodowym Konkursie Malarstwa Dziecięcego w Madrycie.**

W BREMIE, w wieku 74 lat, **zmarł** jeden z najpopularniejszych pisarzy zachodnioniemieckich — **Hans Helmut Kirst.** Jego **powieści przełożono na 28 języków.** Wśród polskich czytelników zaczytywane są najbardziej **„08/15" i „Fabryka oficerów".**

BOHDAN POREBA, kierownik Zespołu Filmowego **„Profil"**, zamierza zrealizować **film o gen. Stanisławie Tatarze, sądzonym w** czasach stalinowskich — na podstawie spreparowanych zarzutów — w głośnym procesie oficerskim.

JUŻ WKRÓTCE POJAWI SIĘ NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH przygotowana przez KAW, publikacja **„Epitafia oficerów polskich pochowanych w Katyniu"**

Zawierać ona będzie **noty biograficzne 4 tys. zamordowanych** oficerów polskich, opracowane przez naukowców z **Wojskowego Instytutu Historycznego.**

ODDZIAŁ WOJEWÓDZKI STOWARZYSZERNIA PAX W ŁODZI i Instytut Wydawniczy PAX ogłaszają **ogólnopolski konkurs poetycki na wiersze o tematyce religijnej i ogólnej.** W konkursie mogą wziąć udział zarówno poeci zrzeszeni, jak i nie zrzeszeni w związkach twórczych.

Utwory **nigdzie nie publikowane**, opatrzone godłem (w pięciu egzemplarzach maszynopisu) **wraz z kopertą** zawierającą imię, nazwisko oraz dokładny adres autora, należy nadsyłać **do dnia 20 maja 1989 r. pod adresem: Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX, 90-417 Łódź, ul. Piotrkowska 49,** z dopiskiem na kopercie **XXXI Łódzka Wiosna Poetów.** Liczba wierszy nadesłanych przez jednego autora nie powinna przekraczać trzech.

Uroczystość wręczenia nagród i wyróżnień oraz Turniej Jednego Wiersza odbędzie się 25 czerwca 1989 r. o godz. 11.00 w lokalu Oddziału Stowarzyszenia PAX w Łodzi.

W DNIU 16 bm. odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału Łódzkiego Związku Polskich Autorów i Kompozytorów (ZAKR).

Prezesem wybrany został **Leszek Orlewicz**, wiceprezesem — **Andrzej Żylis**, sekretarzem — **Andrzej Janeczko**, skarbnikiem — **Elżbieta Adamiak**, członkiem Zarządu — **Krzysztof Drzewiecki.**

Honorowym prezesem OŁ ZAKR obwołano seniora ZAKR — **Cezarego Juszyńskiego.**

AMERYKAŃSKI REŻYSER STANLEY KRAMER nakręci **film o Lechu Wałęsie** — pt. **„Polonez"**. Zdjęcia rozpoczną się za kilka tygodni. W niektórych sekwencjach stoczniowych weźmie udział aż 25 tys. statystów.

Pomoc techniczną przy realizacji tego obrazu zapewni wrocławska Wytwórnia Filmów Fabularnych.

NAKŁADEM INSTYTUTU WYDAWNICZEGO PAX ukaże się w tym roku praca **Marka Ney-Krwawicza „Komenda Główna AK 1939—1945".**

WYDAWNICTWO MON ZAPOWIADA UKAZANIE SIĘ jesienią br. wspomnień **gen. Władysława Andersa „Bez ostatniego rozdziału".**

W CIĄGU NAJBLIŻSZYCH TRZECH LAT ukaże się na krajowym rynku księgarskim **150 tytułów autorów emigracyjnych,** dotychczas nie publikowanych w Polsce.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

resowaniem filmowców. Do dziś na podstawie jego powieści powstało już kilka wybitnych dzieł, wśród nich — **„Pierwszy nauczyciel" Andriejа Konczałowskiego i „Żegnaj Gulsary" Siergieja Urusiewskiego.**

O GWIAZDORSTWIE

„Niezupełnie rozumiem zarzut gwiazdorstwa — mówi **Krystyna Janda** w miesięczniku „Teatr" — W Polsce takiego zjawiska nie ma, jeśli już używa się tego terminu, to w sensie negatywnym; gwiazda jest zjawiskiem podejrzanym. Natomiast zupełnie inna sprawa jest odniesienie tego określenia do zjawiska, jakim było działanie telewizji w czasie bojkotu aktorskiego. Zdecydowano, że skoro znani i lubiani aktorzy odmawiają występów w telewizji, zostaną, w trybie przyspieszonym, wykreowane nowe „gwiazdy". Pojawiły się więc na ekranie młode, często zdolne osoby, które usiłowano wylansować. Większość z nich nie sprostała sytuacji, pozostając napompowanymi wielkościami. Nie udało się zburzyć na szczęście, zawodowej hierarchii środowiska opartej na rzetelnej pracy i autentycznych osiągnięciach, które tworzą fundamenty tego, co można byłoby nazwać gwiazdorstwem... Oczywiście, tam gdzie teatr, TV, a przede wszystkim film przynoszą duży dochód, planuje się karierę młodych ludzi. Bardzo często lansuje się młode dziewczyny, które nie mają studiów aktorskich, ale za to bardzo interesującą urodę czy osobowość... Większość z tych dziewczyn po roku czy dwóch przepada, a tylko najzdolniejsze jak **Isabelle Adjani** czy **Isabelle Hupert** zostają gwiazdami. W Polsce takie mechanizmy nie funkcjonują, ponieważ ani film, ani teatr nie przynoszą dużych dochodów ani mecenasowi, ani aktorom. To, że ktoś u nas jest, może być, lansowany, jest kaprysem paru ludzi lub chwili... W Polsce aktor jest zupełnie sam. Wszystko, co osiąga, co i jak gra oraz w jakim pracuje teatrze, jaki film kręci, należy wyłącznie do niego. To, kim jest, wynika z jego umiejętności znalezienia się we wszystkim, co go otacza, zależy od jego inteligencji. To jakich ludzi wybiera na przyjaciół, jakie czyta książki, jak pracuje — to są jego własne wybory. Nikt za niego nie bierze odpowiedzialności, ani nawet nie chce zrobić na nim interesu. Bo nieprawdą, że dyrektor teatru tym się zajmuje, że dba o kolejne role, by służyły rozwojowi młodego aktora, którego angażuje do teatru. Nikt na to nie ma czasu ani ochoty; aktor musi być świadomy samego siebie i celu jaki chce osiągnąć...

CHULIGANI W TEATRZE...

Na widowni jednego z najwybitniejszych teatrów w Polsce — Starego Teatru w Krakowie doszło do skandalicznych wybryków chuligańskich. W trakcie przedstawienia „Don Juana" Moliera na aktorów posypały się w pewnym momencie wystrzeliwane z widowni żyletki. W taki właśnie sposób umilała sobie pobyt w teatrze grupa młodzieży ze szkół licealnych. Obecni na widowni pedagodzy nie reagowali. Nie chcieli sobie przeszkadzać w odbiorze sztuki — jak pisze „Teatr" — a może uważali, że młodzież „musi się wyszumieć?"

Galeria pisarzy

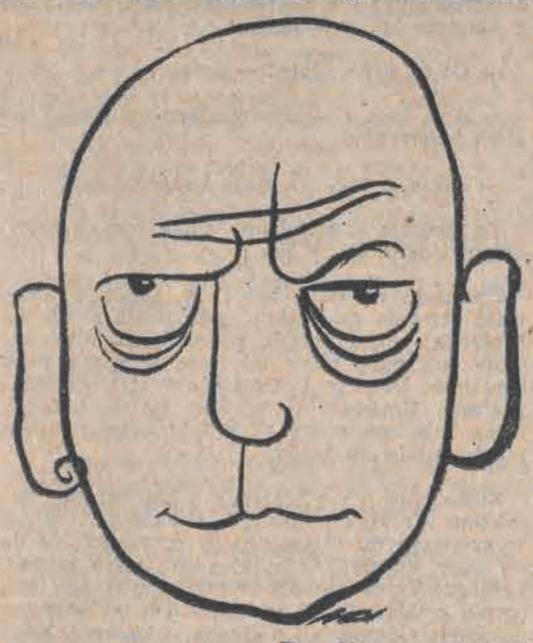

Rys. Sławomir Arabski

ROMAN ŁOBODA

Z filozofa, który w medycynę
Wiązł po uszy,
Stał się... „inżynierem słowa"
Czyli duszy!

ROMAN GORZELSKI

W Kazachstanie u początku lat czterdziestych (4)

Wszystko pokrył śnieg

EUGENIUSZ IWANICKI

Śnieg spadł na początku listopada, a po kilku tygodniach było go tyle, że przykrył domy i drzewa. Kiedy wstaliśmy rano, w mieszkaniu było widno, choć ta dziwna jasność zdawała się być jakby przydymiona. Okazało się też, że drzwi wejściowych nie można otworzyć.

Ojciec obudził gospodynię.

— Drzwi — mówił pośpiesznie. — Drzwi się nie otwierają.

Gospodyni zwlekła się z pieca, ziewnęła.

— Trzeba kopać.

— Co kopać?

— Wyjście kopać. Chodź, pokażę.

W sieni wskazała na pokrywę w dachu. Po jej otwarciu (otwierała się do wewnątrz) ojciec zaczął wybierać śnieg, to znaczy wrzucać go do sieni. Śnieg był twardy, zbity, spadał kawałami, niemal bryłami. Po kilku minutach powstał wąski komin, przez który ojciec wydostał się na powierzchnię. Za nim wygramoliłem się ja.

Jak okiem sięgnąć rozpościerała się olśniewająco biała równina. Ani jednego domu, ani jednego drzewa. Jedynie tu i ówdzie sterczały jakieś mizerne krzaczki.

Pracowaliśmy cały dzień. Należało wykopać dojście do drzwi wejściowych. Potem — już wspólnie z Lońką Liczmanem — wykopaliśmy tunel łączący nasze domy. Podobny tunel — tym razem drążony z Fiedią i Wanią — połączył nas z Prusakowymi. Nad domami jeżdżono saniami, chodzili ludzie. Trzeba było tylko uważać by nie wpaść do czyjegoś komina lub nie zlecieć w szczelinę wiodącą do czyichś drzwi.

Mrozy nastały lute. Zajęcia w szkole odwoływano, gdy termometr spadał do minus 30 stopni. Zaczęły się kłopoty z opałem, choć w zasypanym mieszkaniu nie było znów tak najzimniej.

W nocy do wsi przychodziły wilki i wyły rozdzierająco i smutno. Jeśli ktoś w porę nie zabezpieczył wejścia do chlewu, wilki potrafiły rozkopać pazurami śnieg, przedrzeć cienkie poszycie dachu i wpaść do środka. Kończyło się to zazwyczaj krwawą rzezią świń i baranów. Dopiero rano gospodarz stwierdzał, że zamiast trzody, w chlewie znajduje się kilka lub kilkanaście obżartych, dziko skaczących ku dziurze w dachu, wilków. Kobiety zanosiły się lamentem, mężczyźni — jeśli tacy byli — pędzili po dubeltówki. Bardzo często do takich egzekucji wołano ojca, który zasłynął był jako znakomity myśliwy dostarczający do punktu skupu wiele cennych skórek lisów, zajęcy i wilków.

Ciekawie przedstawiała się w Ilince populacja psów: mnożyły się w sposób zatrważający, ale jakoś to nikogo nie niepokoiło. Zrozumiałem tego przyczynę zaraz pierwszej zimy. Wilki dokonywały istnej masakry wiejskich kundli. Rano na śniegu znajdowano jedynie krwawe plamy i nieliczne kępki sierści, pozostałość po jakiejś Winierce lub innym Palkanie.

Kilka razy mróz dochodził do 50 stopni poniżej zera. W takie dni lepiej było nie wychodzić na powierzchnię, mimo że matka zapobiegawczo smarowała nasze twarze tłuszczem. Odmrożenia nosów i policzków były nagminne, ale dość szybko wyrobił się w nas nawyk, by co pięć czy dziesięć minut odruchowo trzeć nos i policzki. Kto tego nie robił, zostawał kaleką. Dziwna rzecz, ale mimo tak niskich temperatur, nie czuje się mrozu, nie wie się, że w którymś miejscu twarz stała się fioletowa, że skóra jakby się wybrzuszyła i przy dotyku jest bolesna. W ogóle nie odczuwa się działania mrozu: tylko chłód i nic więcej. Stąd tak niebezpieczne były długie zabawy na śniegu. Ale dzieci tamtejsze odruchowo co jakiś czas spoglądały na siebie i krzyczały: Trzyj nos, szybko trzyj nos śniegiem!

Podczas takich mrozów nie można było urąbać drzewa, siekiera z brzękiem odskakiwała od pociętych klocków.

Wiosną, kiedy szliśmy „drat' jajca", można było zobaczyć setki drzew pozbawionych wierzchołków: to mieszkańcy wioski w czasie zimy zaopatrywali się w opał. Cięli to, co wystawało ponad śnieg.

W szkole, która nie zawsze miała wystarczająco opału, a nam nie chciało się uczyć, stosowaliśmy wypróbowany przez poprzednie roczniki sposób: należało napluć na futrynę i zatrzasnąć drzwi do klasy. Przymarzały na amen. Nauczycielka nie była w stanie ich otworzyć. Można więc było przez okno wyskoczyć i iść do domu lub nad Iszym na ślizgawkę.

Tej pierwszej, wojennej zimy, we wsi pojawił się głód. Ojciec na szczęście okazał się znakomitym myśliwym. Początkowo zakładał sidła, potem uzyskał zezwolenie na polowania. Zdobył od którejś żołnierki belgijską szesnastkę i zaczął przynosić zające. Za prawo odstrzału musiał do kooperatywu odstawić rocznie ileś tam zajęcy, lisów i wilków. Jeśli wywiązywał się z zobowiązań, otrzymywał przydział prochu i ołowiu, z którego w domu, uprzednio go roztopiwszy, robił śrut. Pamiętam, że do moich obowiązków należało przy pomocy odwróconych patelni, z pociętych kwadracików, zrobić okrągłe kulki śrutu. Polegało to na tym, że wykonując ruch obrotowy górną patelnią uzyskiwało się pożądany kształt śrucin: inne na kaczki, inne na zające, a jeszcze inne na wilki.

Niestety, były tygodnie głodne i chude, kiedy na stepie rozpętywał się syberyjski buran. W takich sytuacjach należało siedzieć w domu, bo każde wyjście mogło skończyć się śmiercią. Nasze burze śnieżne są karykaturą tamtych zamieci, kiedy na ziemię wali się z rykiem i świstem wichru nieprzenikniona biała kipiel. Na ziemię spływa noc, choć tak naprawdę jest południe. Znika wszystko, widoczność zmniejsza się do kilku metrów i biada temu, kto zabłądził w stepie lub kto pomylił ścieżkę do własnego domu. Zazwyczaj odnajdowano go dopiero na wiosnę, kiedy spłynęły śniegi. Czasem człowiek leżał kilka metrów od własnego domostwa, czasem tuż pod ścianą lub wisiał wśród gałęzi pobliskich brzóz.

Zjawił się głód. Doświadczenie nakazywało, aby co dzień być w oborach swojej brygady, by mieć orientację, czy czasem nie zdycha jakiś wół. Nad dochodzącym swoich dni bydlęciem zbierała się gromada kobiet i chłopców. Każdy z nożem. Czekano na ostatnie tchnienie. Woły zdychały z głodu i nadmiernej pracy. Kiedy kończyła się agonia, ludzie cięli chude, włókniste i żylaste mięso. Robiłem to wielekroć, choć dziś nie pamiętam smaku tamtego mięsa.

Wraz z mrozami zjawiła się we wsi śmierć. Zawsze więcej ludzi umierało zimą, szczególnie w miesiącach styczeń — marzec. Przodował w tym „Gorod Kapaj". Nie było dnia, by ktoś na sankach nie wiózł trumny zbitej z niehebloWanych desek. Ale pochówek był właściwie symboliczny: zimą grunt stawał się twardy niczym stal i żadna łopata nie była w stanie bodaj zagłębić się na centymetr w ziemię. Ustawiano zatem trumny jedna na drugiej w wykopanym śniegu. Cmentarz zatem był nad ziemią, piętrzyły się piramidy białych skrzynek w głębokich śnieżnych dołach, rosły w miarę upływu czasu, a nocami wokół nich wyły i kotłowały się stada wilcze usiłujące dostać się do wnętrz. Wiosną rodziny pilnowały, by szybko topniejący śnieg nie spowodował runięcia trumien. Ustawiano je zatem w długie szeregi, a kiedy ziemia odtajała, kopano właściwe groby i odbywał się pochówek. Pamiętam rodzinę Białorusinki Ababurko mieszkającej w ziemiance w osławionym „Gorodie Kapaj". Chodziłem do niej, bo jej najstarszy syn był moim szkolnym kolegą. W ciągu zaledwie jednego miesiąca cała trójka jej dzieci umarła. Pamiętam usypany z piasku na środku ziemianki podłużny kopczyk, a na nim początkowo ciałko malutkiej dziewczynki, potem starszej nieco, w końcu ciało mojego kolegi Tolka. Męża Ababurko aresztowano we wrześniu 1939 roku za to, że kiedy weszli Rosjanie, nie mógł czy też nie chciał zrozumieć, że został wyzwolony spod władzy polskich panów. Ponoć ciągle powtarzał, że wyzwolono go jedynie od chleba i butów. Wszelki słuch o nim zaginął i jeśli dobrze pamiętam, Ababurko nie wróciła z nami do Polski.

Kiedy wojska niemieckie zbliżyły się do Kaukazu, zajęły Półwysep Krymski, Józef Stalin polecił oczyścić tyły swojej armii z niepewnych elementów, za jakie uważał Czeczenów i Inguszy. W ciągu jednego dnia dwa narody zostały załadowane do pociągów i wywiezione do Północnego Kazachstanu. Ponoć nikomu nie udało się ujść w góry. A były to narody bitne, dorodne, ceniące honor nade wszystko. Słowem tacy, jakich opisali w swoich utworach i powieściach Puszkin, Lermontow i Lew Tołstoj.

Przywieziono ich gdzieś w kwietniu, kiedy zima dopiero zaczynała swój odwrót. Postawni mężczyźni ubrani w czerkieski, smagli, czarni, wysocy. Każdy z nich przywiózł kilka lub kilkanaście żon i całe tabuny dzieciaków. W wielkich, białych workach przywieźli swoje zboże — kukurydzę, którą tam widziałem pierwszy raz w życiu. Ulokowano ich gdzie się tylko dało. Bo później, po roku, sprawa Inguszy i Czeczenów prawie że przestała istnieć. Ale teraz była wiosna i zaraz szybko przyszło lato, gorące i pełne kwiatów, ale pamiętam to dobrze — w czerwcu sypnęło śniegiem! Tubylcy twierdzili, że taki wybryk natury zdarza się tam często, ale nie pociągnęło to żadnych konsekwencji, bo śnieg prawie od razu się topił, a temperatura nie spadła niżej zera. Ale ludzie z Kaukazu byli wystraszeni.

— Co to, koniec lata? — pytali.

— Ano, koniec — odpowiadano im, ciesząc się z ich przerażenia.

— Jakże to tak, a z czego będziemy żyć?

To pytanie zadawaliśmy sobie tam wszyscy. Odpowiedzi nikt nie znał.

Cmentarz za wsią był duży, każda narodowość chowała się osobno: poznawało się to po krzyżach, po gwiazdach, po palikach. Wieś istniała już parę setek lat, lecz w ciągu roku cmentarz Inguszy i Czeczenów stał się największy. Umierali na wiosnę, latem, jesienią. Zima dokonała reszty. Z kilkudziesięciu rodzin nie pozostała ani jedna.

Nagle zjawili się bieżency z Leningradu. Pamiętam Jurkę, miejskiego chłopaka z lekko wykrzywionymi ustami, który przysięgał, że do tej pory wierzył, iż bułki rosną na krzakach. Leningradczycy wnieśli w miejscowe życie coś, co nie poddawało się szablonowym miejscowym pojęciom. Opowiadali o kinach, o teatrach, księgarniach, koncertach. Co prawda w Ilince także wyświetlano filmy, ale seanse odbywały się w szkole, aparat stał pod ścianą i mężczyźni na zmianę musieli kręcić ciężką korbą. Obraz skakał, gmatwał się, czasem urywał się w ogóle. A jeśli kinooperator był podpity, to jedną i tę samą scenę można było obejrzeć kilka razy. Pamiętam, że podczas wyświetlania wojennego filmu, w którym telefonistka w beznadziejnej sytuacji wzywa ogień na siebie, bo właśnie Fryce wdzierają się do okopów, kinooperator tę jedną scenę powtarzał chyba z pięć razy. Na zwróconą uwagę, odpowiedział łkając:

— Takaja charoszeńkaja, a ani jejo ubiut!

Po seansie ludzie walili główną ulicą, a dziewczyny śpiewały czastuszki.

Kagda Lenin umierał,
Stalinu prikazywał:
Pa sto gram chleba dawaj,
Miasa nie pakazywaj.

Albo:

W kałchoz darożka prosta,
A z kałchoza kasiakom.
Ja w kałchoz paszła w batinkach,
A z kałchoza basiakom!

Natomiast chłopaki, chcąc przebić ich śpiew, a przy tym zaimponować, wyśpiewywali pod muzykę balalajek lub harmoszki:

Nastroju gitaru na job twaju mat',
Pajdu pa dieriewnie bladiej sabirat'.

My, najmłodsi, kręciliśmy się wśród tych dorastających panien i kawalerów i tylko patrzyliśmy, która para zboczy gdzieś w pierieułok i pójdzie w step. Zdzierając skórę z kolan i łokci, drąc ubranie, podpełzaliśmy jak najbliżej by zobaczyć podniecające, a przecież niezupełnie jeszcze zrozumiałe dla nas, widowisko.

Sprawy płci nie były otoczone pruderią. Latem chłopcy i dziewczęta kąpali się wspólnie w Iszymie, wszyscy na golasa, bo czegoś takiego jak spodenki kąpielowe nie znano. Chłopcy zakrywali dłonią przyrodzenie i skakali z brzegu do wody, dziewczyny czyniły tak samo. Nie obeszło się, rzecz jasna, bez przytyków, podśmiewywania się, zaczepek. Było to naturalne. Przecież wszystko odbywało się niemal jawnie: zimą cała rodzina sypiała na piecu i dzieci do woli mogły obserwować igraszki rodziców. A latem, kiedy na całe miesiące dorośli — żonaci, kochankowie, żony i dziewczyny — wyjeżdżali w pole, mieszkali w wozach, seks stawał się czymś oczywistym jak jedzenie i spanie. Ważną rolę w tym wszystkim spełniała ruska bania, czyli łaźnia. Chodziły do niej całe rodziny, chodzili sąsiedzi. Sam pamiętam, że przeważnie zabierała mnie ze sobą matka albo gospodyni i tam, dusząc się od gorącej pary, mogłem przez parę godzin podziwiać u zebranych kobiet to, co na co dzień było skrzętnie zakrywane.

— Szkoda — mówiła Waria, młoda żona żołnierza Trofima, który poległ na początku wojny — szkoda, że Żeńka jest jeszcze taki mały...

— Ty, Waria, opamiętaj się — złościła się matka. — To jeszcze dziecko.

— Właśnie mówię, że dziecko. A bez chłopa sama wiesz, zimną wodą ciała nie ugasisz.

— Mało to starszych chłopaków we wsi...

— Też mi kawalery! — śmiała się Waria. — Dziobnie dwa razy i już go nie ma. Ja potrzebuję miłości, moje kobitki, prawdziwego chłopa, żeby go czuć nie tylko w sobie, ale i na sobie.

Nie bardzo wiedziałem o co Warii chodzi, ale szczerze jej współczułem.

Im dłużej trwała wojna, tym stawało się ciężej. Jesienią zbieraliśmy ze stepu roślinę nazywaną ryżyk (nie znam jej polskiej nazwy), z której mama piekła lepioszki, brązowo-czarne krążki, które należało jeść póki były gorące. Po ostygnięciu można było je pokruszyć tylko siekierą. Ojciec polował, co prawdopodobnie uchroniło nas od śmierci głodowej.

W szkole pojawiło się hasło:

W sorok trietij god wstupajem
I uczytsia abieszczajem,
Sztob skazali nam bajcy —
Wy, riebiata, maladcy!

Natomiast na każdej przerwie otrzymywaliśmy drewniane korytka i toporek, a z poddasza szkoły znoszono wysuszony tytoń. Siedząc w kucki należało toporkiem „rubit' karieszki". W ten sposób przygotowywaliśmy tytoń dla armii. Dziewczyny robiły na drutach rękawiczki, skarpetki, szaliki. Do paczek wkładaliśmy listy złożone w trójkąt, pisaliśmy, że uczymy się celująco, że życzymy zwycięstwa nad „faszystskim igom" i zapewnialiśmy, że czekamy na nich, jak na bohaterów. Prawie co dnia po te nasze paczki przylatywał kukuruźnik, i przy okazji u jego kadłuba podwieszano kilka tusz wypatroszonych świń. Wiadomo: front potrzebuje nie tylko ciepłych rękawic, ale i żywności. Nikogo to wówczas nie dziwiło, nikt się nie żymał, nie protestował. Przecież prawie każda rodzina miała kogoś bliskiego na froncie, komu może dostanie się paczka posłana z Ilinki. Niestety, coraz częściej przychodziły zawiadomienia, że syn, brat lub ojciec „pagib smiertiu chrabrych". Coraz więcej domów okrywało się żałobą, coraz więcej we wsi było sierot i wdów.

Mój przyjaciel Fiedia Prusakow, chłopiec szesnastoletni, czarny niczym Gruzin i odważny jak sam diabeł, korzystał z życia czerpiąc całą garścią. Nie było chyba w całej Ilince żołnierki, z którą by Fiedia nie sypiał. W kołchozie pracował przy koniach — nasza piąta brygada miała ich chyba z setkę — i z przyjaźni pozwalał mi prowadzić ów tabun do wodopoju. Jeździło się na oklep, w niemożliwym do oddychania kurzu, za to można było w drodze powrotnej mknąć galopem wywijając nad głową długą witką. I tylko trzeba było uważać na bramę, by w porę się schylić. Ponoć poprzedni przewodniczący piątej brygady zapomniał był o tym w pijanym widzie i dlatego już któryś rok spoczywa na cmentarzu.

C. D. N.

Panorama

NRD

W BERLIŃSKIM PAŁACU FRIEDRICHSFELDE odbyło się inauguracyjne spotkanie z autorem książki „Trojka. Historia pewnego nie nakręconego filmu" — **Arkusem Wolfem.** Książka opowiada o losach trzech młodych Niemców, którzy w latach trzydziestych spotkali się w Moskwie. Są nimi Konrad Wolf, Lothar Wloch i Viktor Fischer. W 40 lat później spotkali się w Nowym Jorku i dokonali podsumowania swego życia. Konard Wolf jest prezesem Akademii Sztuki NRD, Lothar Wloch — senatorem USA, Viktor Fischer — przedsiębiorcą budowlanym w Berlinie Zachodnim.

Książka jest pierwszym obszernym opisem czasów stalinowskich z lat trzydziestych naszego stulecia. Pokazuje rzeczywistość, która nie miała nic wspólnego z marzeniami i dążeniami komunistów. Rodzice Markusa Wolfa po dojściu w 1933 roku Adolfa Hitlera do władzy opuścili Niemcy i schronili się w ZSRR. Po wojnie wrócili do NRD, a Markus Wolf pracował w rozgłośni Deutschland Sender. Następnie przez 20 lat kierował wywiadem NRD — HVA, który dysponował przeszło 4.000 agentów. W 1987 roku przeszedł na emeryturę. Teraz ukazał się publiczności. Jego twarz, którą przez wiele lat bezskutecznie starali się sfotografować agenci różnych wywiadów, teraz wszyscy mogli oglądać na ekranach telewizorów. Markus Wolf udzielił wywiadu sieciom telewizyjnym ARD i ZDF.

WĘGIERSKA REPUBLIKA LUDOWA

W BUDAPESZCIE w Uniwersytecie Ekonomicznym im. Karola Marksa odbył się zjazd Węgierskiego Forum Demokratycznego, który to zjazd przyjął statut i wybrał 15 osób do prezydium WFD. W imieniu władz WFD na zwołanej konferencji prasowej wypowiedział się **Zoltan Biro.** Oświadczył on, że większość zgromadzonych wypowiedziała się za przekształceniem WFD w partię, której program broniłby szeroko pojętych spraw narodu i demokracji. Przyszła partia mogłaby wchodzić w koalicje, ale po wyborach, których celem powinno być powołanie konstytuanty i opracowanie nowego prawa wyborczego.

Na zarzut, że program WFD pod wieloma względami przypomina programy niezależnych zgrupowań a nawet WSPR, Zoltan Biro odpowiedział, że na Węgrzech występuje „inflacja słów i programów".

WPROWADZENIE NOMENKLATURY miało na celu zapewnienie wpływu WSPR we wszystkich dziedzinach życia. W 1973 roku objętych nomenklaturą były 1973 stanowiska, w 1985 roku — 1241. Obecnie ustalono, że tylko 452 obejmujące najważniejsze dziedziny życia państwowego.

ZSRR

W MOSKWIE — po obradach ostatniego plenarnego posiedzenia KC KPZR — odbyła się konferencja prasowa, którą prowadził **Wadim Miedwiediew.** Wystąpił na niej również **Jegor Ligaczew,** który w Biurze Politycznym KC KPZR odpowiada za sprawy rolnictwa. Powiedział, że Plenum KC KPZR opowiedziało się za zróżnicowaniem form gospodarowania w rolnictwie i form socjalistycznej własności. I tak współistnieć będą obok siebie kołchozy, sowchozy, zrzeszenia spółdzielców, agrokombinaty, agrofermy, gospodarstwa chłopskie, a także gospodarstwa pomocnicze obywateli i przedsiębiorstw.

Na pytanie o różnice zdań w Biurze Politycznym KC KPZR Jegor Ligaczew odpowiedział, że w zasadniczych sprawach nie ma żadnej różnicy i on — przeczytawszy niedawno ponownie swoje przemówienie na XIX Wszechzwiązkowej Konferencji Partyjnej — nie uważa, aby miał cokolwiek zmienić z tego, co wówczas powiedział.

NA UKRAINIE nasilają się ruchy protestacyjne. W **Równem** około 250 kobiet zbiera się codziennie przed cerkwią, na schodach której 5 kobiet prowadzi strajk głodowy. Domagają się one zwrotu cerkwi wiernym. Cerkiew tę przekształcono w muzeum ateizmu w 1960 roku. Zdaniem władz znalazła się ona w centrum wybudowanego osiedla, co uniemożliwiało odprawianie tam nabożeństw. Komitet Wykonawczy Gorsowieta zapewnił jednak, że sprawa będzie ponownie rozpatrzona.

Również w **Kijowie** kilka osób prowadzi strajk głodowy. Domagają się oni zwolnienia Siergieja Gucenki — działacza ruchu na rzecz przestrzegania Aktu Końcowego z Helsinek oraz Bogdana Klimczenki, który usiłował przekroczyć nielegalnie granicę między ZSRR a Iranem.

„KRASNAJA ZWIEZDA" przedrukowała korespondencję A. Łobkowa z „Sowieckoj Litwy", który wyraża zaniepokojenie Rosjan, Polaków, Białorusinów z powodu ogłoszenia języka litewskiego językiem państwowym. Chcą oni swobody w rozwijaniu swoich narodowych języków. A. Łobkow zarzuca radiu i telewizji litewskiej, że z pozycji nacjonalistycznych zaprezentowali te spory poruszone na wiecu „Jedność".

Opracował:
W. BOROWY

Andrzej Makowiecki 14

PIĘĆDZIESIĄT MELONÓW

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dalej, idąc w kierunku ogródków działkowych, był postój taksówek — pusty, z jednym tylko kandydatem do wojażu, człekiem uczepionym kurczowo słupka z tabliczką TAXI, pijanym i zrezygnowanym, czekającym jednak cierpliwie na samochód, który mógłby go ewentualnie przetransportować do domu. Widać było, że człek ten zacznie niebawem wymiotować — mógł to równie dobrze zrobić na postoju, jak w taksówce, ale nie dało się również wykluczyć, że przetrzyma jakoś kurs i pofolguje sobie dopiero na łonie rodziny.

Za postojem majaczył barak z szokującym napisem „Ośrodek Informacji Kolonijnej" (przygotowywano się tu zapewne do szczytu letnich wyjazdów dzieci i młodzieży na zasłużony wypoczynek w górskich i morskich kurortach), za barakiem natomiast, w odległości dwustu metrów, sterczał samotnie wielopiętrowy blok, będący wedle powszechnego mniemania hotelem dla kolejarzy. Minąwszy narożę hotelu Bernard stwierdził z przykrością, że na zapleczu tej poczciwej noclegowni zagnieździł się ukradkiem posterunek MO. Obok rozpościerał się parking dla samochodów służbowych, a do torów kolejowych przylegał magazyn ekspresowo-bagażowy. Na parkingu dwa milicyjne polonezy stały jeden naprzeciw drugiego nos w nos, zaglądając sobie pieszczotliwie w ślepia i ocierając się zderzakami.

Tylko patrzeć, jak zaczną się rąbać — pomyślał Bernard. I drgnął. Po przeciwległej stronie parkingu dojrzał w płocie dodatkową furtkę wiodącą na teren ogródków działkowych. Furtka była otwarta i niby zapraszała do wejścia, ale żeby to zrobić, trzeba było najpierw minąć klatkę o solidnych, metalowych prętach. W takich klatkach przewozi się z kontynentu na kontynent goryle i tygrysy. W tej jednakże siedział tylko pies, owczarek alzacki potwornych rozmiarów i zagadkowego usposobienia.

Nie zawył na widok intruza, nie zaszczekał, ale nie wykonał też pod jego adresem żadnych przyjacielskich gestów. Patrzył na Bernarda złymi, podejrzliwymi oczami, jakby zamierzał powiedzieć: — Wiem, że nie przyszedłeś tu kraść, ale zamiary w sumie masz podłe, ludzka mordo, więc uważaj! Niech no tylko coś zwącham, a narobię takiego rabanu, że zlecą się chłopcy!

Bernard odszedł cicho w stronę głównej bramy, pod którą zostawił samochód. Wziął torbę i wkroczył na żwirowaną ścieżkę, tę samą, którą przemierzył w tę i z powrotem dwadzieścia trzy lata temu. Podobnie jak w okolicach dworca, tak i na terenie ogródków działkowych, którym patronował niejaki Stanisław Rogowicz, zaszły nadzwyczajne zmiany. W miejsce kulawych, drewnianych domków pojawiło się mnóstwo miniaturowych willi i pałacyków zbudowanych ze smakiem i bez oglądania się na koszty. Tu i ówdzie, u wyłożonych gontem dachów i nad werandami, świeciły tajemniczym blaskiem misterne latarnie, przydając uroku drzewom i wszechobecnym kwiatom. Migotały w ciemnościach ogniki papierosów, brzęczały kieliszki i szklanki, grały magnetofony i radia, pachniało bzem i maciejką. Ludzie odpoczywali, bawili się i kochali mając przed sobą wolną sobotę i piękną majową niedzielę.

Ta parcela jednak, którą odziedziczył po ojcu szewc Gustaw M. alias Kopyto, nie nadążała ani trochę za przeobrażeniami na terenie ogródków i dworca. Czas na tej paskudnej parceli nie drgnął od ćwierćwiecza — to samo ogrodzenie z patyków i pojedynczego drutu, te same badyle zamiast róż i goździków, ta sama chatka Baby Jagi o dwóch okienkach w zapadających się ścianach i o koślawych drzwiach na skobel, ten sam pokryty liszajami dach, ten sam komin-rura i ta sama przybudówka z nie oheblowanych desek.

A mimo wszystko szewc, skretyniały pozornie i niechlujny, działał z pewnym planem. Niegdyś Bernard dziwił się tej prymitywnej, zbędnej, mogło się wydawać, przybudówce, teraz zobaczył, iż stoi w niej motocykl. Przewidywał zatem niejaki Gustaw M. alias Kopyto! Nim kupił sobie SHL-kę i nim dochrapał się emzetki, zbudował dla nich garaż.

Bernard zapukał i nie czekając na zaproszenie wszedł do chatki. Kopyto był tym razem w formie; nie zdążył jeszcze urżnąć się krajowym winem, ale specjał ten był obecny w jego letniej rezydencji: pięć butelek tkwiło rzędem na podłodze w nogach barłogu, szóstą zaś, ledwie napoczętą, trzymał szewczyna w ręce, aby nalać sobie do szklanki. I nalał! Nie speszyła go w najmniejszym stopniu wizyta niespodziewanego gościa. Nie drgnął mięsień na tłustej twarzy nie podskoczyła powieka. Wypił, zapalił, wciągnął dym z widoczną rozkoszą i zapytał krótko:

— Czego chcesz?

— Nie myśl tylko, że przyszedłem cię szantażować — mówił Bernard jednym ciągiem, aby czym prędzej uspokoić gospodarza i przystąpić do sprawy — Dwadzieścia trzy lata milczałem jak głaz i będę milczał aż do śmierci, że znałeś tę dziewczynę i zamordowałeś ją z zimną krwią.

— Jaką dziewczynę?

— Nie rżnij głupa!

— Uważaj no, cwaniaku. — Szewc wstał z łóżka i zacisnął piąchy. — Uważaj, bo dom w mordę i zawołam szpaki, a ze szpakami nic nie wiadomo.

— Dobra — rzekł pojednawczo Bernard. — Nie było żadnej dziewczyny, nie było żadnej broszki, nie było w ogóle żadnego morderstwa, tak?

— Tak.

— A to było? — Otworzył torbę, wyjął z worka rewolwer i owinął go na wskazującym palcu. — Zrozum, ja ci nie grożę. Powiedz tylko, czy masz jeszcze drugą taką zabawkę od pary?

Szewc łypnął okiem w antresolkę nad głową. Zdradził się, a teraz zacznie przeczyć — podejrzewał Bernard. Spotkała go jednak niespodzianka.

— Mam.

— To świetnie — ucieszył się gość, wnioskując jednocześnie, iż tępy i głupi szewczyna myśli mądrze i wartko. — W tej sytuacji możemy zrobić interes.

— Jaki?

— Gruby.

— Chcesz kupić spluwę?

— Nie, ale ona się przyda. Tej twojej i tej mojej raźniej będzie we dwójkę.

— Znaczy się: namawiasz mnie do mokrej roboty?

— Skąd! Brzydzę się krwią. Ale jest do wyjęcia cały wór pieniędzy, cała kupa milionów. Pozwolisz, że usiądę?

Szewc podumał chwilę, wreszcie zgarnął z zakurzonego krzesła stertę gazet i powiedział:

— Siadaj.

— Dotychczas ja trzymałem cię w garści. — Bernard ulokował się ostrożnie na meblu o rozchwianych nogach. — Nie zaprzeczaj! Musiały zostać po tobie jakieś odciski palców, jakieś ślady. Oni są mądrzejsi, niż przypuszczasz... Teraz jednak, kiedy zdradzę ci swój plan, ty z kolei chwycisz mnie za gardło. Padnie między nami remis. Każdy z nas, jeden na drugiego, będzie miał tęgiego haka. Zatem: jeśli nie przystaniesz na moją propozycję i odrzucisz ją, czego nie wykluczam, zobowiążesz się tylko do jednego: pysk na kłódkę! Zapomnisz raz na zawsze o tym, co usłyszysz za moment, zgoda?

Szewc znowu trochę podumał i mruknął:

— Zgoda. — Podsunął Bernardowi szklankę. — Nie mam drugiej — rzekł — ale mogę pić z butelki.

Gość wysłuchał tego z zadowoleniem, po czym uścisnął szewcowi rękę i palnął:

— Gdybyś nie odrzucił mojej propozycji, czego również nie wykluczam, jutro czeka cię robota, wstrzymaj się więc z piciem pół godziny. Potrafisz?

— Nie jestem alkoholikiem — odparł z ujmującą godnością szewc.

— Tak myślałem. — Bernard znowu był zadowolony i ponownie uścisnął dłoń gospodarza, który, co tu dużo gadać, poczynił z biegiem lat wielkie postępy w zakresie słownictwa i obyczajów. Ubrany był w kraciastą, czerwono-czarną koszulę, beżowe spodnie i szare mokasyny. Nie cuchnął. Wyglądał na zamożnego sklepikarza. — Faceci, którzy uchlewają się raz na tydzień winem, nie są alkoholikami. Wino nie rozwala nerwów.

— Święta prawda — przytaknął Gustaw, po czym zmrużył lekko powiekę: — Ale zapalić wolno?

— Jasne — uśmiechnął się Gustaw. — Sam chętnie zapalę. A teraz uważaj!

Wyciągnął z torby długopis i arkusz papieru. Przysunął stolik, który stał u wezgłowia barłogu przykryty biało-niebieską ceratą. Palce lewej ręki przytrzymywały papier, prawa ręka szkicowała. Mówił, tłumaczył, pytał i odpowiadał na pytania. Papieros podskakiwał mu w ustach, bo nie miał czasu go wyjąć.

Wykład trwał dwie godziny, w trakcie których szewc ani razu nie sięgnął po butelkę. Przyjął warunki Bernarda, aczkolwiek w jednym punkcie sprzeczał się z nim i był nieustępliwy. Z zadowoleniem schował do kieszeni dwieście tysięcy złotych. Pieniądze te pochodziły z tajnych rezerw ekonomisty.

Bernard udzielił szewcowi na pożegnanie kilku rad i przykazań. W pół godziny później wszedł do swojego mieszkania na Teofilowie, a żona rzuciła się na niego wrzeszcząc i rozpościerając szpony.

Chwycił ją za włosy i dźwignął w górę tak, że stała na paluszkach jak baletnica. Jeśli wszystko ma być po staremu, zgodnie z tym, co powiedział dwukrotnie Jackowi, trzeba dać przykład i wyregulować od czasu do czasu ptaszynę. Chlasnął otwartą ręką w lewy i w prawy policzek. Ponieważ nie ukoiło to jego rozdygotanych nerwów, powtórzył raz i drugi operację. Wypił pół litra i położył się spać. Nad ranem wziął żonę gwałtownie i szybko. Chlipała, groziła rozwodem, ogólnie jednak była szczęśliwa. Chłop nie zgubił jaj. Bije i miłości, więc kocha. Jest dobrze! Tak jej się przynajmniej zdawało.

7.

Gejszę obudził telefon. Spała na wznak w swojej sypialni á la Ludwik XVI i sięgnęła po aparat dopiero przy trzecim sygnale.

— Słucham — mruknęła grzecznie, lecz bez entuzjazmu przekonana, że dzwoni jakiś zramolały dyro.

— May I speak to Miss Barbara?

— Mówisz z nią właśnie, koteczku — odpowiedziała wdzięczną angielszczyzną.

— Halouuu! — rozpromienił się w membranie męski głos. — Przed chwilą przyleciałem do Warszawy ze Sztokholmu. Mam dla pani pozdrowienia i prezent od Christera.

— To miłe. — Patrzyła w sufit ponad mosiężnym żyrandolem. Ręką, która nie była akurat zajęta, odrzuciła róg puchowej kołdry i podciągnęła do góry kolano. — Jak on się miewa? — zapytała łaskawie.

— W porządku! — uciął niecierpliwie mężczyzna. — Dziś wieczorem będę w Łodzi i chciałem się z panią zobaczyć.

— Gdzie?

— W Grand Hotelu.

— I co? Od razu wciągnie mnie pan do łóżka i zaczniemy się grzać? Wziąć szczoteczkę do zębów i piżamkę?

Ten gość, korzystający pewnie z automatu w holu lotniska, stracił na chwilę oddech. Kiedy go wreszcie odzyskał, oświadczył z urazą:

— Jestem dżentelmenem. Pochodzę z Wielkiej Brytanii.

— Irlandczyk?

— Szkot.

— Boże! Nie przyjdzie pan chyba w marsz-butach i w spódniczce?

— Przyjdę w garniturze, ale z kobzą.

— To już lepiej — parsknęła. Uniosła do góry drugie kolano i odgięła je powoli. W uchylonym oknie trzepotała firanka, wiatr chłodził rozpalony brzuch. — Zapytam o pana wieczorem w recepcji. Dżentelmen to chyba pańskie nazwisko, a jak imię? Nie zapomniał się pan przypadkiem przedstawić?

— Oh, sorry! Francis James Moliński do usług. Zapraszam panią na kolację.

— Tatuś był z pewnością Polakiem?

— Tatuś nie. Dziadek.

— Dobra, James, przyjmuję zaproszenie. Powiedz mi tylko, kto płaci: słyszałam wprawdzie o niesłychanej rozrzutności Szkotów, ale może ty jesteś wyjątkiem?

— Tak, ja jestem wyjątkiem.

— Nie przejmuj się! Przyniosę ze sobą parę groszy, abyś nie ucierpiał zbytnio Bye, honey! Do zobaczenia wieczorem.

Odłożyła słuchawkę i postawiła aparat na kręgłej nocnej szafce. Ten gość cierpiał widocznie na niedosyt informacji, bo zadzwonił znowu:

— O której się spotykamy, Barbaro?

— O ósmej.

— Barbaro odpowiada mi ta pora.

— To się cieszę.

Przerwała połączenie i szepnęła:

— Bęcwał!

Sięgnęła po leżący obok telefonu komputer i włączyła telewizor. Dobiegał końca program dla dzieci, a potem był dziennik poranny. Wiatr ciągle jeszcze figlował z firanką; chrzęściły żabki na metalowym pręcie pod sufitem. Wstała, zamknęła okno, przygotowała sobie w kuchni śniadanie i zaniosła je na tacy do łóżka. Zjadła plasterek angielki z kawiorem, wypiła filiżankę mocnej kawy z ekspresu, po czym zaciągnęła się aromatycznym pall mallem.

Drzemała do południa. O pierwszej spożyła lekki obiad. Rozbiła o brzeg patelni trzy jajka, ale nim rozmieszała je, zrezygnowała z dwóch żółtek, które wyłuskała stołową łyżką i wrzuciła do zlewu. Odbyła długi spacer w parku. Wróciła o czwartej. Weszła do wanny zanurzając się w niebieskiej wodzie z piana. Piana opadała powoli trzeszcząc jak śnieg, a Gejsza sycila wzrok urodą łazienki — ścian wyłożonych włoską glazurą, marmurowej terakoty, z którą kontrastował wspaniale czerwony dywan, lśniących okuć, wąskiego lustra nad umywalnią, pralki, zamrażarki i wytoczonego pięknie z mahoniu stolika na kółkach, któremu niedawno dziwił się ojciec.

— Bęcwał! — Przypomniała sobie rozmowę ze Szkotem. — Tak czy owak, trzeba coś na tym stoliku postawić.

Piętnaście po ósmej weszła do Grand-Hotelu w skromnej białej sukience, przepasanej czarnym paskiem, i w skromnych czarnych pantoflach. Że ta skromność kosztowała ją kilkadziesiąt dolarów, to już inna sprawa. Na przedramieniu miała czarny rozpinany sweter, a w ręku czarną torebkę. Mężczyzna, który zagrodził jej drogę, nim dotarła do recepcji, też był w czerni; brakowało tylko chryzantem, żeby pojechać na cmentarz. Popatrzyli na siebie i on zaczął:

— Barbara?

— Tak. Welcome! Miło mi powitać pana na ziemi dziadów. Po polsku ani w ząb?

— Niestety.

— A gdzie kobza?

Powiedział coś, czego nawet nie próbowała zrozumieć. Z pewnością było to bardzo dowcipne. Szacowała go szybko: trzydzieści lat, zamożny, przystojny i odpychający.

— Zamówiłem stolik. Chodźmy! — Ujął Gejszę pod ramię i poprowadził do Złotej Sali, która ma tę przewagę nad innymi salami Grand Hotelu, że jest mała, cicha i przytulna. Przewyższał ją o kilka centymetrów (o dziewczynie mowa, nie o sali); bił od niego intensywny zapach wody kolońskiej i dezodorantu.

— Shall we have a drink? — Podał jej krzesło i usiadł naprzeciw. Był to ostatni stolik po lewej stronie od drzwi. — Vodka, brandy?

— Jakiś sok — powiedziała.

— Nie lubisz alkoholu?

— Lubię, ale jestem samochodem.

Francis James Moliński nie wydawał się zachwycony. Dziewczyna ukłuła go dwukrotnie — że nie pije, to jeszcze pół biedy, ale skoro mówi, że przyjechała samochodem, to chyba chce wrócić do domu. Cierpiał. Już był zazdrosny! Nie wiedział, że najgorsze ma jeszcze przed sobą.

C.D.N.

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

— Przystąpił pan do realizacji swojego kolejnego filmu pt. „Bal na dworcu w Koluszkach". Jaką historię będzie pan opowiadał?

— Może Polaków portret własny ?

— To znaczy?

— Chcę pokazać obraz naszego społeczeństwa, bez wymierzania sprawiedliwości, bez wchodzenia w aktualną sytuację polityczną, choć jest ona obecna w tle rozgrywającej się akcji.

— Akcja filmu toczy się współcześnie, a konkretnie w noc sylwestrową, przypadającą na zimę stulecia 1978/79 r. Jakie okoliczności zainspirowały pana do napisania scenariusza właśnie na taki temat?

— W przeddzień nocy sylwestrowej jechałem pociągiem, który utknął w zaspach śniegu. Podobne doświadczenie zaskoczyło moich przyjaciół, którzy także stanęli w drodze. Ilość dowcipów, które się wtedy pojawiły w związku z niespodziewanym atakiem zimy, do której jak zwykle nasze społeczeństwo okazało się nie przygotowane, podziałała na mnie ośmielająco. Postanowiłem zrobić właśnie o tym film.

— Trudno to czasy do przeniesienia na ekran. Czy z tych powodów historia toczy się w tle filmowych wydarzeń?

— Piekielnie trudno jest zrobić film współczesny, który odnosiłby się do wydarzeń z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i 1988 r. Rzeczywistość tak szybko zmienia się, że nawet rzetelna rejestracja filmowa odbiera tej rzeczywistości wiarygodność.

— Zatem wróćmy do pana obserwacji poczynionych na dworcu w Koluszkach w ową sylwestrową noc. Jak Polacy zapisali się wtedy w pana pamięci?

— Byli paradoksalni i film także ma być taki. Widzi pani, dla mnie wzorem reżysera był Andrzej Munk i jego sposób widzenia otaczającej go rzeczywistości. Chciałbym się zmieścić w jego tradycji, choć dziś nie jest ona kultywowana. Byłbym szczęśliwy, gdyby moje zamierzenia powiodły się.

— W jaki sposób ma się przejawiać śmieszność sytuacji pokazanych w filmie?

— W przypadkowym skojarzeniu osób, które w normalnych warunkach nigdy nie mogłyby się spotkać. Mój film ma być utworem polifonicznym. Na taśmie chcę zarejestrować wiele twarzy. Każdej z nich poświęcam parę minut. Bohaterami łączącymi poszczególne wątki jest inżynier, który spotkał w pociągu młodą dysydentkę, przewożącą cały karton „Małej Apokalipsy" **Tadeusza Konwickiego.** Film ma być pewnego rodzaju metaforą. Istnieje w powszechnym użyciu słowo „antycypacja" i ten film ma być antycypacją zdarzeń, które nastąpiły po 1980 roku.

— Cóż pan wtedy przewidział?

— To odwieczne pytanie z gatunku: koło czy tryptyk? Dla mnie oczywiście jest to koło, bowiem mój film opowiada o pewnej powtarzalności naszego losu i niemożności wyjścia z tej niekorzystnej sytuacji. Nawet ucieczka grupy pasażerów „szaloną lokomotywą" z 1924 r. z dworca w Koluszkach nie udaje się.

— O ile wiem, ta ucieczka w filmie wiedzie w świat wyimaginowany. Z zaśnieżonego krajobrazu grupa pasażerów bocznym torem kolejowym przenosi się w pejzaż wiosenny, pełen traw zielonych i budzącego się życia. Czemu ma służyć w filmie ta scena odrealnionego świata?

— Na to pytanie nie odpowiem ani pani, ani nikomu innemu.

— Odnoszę wrażenie, że będzie to kluczowa scena w filmie.

— Nie ma pani racji. Wszystkie sceny traktuję z taką samą troską. Nagły „wjazd w lato" nie może być na siłę metaforyzowany. Bohaterowie wyprawy na równi z widzami mają być zdziwieni, że wokół jest wiosna... Ten film dzieje się w sferze mentalnej ludzi. Zmiana mentalności filmowych bohaterów uwarunkowana jest zmianą sytuacji.

— Na czym zatem polega zmiana mentalności bohaterów, którzy uciekli z dworca w Koluszkach?

— Polityk nagle staje się inteligentnym człowiekiem, aktor przestaje być kabotynem, dziennikarz zyskuje na normalności. Zaczynają ze sobą mówić, jak ludzie odarci z masek, tak jak tego wszyscy oczekujemy od dawna. Scenariusz napisałem pod postaci znane mi ze swoich działań na arenie społecznych i politycznych wydarzeń tamtego czasu. Pozostali bohaterowie także zmieniają się po tej jednej nocy np. inżynier grany przez Zamachowskiego wchodzący w świat nic o nim nie wiedząc, wychodzi z niego jako dojrzały człowiek.

— A czy jest ktoś, kogo ta dziwna podróż nie odmieniła?

— Tak, pani Basia — dysydentka. Ona od samego początku znała podział ról w tym świecie i wiedziała kto jest kim. Pozostała do końca soba.

— Kiedy przewiduje pan zakończenie realizacji filmu?

— Obecnie zrealizowaliśmy około 70 proc. zdjęć. Spieszymy się, choć brak jest ku temu motywacji ekonomicznej. Ciągle wydaje mi się, że ciąży na nas przeświadczenie, że jeżeli dłużej robi się filmy, to w parze idą wyższe zarobki. To jest nonsens.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„Bal na dworcu"

Rozmowa z FILIPEM BAJONEM, reżyserem filmowym.

Scen. i reż. Filip Bajon, zdj.: Piotr Sobociński, muz.: Henryk Kuźniak, scenog: Krzysztof Stefankiewicz, kost.: Elżbieta Radke, kier. prod.: Wiesława Piotrowska. Wyk. Zbigniew Zamachowski, Hanna Polk, Jan Nowicki, Jan Paszek, Henryk Bista, Ryszard Pietruski, Zdzisław Wardejn, Aleksander Fabisiak, Leon Niemczyk, Maria Gładkowska, Bronisław Wrocławski.

A może do kina?

Choć rozpoczynające się „Konfrontacje" budzą wśród widzów największe zainteresowanie to jednak pragniemy zwrócić uwagę na film **Andrzeja Żuławskiego, pt. „NA SREBRNYM GLOBIE".** Jak utrzymują znawcy gatunku film ten w momencie powstawania był dziełem prekursorskim z fascynującą scenografią, techniką filmową i głębią filozoficznego przesłania. Ale to było przed 12 laty. Dziś, zmontowany z ocalałych resztek materiału dźwiękowego jest jedynie interesującym śladem ogromnego przedsięwzięcia sprzed lat. Jednakże warto go obejrzeć. W rolach głównych występują: **Andrzej Seweryn, Jerzy Trela, Iwona Bielska** i inni.

Fakty ◇ Plotki ◇ Anegdotki

★ Jest to historia bandy zawodowych morderców-samurajów którzy do perfekcji wyćwiczyli techniki wschodnich walk. Nie zabijają oni ludzi uczciwych, tępią natomiast wszelkiego rodzaju przestępców — feudalnych panów, którzy wyzyskują swoich podwładnych. Potrafią też mistrzowsko stosować akupunkturę. Każdy odcinek serii opowiada inną historię. Tak w największym skrócie można zaprezentować nowy serial, który cieszył się w Japonii szalonym powodzeniem i reklamowany był jako: „Najdłużej trwająca akcja samurajów na ekranach telewizyjnych". Serial **„Mściciele"** został wyprodukowany w 23 odcinkach, liczących — jak podaje „Antena" — 660 epizodów po 46 minut każdy.

★ **„Strachy na lachy"** to pełna humoru parodia horrorów. Po serii programów z Muppetami i ich gośćmi na ekranach tv zobaczymy niezwykle popularną w USA serię filmów rysunkowych o śmiesznych duchach i wampirach zamieszkujących w starym zamku.

★ Do jury tegorocznego Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes organizatorzy zaprosili ubiegłorocznego laureata tej imprezy — **Krzysztofa Kieślowskiego**. Będzie on pierwszym od wielu lat (nie licząc **Jerzego Skolimowskiego**) polskim twórcą, który zasiądzie w jury tej prestiżowej imprezy filmowej.

★ W kwietniu wchodzą na ekrany cztery polskie filmy — **„Dotknięci" Wiesława Saniewskiego, „Gwiazda Piołun" Henryka Kluby, „Desperacja" Zbigniewa Kuźmińskiego** oraz film **Krzysztofa Nowaka „Co lubią tygrysy".** Warto zwrócić uwagę na kilka tytułów kinematografii radzieckiej — **Aleksandra Askoldowa „Komisarza", Eldara Riazanowa „Droga Heleno Siergiejewna" i Wasilija Piczula „Małą Wierę".** Do wąskiego rozpowszechniania skierowany zostanie w kwietniu film **Romana Balajana „Szpicel".** W kwietniowym repertuarze znajdzie się również amerykański film **Emile Ardolino „Wirujący seks" i „Dom przy Caroll Street" Petera Yatesa.**

★ Do Francji przybyła ostatnio z USA **Joanna Pakula,** aby wystąpić w nowym filmie reżyserowanym przez **Nathalie Delon.** Przy tej okazji oświadczyła prasie, że nie jest obrażona na swój kraj i zachowała polski paszport, choć w Stanach Zjednoczonych zawarła ostatnio związek małżeński z młodym aktorem **Howardem Kochem** Jr. Przed przyjazdem do Francji aktorka ukończyła zdjęcia do serialu **„Ucieczka z Sobiboru"** dla amerykańskiej TV.

★ **Stanley Kramer** — producent i reżyser amerykański **(„Ucieczka w kajdanach", „Ostatni brzeg", „Kto sieje wiatr", „Wyrok w Norymberdze")** przystępuje do realizacji filmu o **Lechu Wałęsie.** Film nosi tytuł **„Polonez"**, a w roli Wałęsy wystąpi **Robin Williams.** Przy realizacji zdjęć w Polsce pomoc techniczną zapewnia Wytwórnia Filmów Fabularnych we Wrocławiu. W niektórych scenach zbiorowych ma wziąć udział ok. 25 statystów.

★ **Janusz Majewski,** prezes SFP oświadczył, że na półkach nadal znajdują się 4 filmy fabularne i 31 filmów dokumentalnych powstałych w różnych okresach.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

30 marca — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

6 kwietnia — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z 23 MARCA 1989 R.

Wielki Tydzień, okres wzmożonych zakupów, a handel jakby tyłem do klienta. Pani **Elżbieta Anglert** z Widzewa-Wschodu uskarża się, że kiedyś były w bloku dwa małe sklepy i było dobrze. Potem powstały dwa wspaniałe pawilony ogólnospożywcze na ul. Bartoka i Czernika. I byłoby wprost znakomicie, gdyby nie fakt, że pawilon przy ul. Bartoka od 20 marca, a więc w okresie przedświątecznych zakupów, zaczął funkcjonować od 6.00 do 13.00. Natomiast w nocy sprzedaje się tam alkohol z 20 proc. narzutem oraz cebulę i pepsi na zagrychę. Pani Anglert nie ma nic przeciwko sprzedaży alkoholu, ale rzecz w tym, że ludzie po pracy muszą stać w milowych kolejkach w pawilonie przy ul. Czernika, a na stoisku mięsnym dzieją się iście dantejskie sceny. Co na to dzielnicowy wydział handlu?

Pani **Jadwiga K.** prosi o sprostowanie. Chodzi o jej sprawę poruszoną w „Odgłosach" (raport z dyżuru reporterskiego). Rzecz w tym, że nie ten sam urząd, lecz UMŁ unieważnił podjętą uprzednio decyzję przez Urząd Dzielnicowy Łódź-Widzew.

Schwytani przez milicję pijani kierowcy miejskich autobusów to potencjalni sprawcy zbiorowych morderstw. Pan **J.L.**, z zawodu kierowca, jest tym przerażony. Proponuje, aby takim piratom dożywotnio odbierać prawa jazdy, niech tracą zawód i chleb.

Ten sam czytelnik uważa, że należy powołać jakieś brygady Tygrysa do walki ze spekulacją, bo dochodzi już do tego, że zawodowi stacze proponują za 50 tys. zł nie zapłacony paragon na telewizor. Człowiek zgrzyta zębami, a na uspokojenie serwuje mu się w radio i telewizji wycie epunów z gitarami. Ech, gdzie ten walczyk lub tango, gdzie ta melodia?

Jedni narzekają na brak sklepów w osiedlach, drudzy na ich uciążliwość. Pan **Wiesław Mazurek** z ul. Górskiej 14 (stary blok) w imieniu sześciu lokatorów protestuje przeciwko uruchomieniu w ich klatce schodowej sklepu z ciągłą sprzedażą ryb żywych, prowadzoną przez spółkę „Ryb-Serwis". Klatka schodowa jest zdewastowana, bo kiedyś prowadzono tam m.in. sprzedaż wódki i piwa, a teraz smród, wystarczy, że w trakcie dostawy rozwali się na schodach beczka ze śledziami. Zgodę na tę działalność wyrazili także przewodniczący rady osiedlowej na Stokach, nie pytając o zdanie mieszkańców klatki schodowej.

Pan **Latkowski** zwraca uwagę na górę i wyboje na jezdni, jakie powstały po doprowadzeniu gazu na ulicy Zachodniej. Resory samochodów co rusz trzaskają, odpowiedzialni za stan jezdni urzędnicy patrzą na to z całym spokojem.

Na ul. Gagarina rosła trawa, krzewy i ponad dwudziestoletnie drzewa. Postanowiono tam jednak położyć dwie grube rury wodociągowe. Pan **K.J.** (nazwisko do wiad. redakcji) patrzył z bólem serca, a wraz z nim setki mieszkańców, jak cięto piłami drzewa. Dzwoniono na ratunek, gdzie się dało, ale bez echa. Przez trzy miesiące leżały na kupie jak wielki wyrzut sumienia powalone drzewa, wyrwane róże, zerwana darń z trawników. A przecież rury można było położyć pod jezdnią, ruch zaś skierować drogą okrężną. Nic z tego. A najgłupsze w tym to, że wykopy robiono potem nie na trawnikach, lecz na zerwanych chodnikach, omijając ścięte pnie, mieszkańcy zaś tonęli w błocie. Potem zasypano wykopy, zabronowano i ludzie wciąż chają tumany kurzu. Ani krzaczka, ani trawki, a tu idzie kwiecień i nie widać nikogo z sadzonkami. I pomyśleć, mój Boże, że to osiedle miało być cichą, zieloną sypialnią..

Pan **Z.Sz.** (nazwisko do wiad. redakcji) jest człowiekiem samotnym i chciałby zameldować u siebie dwie osoby. Pani z ROM na Górnej (dom znajduje się przy ul. Suwalskiej 1) oznajmiła, że sprawa jest trudna, bo na osobę przypadałoby 10 metrów kw. Wydaje się, że w dobie kryzysu mieszkaniowego nie byłyby to aż tak ciężkie warunki. Bywa, że ludzie żyją na 5 metrach kw. i nie uznają tego za dopust boży.

W 1981 r., kiedy nie każdy mógł prowadzić działalność gospodarczą, ob. **K.D.** przekazał część lokalu kwaterunkowego na działalność antykwaryczną ob. B.W., który posiadał uprawnienia do prowadzenia takiego przedsiębiorstwa, oraz swemu synowi, który uprawnień nie posiadał, ale pracował w spółce z B.W. Obecnie, gdy obowiązuje nowa ustawa o prowadzeniu działalności gospodarczej, syna pana K.D. ma już uprawnienia, w związku z czym K.D. chciałby jemu przepisać tę część lokalu. W wydz. spraw lokatorskich na Śródmieściu powiadomiono go jednak, że może to nastąpić jedynie za zgodą szefa spółki, Ob. B.W. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia z tej sytuacji? Przecież gdyby ustawa o prowadzeniu działalności gospodarczej obowiązywała w 1981 r., powierzchnia lokalowa figurowałaby na nazwisko syna.

Pani **Przybylska** z bloku przy ul. Pabianickiej 74/76 donosi nam, że ROM przy ul. Gagarina 47 od pół roku przysyła jej oraz wielu innym lokatorom, w tym ludziom starym i chorym, upomnienia z odsetkami za zwłokę w płaceniu komornego. Wpłaty na książeczkach lokatorzy mają w porządku, myli się więc komputer, lecz nie ma go kto poprawić. W zamian do 22 lat w bloku jest brudno, komorne się podnosi, a klatki schodowe były malowane tylko 3 razy. Na dodatek, p. Przybylska płaci za zimną wodę za syna, który od 2 lat u niej nie mieszka. I kto tu, u diabła, i komu winien płacić odsetki?

Panią **J.Z.** krew zalała, a jej doznania podzielają tysiące gospodyń w Łodzi. Otóż pani J.Z. zadzwoniła w sprawie proszku do pieczenia do wiceprezesa „Społem", ale go nie było, bo pewnie konferował lub robił zakupy. Sekretarka poinformowała panią J.Z., że proszku nie ma i nie będzie, bo hurt nie dostarczył. I kto nam upiecze te wszystkie wspaniałe wielkanocne cuda smakowe? Kombinat piekarniczy nie zastąpi w tym nigdy naszych żon i matek.

Ale może jakoś przeżyjemy święta. Póki co dziękujemy wszystkim Czytelnikom za ciepłe życzenia.

Wszystkiego najlepszego!

RYSZARD BINKOWSKI

„superior"

ul. Tuwima 1 tel. 33-93-05
(10—17)

- Wykonuje tłumaczenia na dogodnych warunkach
- Tworzy spółki, spółdzielnie i zapewnia ich obsługę prawną
- Redaguje wszelkie podania oraz pisma procesowe. 17104/g

COŚ Z ŻYCIA

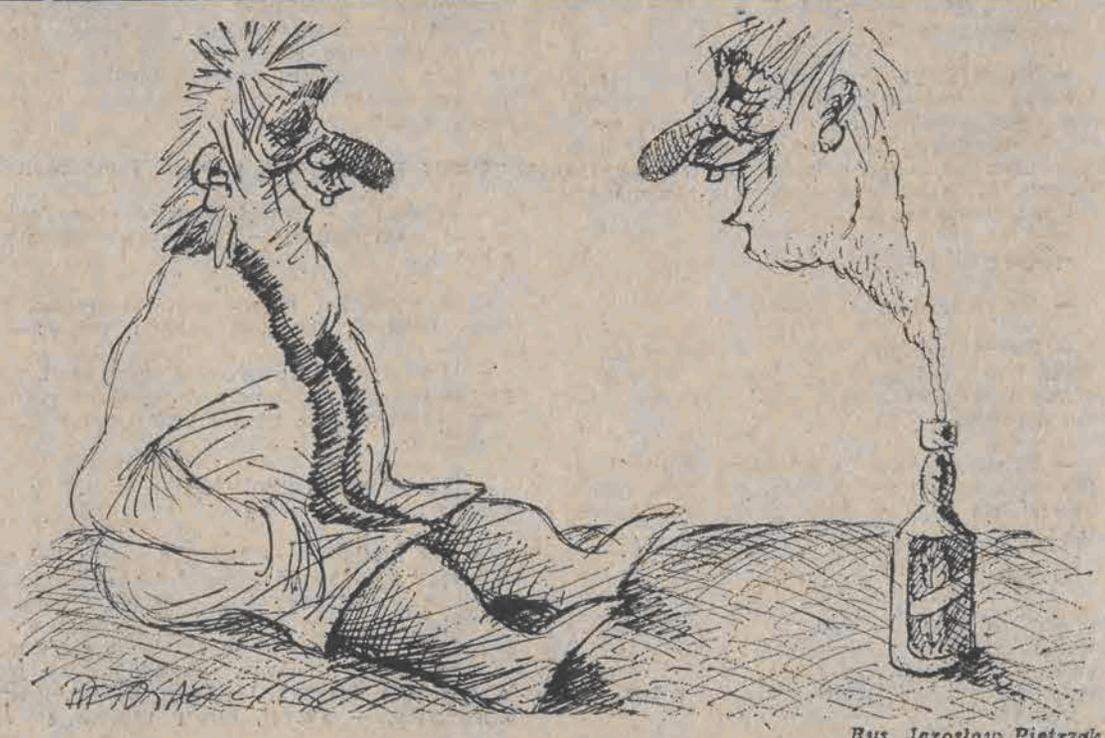

Rys. Jarosław Pietrzak

· polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

JAKIE CHCIAŁBYM WIDZIEĆ HARCERSTWO?

Związek Harcerstwa Polskiego, jak całe polskie społeczeństwo, przeżywa głęboki kryzys. Boryka się z dużymi trudnościami, tak moralno-wychowawczymi, jak i organizacyjnymi.

Brak spoistości grona instruktorskiego, usiłowania w kierunku szukania nowych metod wychowawczych, próby wyłamania się z obowiązujących rygorów organizacyjnych, to tylko niektóre z problemów, które hamują poważnie pracę ZHP i powodują, że harcerstwo przestało być atrakcyjnym dla dzieci i młodzieży i jest mało lubiane przez rodziców.

O ważności zagadnienia może świadczyć fakt zainteresowania się harcerstwem obradujących członków „okrągłego stołu", którzy w komisji, zajmującej się sprawami młodzieży, zastanawiali się nad możliwością rejestracji drugiego — obok ZHP Harcerstwa.

Władze harcerskie zapomniały o tym, że harcerstwo to ruch dzieci i młodzieży, a nie związek dla dzieci i młodzieży, niechętnie patrzą na instruktorów, szukających nowych sposobów przywrócenia harcerstwu dobrej tradycyjnej sławy poprzez sięganie do korzeni związku, do skautingu, do „Zarzewiaków", do „Elsów" i do Andrzeja Małkowskiego. Wspomnieć trzeba o niefortunnym zakazie przez władze ZHP organizowania kręgów instruktorskich im. A. Małkowskiego.

Przedmiotem poważnych waśni i nieporozumień jest także kontrowersyjny tekst Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego, a również stosowanie tego Prawa i Przyrzeczenia przez instruktorów i młodzież harcerską w codziennym życiu. Wiele na ten temat można mówić i wiele dawać przykładów — oczywiście tak dobrych, jak i złych.

Jak toczyć się będą dalsze losy Związku Harcerstwa Polskiego, decydować będzie Walny Zjazd ZHP. On powinien zadecydować o koniecznych zmianach. Wydaje się niezbędne, by ZHP zapewnił sobie pełną, suwerenną, rzeczywistą samodzielność organizacyjną. Harcerstwo nie może być związane ani ideowo, ani politycznie z żadną partią czy stronnictwem Państwowy nadzór nad działalnością ZHP pełnić winien minister edukacji narodowej poprzez swoje agendy. Przywrócenie w kuratoriach szkolnych etatu instruktora do spraw harcerskich okazać by się mogło bardzo celowym.

Prawo i Przyrzeczenie Harcerskie zapewnić winno wolność sumienia. A że, jak wszystkim wiadomo, 90 proc. narodu polskiego stanowią katolicy, nie może być mowy o wychowaniu laickim. Oczywiście należy zapewnić jak najdalej idącą tolerancję dla innowierców i ateistów. Braterstwo harcerskie winno być wyznacznikiem wspólnoty organizacyjnej i wychowawczej.

Myślę, że Zjazd winien także zainteresować się harcerstwem poza granicami Polski. Nie można bowiem uznać za właściwe szukanie kontaktów z młodzieżą innych narodowości, a pozostawić bez opieki dzieci i młodzież żyjącą w innych państwach i organizowaną tam w drużynach harcerskich. Nie jest tajemnicą, że istnieje emigracyjny Związek Harcerstwa Polskiego, że odbywają się Zloty, że istnieją odrębne władze, nie mające łączności z ZHP w Polsce. Żyjemy w czasach, w których społeczeństwa, narody i państwa szukają możliwości wzajemnych porozumień i układów, do stworzenia wspólnego domu europejskiego i światowego, pójdźmy więc za ich przykładem.

Nasze państwo polskie ubiega się o uczestnictwo w różnych międzynarodowych instytucjach i organizacjach wydaje się więc, że nie ma żadnych przeszkód ażeby ZHP zaczął starać się o przyjęcie do międzynarodowej organizacji skautowej. Kolebką harcerstwa polskiego jest przecież skauting. A w Międzynarodowym Biurze Skautowym ZHP miał swoje miejsce do 1939 r.

Jest w harcerstwie i przy nim duża ilość instruktorów, mniej lub więcej czynnych, lub tylko serdecznie z organizacją związanych. Ludzie ci wiele lat swego życia poświęcili harcerstwu, posiadają często duże doświadczenie w wychowawczej pracy harcerskiej i sporo jeszcze zapału, do bezpośredniej pracy z dziećmi i z młodzieżą już się jednak nie nadają. Zastanowić się więc wypada jak ich wykorzystać, jaką pozycję ustalić dla nich w Związku. Nie zawsze przecież tytuł instruktor-senior dostatecznie ich satysfakcjonuje. A może ustalić dla nich statutowy człon organizacyjny?

Nie jest celem tych spostrzeżeń i refleksji wykazanie, jak to ostatnio w Polsce ma miejsce, błędów, wypaczeń i białych plam ZHP. Jest to osobista ocena sytuacji i wynikające z niej refleksje.

DOMINIK PATORA
harcmistrz-senior

List publikujemy ze skrótami, gdyż miejsca jest mało. W liście — naszym zdaniem — jest wiele interesujących uwag. Z jednym nie możemy się zgodzić, żeby harcerstwo było związane z religią. Opowiadamy się za laickim wychowaniem w ZHP, niezależnie od tego, ile w PRL jest procent katolików.

REDAKTOR DYŻURNY

„SAM WOBEC CHOROBY"

Tygodnik „ODGŁOSY" nr 5 z 29 stycznia 1989 r. zamieścił artykuł red. Ryszarda Bińkowskiego „Sam wobec choroby". W artykule tym Ryszard Bińkowski dokonał charakterystyki mojej osoby. Charakterystyka mojej osoby jest wysoce ujemna i czuję się nią zniesławiona. W artykule jestem wymieniona z imienia a mój brat, którego artykuł dotyczy z imienia i nazwiska.

Otoczenie rozpoznało mnie i jestem narażona na jego kpiny. Szczególnie jestem urażona stwierdzeniem redaktora, iż mam astmę, jestem nerwowo chora, a ostatnie zdanie dotyczące mojej osoby sugeruje, iż w moim domu prowadzę jakąś pokątną działalność gospodarczą. Ten ostatni fakt dyskredytuje mnie najbardziej w oczach znajomych i sąsiadów.

W związku z powyższym uprzejmie proszę o zamieszczenie sprostowania w tygodniku „ODGŁOSY" oraz przeproszenie mnie.

Z poważaniem

HENRYKA BIŃKOWSKA

Jedyną intencją, jaką kierowałem się udając się do Aleksandrowa, było pomóc w jakimś stopniu choremu człowiekowi, o co zresztą prosiła mnie pani Henryka Bińkowska. Nie zamierzałem w niczym urazić p. Henryki Bińkowskiej, toteż napisałem, iż cierpi ona na astmę, a już bynajmniej nie sugerowałem, iż jest ona nerwowo chora. Takich twierdzeń i sformułowań w ogóle nie ma w treści reportażu. Nie stwierdziłem także, iż w domu, który odwiedziłem, prowadzi się jakąś pokątną działalność gospodarczą. To środowisko interpretuje na swój sposób treść reportażu, przypisując p. Henryce Bińkowskiej historie, których nie napisał reporter.

W związku z tym, o ile w mej literackiej formie opisu postaci uwłaczyłem w czymkolwiek p. Henryce Bińkowskiej, to serdecznie ją przepraszam.

Z poważaniem

RYSZARD BINKOWSKI

KAŻDY MA PRAWO MIEĆ SWOJE ZDANIE

W numerze 12(1612) „Odgłosów" ukazało się sprawozdanie z demonstracji NZS, która odbyła się 3 marca br., pióra red. Mirosława Kulisia. Zrzeszenie uznało za stosowne zająć w tej sprawie następujące stanowisko.

Abstrahując od niezwykłych talentów psychoanalitycznych red. M. Kulisia (skąd on np. wiedział, w którym momencie organizatorów ogarnęło rozczarowanie — ja patrząc na oficjalne uroczystości nigdy tego momentu nie wyłapuję!) należy wyrazić zdziwienie jego zaniepokojeniem związanym ze spokojnym przebiegiem manifestacji. Czyżby redaktor Mirosław Kuliś wolał, aby studentów spałowano i zamknięto? — ech pomarzyć. Co do zmartwienia niską liczbą demonstrantów — ależ redaktorze przecież Lenin mawiał „a z iskry wybuchnie płomień...". Jeżeli chodzi o konkretne zarzuty dotyczące przekłamań zawartych w wyżej wymienionym artykule:

1. Nikt nigdy nie planował przemarszu na plac Dąbrowskiego. Byłby to kierunek zupełnie z naszego punktu widzenia bezsensowny.

2. Co do groźby rzucania kamieniami w telewizję — obeszło się bez nich, bo telewizja sama odjechała. Zresztą nie należy się dziwić naszej niechęci do TV — szczególnie po obejrzeniu spreparowanego materiału z Krakowa.

3. Występujący na wiecu nie przedstawiali się, przecież występowali na wielu poprzednich wiecach i są doskonale znani członkom i sympatykom NZS.

4. Jeżeli zaś chodzi o osiągnięcie „legendarnego zrzeszenia" to NZS-owi zawdzięczamy w kontekście strajków styczniowo-lutowych 1981: wybieralność władz uczelni, zniesienie obligatoryjności nauczania języka rosyjskiego, autentyczne reprezentacje (z wyboru) studentów w ciałach kolegialnych np. w radach wydziałów, instytutów itp. Warto przypomnieć, że głównym organizatorem strajków studenckich styczniowo-lutowych było Niezależne Zrzeszenie Studentów!

5. Hasło „precz z komuną", skądinąd bardzo lotne, wyraża niechęć w stosunku do ustroju komunistycznego a nie do ZSRR — co z kolei można ująć pojęciem „antysowieckość". Nie ma chyba potrzeby tłumaczyć, że możliwe jest utrzymywanie dobrych stosunków z państwem, w którym panuje ustrój oceniany przez drugą stronę negatywnie.

6. Co do opisu wydarzeń krakowskich red. Mirosław Kuliś powołuje się na środki masowego przekazu — my na sprawozdanie naszych świadków, członków Zrzeszenia — czyje źródło jest bardziej wiarygodne? No cóż, każdy ma prawo mieć swoje zdanie na ten temat.

7. Jeżeli chodzi o weryfikację powyższych zarzutów, to jesteśmy w posiadaniu taśm z przebiegu wiecu. Z tego zapisu wynika nie tylko odmienny niż przedstawiony w sprawozdaniu kontekst niektórych wypowiedzi, ale wręcz odmienna ich treść!!!

W imieniu NZS UŁ, AM i PŁ

SZYMON BYCZKO
PIOTR WOJTCZAK
(„właściciel skórzanej kurtki")

Swego czasu, a było to dość dawno, pewien profesor prawa w jednej z polskich uczelni — przepraszam, że nie pomnę ani nazwiska profesora, ani nazwy uczelni — dokonał następującego eksperymentu. W czasie wykładu na salę wszedł jego asystent, którego profesor po krótkiej wymianie zdań uderzył w twarz. Asystent wyszedł, a profesor kazał studentom relacjonować przebieg zajścia. Relacje były sprzeczne i bardzo różne. Każdy z obserwatorów co innego dostrzegł, co innego zaabsorbowało jego uwagę. Historyjka ta przypomniała mi się podczas lektury listu studentów z NZS.

Relacja z każdej manifestacji powinna być obiektywna i w miarę możliwości pełna. Różnie z tym bywało i bywa. Sprawozdawca nie może być wszędzie i przy najlepszej wierze i maksimum dobrej woli musi dokonać selekcji, gdyż o wszystkim napisać nie sposób. Poza tym sprawozdawca nie jest maszyną i też ma swoje poglądy, co zawsze stanie się łyżką subiektywizmu w beczce optymizmu. Trudno mieć o to do niego pretensję. Czytelnicy zresztą lubią i cenią sprawozdawców, których stać na własne zdanie, z którym wcale nie muszą się zgadzać.

Jestem zwolennikiem pluralizmu, gdyż rozumiem jego nieuchronność. Ale pluralizm wyobrażam sobie w taki sposób, że każdy ma prawo powiedzieć swoje zdanie i spotka się ono z szacunkiem, nawet jeśli inni nie będą się z nim zgadzali. Szymon Byczko i Piotr Wojtczak pluralizm rozumieją odwrotnie. Następuje on wówczas, gdy inni przyjmują ich poglądy. Tylko, że taką lekcję już przerabialiśmy.

Niestety w liście obu wspomnianych autorów nie znajduję żadnych argumentów na to, żeby Mirosław Kuliś popełnił jakąś nierzetelność. Jeśli mimo to list ten drukuję, to właśnie w imię właściwie pojętego pluralizmu. Rozumiem, że są również studenci tak myślący, choć takiego sposobu myślenia — z braku argumentów przede wszystkim — nie podzielam. Nie podoba mi się i nie podzielam hasła: „precz z komuną", jak również nie mogę przyjąć mętnego sposobu jego uzasadnienia. Ale skoro padło i zostało powtórzone przyjmuję je do wiadomości. Tak jak przyjąłem do wiadomości treść publikowanego powyżej listu. Prosiłbym jednak na przyszłość, gdyby przedstawiciele NZS chcieli jeszcze polemizować na naszych łamach, aby dobrze taką polemikę przemyśleli. Emocje — to bardzo zły doradca.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAK SIĘ WYCHOWUJE... STUDENTÓW

Gdy po północy rozlega się pukanie do drzwi scenariusz działań jest niezmienny: sprawdzenie dokumentu uprawniającego do wstępu do akademika, otwarcie drzwi i już po wszystkim. Nocny wędrowiec zalega na przydzielonym mu standardowym wyrku, a portier standardowo zamyka drzwi. Obowiązek został obustronnie spełniony. Na oko wszystko zgodnie z regulaminem. A regulamin jest prosty: jednym daje prawo do wchodzenia i opuszczania domu o każdej porze, a innych (tym, którzy biorą za to pieniądze) nakazuje otwieranie i zamykanie drzwi. Skąd zatem tak wielka złość na twarzach portierów, kiedy muszą wypełnić swój nocny obowiązek?

Portier w nocy śpi. A zaspany portier, to zły portier. Nie dziwi zatem spóźnionej studentki rzucone pod jej adresem: to dziwka. Przecież we śnie gada się różne głupstwa, a spóźnialskiej trochę prawdy przed snem też się przyda.

Co prawda starsi mieszkańcy „Lumumbowa" twierdzą, że to jakaś nowa moda, że nawet zaspany portier potrafił kiedyś wpuszczając czy wypuszczając z akademika zamienić kilka przyjacielskich słów, a przynajmniej odpowiedzieć: „dobry wieczór" czy „dobranoc". Ale to już historia i brzmi trochę jak bajka. Młodsi nie bardzo chcą w nią wierzyć. Ale starsi są uparci i lansują teorię o świadomym urabianiu mieszkańców na wzór upodobań administracji i obsługi akademików.

Teoria jest sprytna. Zakłada, że portierzy zorientowawszy się, iż studenci nie znają jakby swych praw, postanowili wprowadzić inne, zwyczajowe, trochę wygodniejsze dla nich. Wprowadzanie nowego prawa zaczyna się od pierwszego rocznika studiów. Ten, wiadomo, trochę zastraszony i niepewny kłócić się nie będzie, dlatego na wszelki wypadek każde słowo portiera przyjmie jak wyrocznię.

Przesada? Być może, wszak to tylko punkt widzenia zdenerwowanych. Ale niektóre praktyki potwierdzają jakby tę wizję. Sprawdzenie „wejściówki", krótki od niechcenia rzucony tekst o tym, że rodzice nie byliby pewnie zadowoleni, gdyby wiedzieli o której ich dziecko wraca do domu i wreszcie można iść do pokoju. Co niektórym udaje się jeszcze wyłowić w tle kilka luźnych uwag na temat prowadzenia się. Ceremonia jest zakończona, ale w świadomości wchodzącego kołaczą się gdzieś słowa o rodzicach, o późnych powrotach. Czyżby delikatny szantaż?

Zdarzył się przecież wypadek powiadomienia żony studenta o niewierności męża. Tak, w czynie społecznym. Zdrada sama w sobie jest czynem niecnym, ale i denuncjacja to przeżytek, spóźniona jakieś trzydzieści parę lat.

I tak kwitnie przedszkole na „Lumumbowie". Dzieci zazwyczaj słuchają swych samozwańczych wychowawców, a jeśli któreś nieopatrznie zacznie się buntować, zostaje zapisane do tajnego zeszytu, zeszyt wędruje do administracji, a administracja... Nikt tego nie wie. Na razie dzieci mogą się jedynie domyślać.

Telefony odłączane są przed północą. Słuchawka z widełek i po kłopocie. Telefon, wiadomo, jedyna możliwość szybkiego kontaktu rodziców ze swymi pociechami mieszkającym na „Lumumbowie". Ale odłączony telefon to żaden telefon. Więc próbuj biedny rodzicu dodzwonić się w ważnej sprawie po północy do Łodzi. Lepiej już wsiąść w pociąg i zjawić się osobiście.

Awizowano kiedyś rozmowę międzynarodową z akademikiem nr II. Połączenie miało być zrealizowane o drugiej w nocy. Portier, zgodnie z regulaminem, powiadomił o tym zainteresowanego dodając jednak, że rozmowy nie przyjmie, bo o drugiej wszyscy powinni spać i koniec. I był koniec.

Przykłady można mnożyć, a każdy z nich mógłby dotyczyć innego aspektu życia studenckiego w osiedlu Uniwersytetu Łódzkiego. Tak prawdę mówiąc mieszkańcy nie mają nic przeciwko przesypianiu przez portierów ich nocnej służby. Gdyby jedynie wypełniali zadania zawarte w „zakresie obowiązków". A tak jest żal. Do kogo? Do wszystkich z wyjątkiem siebie. Ale czegóż tu chcieć od studentów? — zapytają studenci. Odpowiedź nie jest wcale trudna, bo mieszkaniec osiedla ma prawo wglądu w działania administracji, może wybierać sobie Rady Mieszkańców czyli ciała samorządowe będące w założeniach organami współdecydującymi o życiu w akademiku, może przelewać swoje żale i spostrzeżenia do książek skarg i wniosków. Ma prawo i dużo może, ale o tym nie wie. Czyja to wina?

Rady Mieszkańców mają prawo współdecydować o rozdziale pokoi przy kwaterowaniu na następny rok akademicki, mają obowiązek przedłużania wizyt po godzinie 23, mają jeszcze wiele innych praw i obowiązków. Ale któż ostatnio widział Rady przy pracy? Obrosły w piórka rutyny, ułożyły sobie stosunki z kierownictwem akademików, zaklepały dwuosobowe pokoje i nie w głowie im interwencje na rzecz studentów. Radę co prawda można zmienić. Jest przecież wybierana w tajnym głosowaniu, ale do tego trzeba znać prawo. Swoje prawo. Niewielu jest takich, którzy je znają, więc niewielu z niego korzysta dorabiając się zresztą przy tym opinii maciciela. A wystarczyłoby wpisać swe uwagi do „książki skarg i zażaleń", ale o jej istnieniu też niewielu wie.

WOJCIECH BARCZAK

SMUTNA PRZYSZŁOŚĆ PLUSZOWEGO MISIA

Zabawki w Polsce produkuje ponad 170 zakładów gospodarki uspołecznionej i około 2200 zakładów rzemieślniczych. Spółdzielcy zrzeszeni są w Krajowym Związku Spółdzielni Zabawkarskich z siedzibą w Kielcach, przy którym ciałem koordynującym jest Krajowe Porozumienie Przemysłu Zabawkarskiego, a obok niego istnieje jeszcze siedem porozumień terenowych.

Krajowa Giełda Zabawkarska „Wiosna '89", w pierwszych dniach marca, odbyła się w Łódzkim Pałacu Sportu. Uczestniczyło w niej 64 producentów, którzy zaprezentowali zabawki i nie tylko zabawki o ogólnej wartości 27 miliardów zł. Wzorem lat ubiegłych dochód z imprezy zasilił fundusz budowy Domu Dzieci Specjalnej Troski w Łodzi.

Duża różnorodność oferty mogła oszołomić klientów pustych i szarych sklepów zabawkarskich. Czego tam nie było? Pluszowe misie, kozy, krowy, kaczki, pingwiny, szmaciane i plastikowe lalki, dawno zapomniane drewniane klocki, puzzle, gry planszowe, nalepki, stroje dla przebierańców. O ile obecność na giełdzie metkownic i elektronicznych kas jako wyposażenia sklepów da się łatwo wytłumaczyć, o tyle guziki do pościeli i wkładki do układania glazury oraz figi bawełniane damskie i wyroby koszykarskie z Wietnamu obok pająca i samochodzików mogły trochę dziwić. Gorzej jednak, że nie wszystkie pluszaki były estetyczne, część misiów była bura i smutna, nawet najładniejszym zabawkom z tworzyw sztucznych daleko było do standardów światowych, tylko nieliczne stoiska tak naprawdę przyciągały wzrok intensywnymi kolorami, większość prezentowała się smutno, żółty kolor był ponury, a czerwony po prostu brudny.

Królowały wszechobecne Smurfy. W Polsce podszywanie się pod cudze znaki firmowe jest dosyć powszechnym procederem i teraz zachodnie firmy tropią i surowo karzą piratów. Przypomnijmy więc, że wszyscy, którzy chcą produkować nalepki ze Smurfami lub też ich podobizny, muszą wykupić licencję od Hanny-Barbery.

Przy Krajowym Porozumieniu Przemysłu Zabawkarskiego funkcjonuje Komisja Oceny Zabawek i Weryfikacji Opakowań, kontroli poddawane są wyroby ze względu na bezpieczeństwo i nieszkodliwość materiałów, z jakich zostały wykonane, bada się toksyczność barwników i jakość wykonania. Niestety estetyki nie da się wymierzyć ani ocenić — każdemu podoba się co innego.

Nasze tkaniny ogólnie cechuje siermiężna kolorystyka i faktura, odbija się to później na wyglądzie zabawki. Poziom przemysłu zabawkarskiego jest odbiciem mizerii polskiej gospodarki w ogóle producenci zdani są na surowce i półprodukty dostępne na naszym rynku. Polska myśl techniczna może nie jest gorsza niż zachodnia, tylko poziom techniki jest niższy. Uważa się, że nie sztuka zaprojektować zabawkę, tymczasem tylko niewielu plastyków specjalizuje się w tej dziedzinie.

Na świecie zabawki to wielki przemysł najwyższy poziom techniki i duży interes. Poszczególne państwa ustalają listę zabawek, które dotują lub zwalniają ich producentów od podatku. W NRD na przykład takim priorytetem cieszą się zabawki dla żłobków, wprowadzono tam również ochronę celną artykułów dziecięcych. Krajowe Porozumienie Przemysłu Zabawkarskiego chce we wrześniu 1989 roku zorganizować pierwsze w krajach socjalistycznych Międzynarodowe Targi Zabawkarskie „Intertoy '89", aby skonfrontować polskie dokonania z dorobkiem światowym, czerpać inspirację od innych, a przede wszystkim pokazać, jakim ważnym problemem są zabawki.

W Polsce przemysł zabawkarski nigdy nie był dotowany, gdyby kilka lat temu nie został zwolniony od podatku obrotowego, ceny zabawek byłyby jeszcze wyższe. Zabawki mają niską rentowność — niewiele ponad 10 proc. — na innych produktach dużo łatwiej zarobić, dlatego wytwórcy rezygnują z tego typu artykułów. Koszt inwestycji zwraca się dopiero po czterech latach, jedna wtryskarka kosztuje 4 mln zł, a do produkcji pojedynczej zabawki potrzeba ich kilka na uruchomienie produkcji należy nierzadko wyłożyć 60—100 milionów zł, a ryzyko duże. Relacje między cenami i kosztami w Polsce i na Zachodzie bardzo się różnią np. w RFN klocki z drewna kosztują czterokrotnie więcej niż zabawka elektroniczna. Być może warto byłoby eksportować nasze klocki, a w zamian kupować skomplikowane gry u producentów wyspecjalizowanych w tego typu artykułach.

MONIKA MATUSZAK

„TEN, KTÓRY UKRADŁ TELEWIZOR SWOJEJ ŻONIE".

Kwitujemy odbiór listów, które nadeszły do redakcji w związku z artykułem Andrzeja Gębarowskiego pt. „Ten, który ukradł telewizor swojej żonie".

Do sprawy powrócimy w niedługim czasie.

■

casio

- Sumatory biurowe 10-, 12-, 14- i 16-pozycyjne z drukarką i wyświetlaczem optycznym
- Kalkulatory inżynierskie
- Kalkulatory biurowe 8-, 10-pozycyjne
- Kalkulatory kieszonkowe
- Maszyny elektroniczne do pisania

- OVERLOCKI przemysłowe i półprzemysłowe oraz maszyny kuśnierskie

O F E R U J E

PRZEDSIĘBIORSTWO WIELOBRANŻOWE
„J A K R A N"
Radom, ul. Mariacka 4/6
tel. 248-31 tlx. 67 588 JAKRAN

jakran

818/k

DOM MODY „Jaga"

✱ odzież ✱ bielizna ✱ galanteria ✱ obuwie
oraz różne dodatki damskie, męskie i dziecięce

POSZUKUJE DOSTAWCÓW

Liczymy wyłącznie na artykuły wysokiej jakości, starannie wykonane o ciekawych modelach i formach.

Zapraszamy również jako dostawców zawodowych i amatorów plastyków, projektantów mody, studentów szkół artystycznych i odzieżowych, emerytów i rencistów oraz inne osoby, dla których szycie jest hobby.

Oczekujemy od poniedziałku do piątku w godz. od 12 do 18 Łódź, ul. Armii Ludowej 23 lub zgłoszenia telefonicznego tel. 31-99-10.

ZAWIADAMIAMY miłych klientów, że sklep rozpoczyna działalność 1 kwietnia 1989 r. w godz. 11—15 prezentacją kolekcji twórców nieprofesjonalnych.

1364/k

GIEŁDA towarowo samochodowa stadion SKS ·START·

Łódź ul. Teresy 56/58

1362/k

Kombinat Maszyn Włókienniczych wifama im. Wł. Gomułki

92-318 Łódź, ul. Armii Czerwonej 89

ZATRUDNI NATYCHMIAST

do bezpośredniej produkcji:

- TOKARZY
- FREZERÓW
- WIERTACZY
- SZLIFIERZY
- GALWANIZERÓW

oraz w Zakładzie Odlewniczym przy ul. Niciarnianej 41/45

- OCZYSZCZACZY ODLEWÓW
- FORMIERZY RĘCZNYCH I MASZYNOWYCH
- RDZENIARZY
- WYTAPIACZY

Zapewniamy wysokie pobory wg. zakładowego systemu wynagrodzeń oraz szeroki wachlarz świadczeń socjalnych.

Bliższych informacji dotyczących warunków pracy i płacy udzielają:
dział kadr — telefon 74-59-37
dział kadr odlewni — telefon 74-98-72
lub osobiście pod ww. adresami. 2299/k

Międzynarodowe Towarzystwo Gospodarcze
„TURYSTYKA I REKREACJA" Sp. z o.o.

Łódź, ul. Matejki 27
tel. 78-87-85 lub 78-55-01

OFERUJE SWOJE USŁUGI:

w zakresie projektowania i urządzania terenów zielonych

✱ PARKI
✱ ZIELEŃ OSIEDLOWA
✱ OGRODY PRZYDOMOWE (wille, dacze, letnie rezydencje)

1363/k

BIURO USŁUG CONSULTINGOWYCH
consult sp. z o.o.

JAKO PRZEDSTAWICIEL
FIRMY SINGAPURSKIEJ
✱ J E C ✱
oraz
ZACHODNIONIEMIECKIEJ FIRMY
✱ N A W R O T ✱

OFERUJE DOSTAWY:
✱ profesjonalnego sprzętu mikrokomputerowego klasy IBM XT/AT/386
✱ lokalnych sieci komputerowych
✱ drukarek, digitizerów, ploterów, innych urządzeń peryferyjnych

WYKONUJE OPROGRAMOWANIE:
◆ wspomaganie zarządzania (np. kadry, płace, gospodarka magazynowa itp.)
◆ narzędziowe (wielodostęp, komunikacja)
◆ numeryczne, statystyczne

GWARANTUJE:
► wysoką jakość dostarczonego sprzętu i oprogramowania
► kurs obsługi sprzętu i oprogramowania
► 12-miesięczny serwis gwarancyjny
► możliwość zakupu za złotówki i dewizy (osoby prawne i fizyczne)

PROWADZI:
▼ skup elementów, podzespołów, komputerów, i innych urządzeń

ZARZĄD
81-862 SOPOT
ul. Kujawska 38
tel. 51-69-21
tlx. 0512416 cons pl

ODDZIAŁ W ŁODZI
90-646 Łódź
ul. 22 Lipca 80
tel. 32-60-18
tlx. 884315 buk pl

1378/k

Humor i satyra.

Popatrzeć i uśmiać się

Na wystawie rysunków w galerii Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie, nazwanej „PASJANS SATYRYCZNY" ludzie bawią się znakomicie.

Bawi się też spore grono rysowników — artystów z Rzeszowszczyzny; nie oznacza to bynajmniej, że przywiązani są do regionu i że prace ich nie wykraczają daleko poza miejsce urodzenia. Łączy ich młody stosunkowo wiek; prawie wszyscy urodzeni są po roku pięćdziesiątym, również po sześćdziesiątym i jeśli wywodzą się z małych aglomeracji, takich jak Sieniawa, Nowa Sól i in., to miejscem ich studiów była Akademia Sztuk Pięknych, miejscem publikacji czasopisma (Henryk Cebula publikował i w „Odgłosach").

Prace ich eksponowane były na reprezentacyjnych wystawach krajowych, dowcip ich rysunków odbierali również bywalcy wystaw zagranicznych, bowiem wystawiali już i w Londynie i w Paryżu i w Montrealu, i w Japonii, w Kanadzie, w Walii, a nagród jakie zebrali, nie wyliczyłby nawet w bardzo obszernym rejestrze. Hajnos np. posiada już Brązową, Srebrną i Złotą Odznakę „Młodzi dla postępu", „Brązową szpilkę '84", udziałem Jerzego Lipca stał się Satyrykon, Henryk Cebula posiadł „Srebrną szpilkę '86".

Co uderza w ich pracach? Przy niewątpliwym staraniu o wysoki poziom artystyczny — klarowność, oczywistość tego, co zamierzają wyśmiać czy tylko łagodnie obśmiać.

Popatrzcie zresztą sami na reprodukowane rysunki.

CECYLIA BŁOŃSKA

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Politrymki

PRZESTROGA

Nadal tak dziarsko krocząc
w strajkowym szeregu
z kryzysu nie wyjdziemy,
wyjdziemy z obiegu!

Z ROZMOWY EKONOMISTÓW...

...bo według polskiej normy
szanowny panie kolego
drugi etap reformy
oznacza rozmach pierwszego...

PROPOZYCJA

Choć nie życiem pachnie to,
a bajka
może zrobić strajk przeciwko
strajkom?

REKORDZIŚCI

Zbyt dziś na wyżyny
sport polski nie wzlata
lecz w skokach cen mamy
chyba rekord świata...

FENOMEN

Rzecz wprost nie do wiary
ale daje słowo
czarne okulary,
a widzi różowo!

COŚ SIĘ ZMIENIA

Alfred się dzisiaj z Lechem
rolami zamienia
być może obaj mają wyrzuty
sumienia
i nie ma co wydziwiać i
stukać się w głowę
może właśnie w ten sposób
przyjdzie do nas nowe?

KONSEKWENTNIE

Jest propozycja
by opozycja
ta mniej zajadła
w rządzie zasiadła
A jak już zasiądzie
to na to wychodzi
będzie mieć swe zdanie
lecz się z nim nie zgodzi!

ZWIERZENIE

Rzucam fraszki w hasło
z miną niby butną
miało być wesoło
tu wyszło smutno...
i to już koniec
— fraszek też!

1 Nagłe zastępstwo

Naoczni świadkowie

Doprawdy trudno aż uwierzyć dokąd sięga indywidualna przedsiębiorczość rodaków, jakie obszary naszego życia już nie tylko gospodarczego zaczyna obejmować! Agencje detektywistyczne już działają, próba otwarcia domu publicznego jeszcze się nie powiodła, ale niech żywi nie tracą nadziei; urzędnik, który odmówił zgody na zarejestrowanie przybytku uciech powiedział wszak: na razie nie...

Plotka, którą niedawno zasłyszałem, głosi, że znana firma „Panasonic" to nic innego jak... spółka dwóch dziennikarzy z „Expressu Ilustrowanego" — Jerzy Panasewicz i Stanisław Ciesonik a nazwa powstała ze zbitki ich nazwisk.

Inna, dużo ciekawsza i bardziej elektryzująca plotka powiada, że w skład udziałowców różnych spółek, spółdzielń i innych prywatnych imprez gospodarczych znaleźć można nazwiska! Ho ho, albo jeszcze ważniejsze. Doskonale pamiętam jeszcze z lat sześćdziesiątych, że premier Józef Cyrankiewicz był właścicielem sieci ferm kurzych i lisich, miał udział w firmie „Inco" oraz dwa banki jeden w Bazylei, a drugi w Wiedniu Ba, znam faceta, który z ręką na sercu uroczyście przysięgał, że na własne oczka widział w eleganckiej dzielnicy Wiednia ogromny neon „Cyrankiewicz Bank"!

Udziały w różnych wysoce dochodowych firmach kawiarniana wieść gminna przypisywała (cytuję tylko to, co sam zapamiętałem) Jakubowi Bermanowi — w Szwajcarii i Izraelu, Mieczysławowi Moczarowi — nie pamiętam gdzie, ale chyba nie w Izraelu, Władysławowi Gomułce w Szwecji oraz — co oczywiste! — wszystkim kolejnym ministrom finansów, spraw zagranicznych i handlu zagranicznego. Trzeba przyznać, że nie tylko po stronie „koalicyjno-rządowej" lokowano te niesłychane pieniądze, zarobione nie bardzo uczciwie. Właścicielem wielkiego domu towarowego w Tel-Awiwie miał być generał Stanisław Maczek, siecią hoteli z największą liczbą gwiazdek dysponował kardynał Stefan Wyszyński i inni hierarchowie Kościoła w Polsce, łącznie z aktualnym prymasem!

Z najnowszych tego typu legend wymienić można kolosalny majątek Stefana Olszowskiego w Nowym Jorku i — tamże — duży, prywatny zupełnie bank ministra Zdzisława Krasińskiego, który przywłaszczył sobie wszystko, co wpłynęło do państwowej kasy z podwyżek cen za jego ministrowania (sic!).

Ciekawe, że nawet najbardziej nieodpowiedzialne i zaciekłe rozgłośnie zachodnie nie miały odwagi nic takiego mówić, bzdura była zbyt oczywista i, wbrew pozorom, w znacznej mierze sprawdzalna. Ale passa trwa. Nie wiem, jeszcze nic nie słyszałem o niewyobrażalnym majątku przewodniczącego Rady Państwa, premiera i ministrów, ale nic straconego, zapewne jeszcze usłyszę. Oczywiście nie od byle kogo tylko od zupełnie autentycznych i naocznych świadków.

Takie najzupełniej prawdziwe wiadomości zawsze znajdują chętnych słuchaczy. To jasne, poprawiają nam samopoczucie. Jest źle? Zarobki albańskie a ceny RFN-owskie? Wiadomo! A jeszcze jakie długi... To przecież prominenci wywieźli, zainwestowali albo nawet roztrwonili po knajpach i zamtuzach! A ile przegrali w Monte Carlo! (Przypomniało mi się: po okrągłym milionie dolców przegrali: były prezydent Warszawy i syn premiera Piotra Jaroszewicza, inni grali trochę cieniej, ale też przecież za nasze!). Jak ulał pasuje do tego anegdota Daniela Passenta sprzed lat: „Gierek zjadł wszystkie kotlety..."

No i wiadomo — gdzie są ciężko zarobione pieniądze naszej klasy robotniczej? Naszej światłej inteligencji i pracowitego chłopstwa? To co się marwić! Tylko zmienić władze a dobrobyt sam się zjawi, stoliczek sam się nakryje. Oczywiście, pod warunkiem, że się pana Adama Michnika dopuści do telewizji. Teraz nie jest dopuszczany do telewizji, wszyscy o tym wiedzą, bo sam o tym mówił w telewizji.

Wracając jednak do tego, co napisałem na początku. Czy to prawda, że wśród udziałowców spółek aż się roi od prezydentów, wojewodów, sekretarzy, dyrektorów, że nie wymienię komendantów USW różnych szczebli? „Naoczni" świadkowie gotowi są na to przysiąc...

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

O czytaniu książek

Zachodnioniemiecka rozgłośnia w Kolonii nadaje parę razy dziennie audycje w języku polskim. Niedawno słyszałem rozmowę przeprowadzoną z Marcelim Reich-Ranickim wybitnym współczesnym krytykiem literackim. Do niedawna był on redaktorem dodatku literackiego do „Frankfurter Zeitung", gdzie opublikował w odcinkach kilka współczesnych powieści polskich. Ranicki urodził się i ukończył studia w Polsce i tu także publikował w czasopismach i zbiorach esejów. Nadana z nim z Kolonii rozmowa dotyczyła polskiej literatury na niemieckim rynku czytelniczym. Ranicki mówił o niej z dużym znawstwem i sympatią. Mówił, że jest ona mało znana w Republice Federalnej Niemiec, gdzie zresztą — jak twierdzi — ludzie mniej czytają książek niż w Polsce. Krytyk niemiecki widzi dwie przyczyny tego zjawiska. Po pierwsze — obywatele zachodnioniemieccy mają do dyspozycji kilka programów telewizyjnych, ponadto korzystać mogą z programów telewizji francuskiej, angielskiej, holenderskiej, satelitarnej a także z wideotechniki i innych wynalazków tego typu. Wszystko to konkuruje w sposób wyrafinowany i skuteczny z książką.

Druga przyczyna jest bardziej subtelna — oto, powiada Ranicki, w kraju, gdzie istnieje silna cenzura, gdzie wiele spraw w środkach masowego przekazu się przemilcza, człowiek szuka odpowiedzi na dręczące go pytania w sztuce, która może mu tej odpowiedzi udzielić, chociaż nie wprost, w sposób dyskretny, zawoalowany. Literatura potrafi wiele powiedzieć poprzez alegorię, metaforę, aluzję i groteskę. Odczytanie takiej ukrytej prawdy, takiego aluzyjnego komentarza, stanowi dla czytelnika dodatkową satysfakcję i zwiększa jego zainteresowanie książką. To bardzo ciekawe spostrzeżenie i po sobie wiem, że nader prawdziwe.

Mamy teraz nareszcie czas, kiedy prasa bez ogródek i po prostu mówi o wszystkim, o wszystkim, co dzieje się teraz i o tym, co działo się jeszcze niedawno. Aż chciałoby się rzec, że to otwarcie upustów dla prawdy sprawiło, że ledwie nadążamy za jej przyswajaniem, że łapiemy chciwie każdą gazetę do rąk, wiedząc, że znów znajdziemy tu jakąś rewelację, dotychczas przed naszymi oczami ukrytą. Na książki, na powieści pozostaje mniej czasu i spada zainteresowanie nimi. To zachłyśnięcie się mnogością informacji i to informacji niezmiernie obchodzących każdego z nas, ten okres wielkich odkryć i stawienia przed sąd wszystkiego, co było skrzętnie ukrywane, skończy się przecież i rzeczy wrócą do normalnego trybu. Wrócą dawne proporcje pomiędzy informacją a sztuką. Książka wróci do swej właściwej roli i rangi. Zmienią się kryteria jej doboru przez wydawcę, a przede wszystkim przez czytelnika. I jeszcze będzie musiała walczyć z telewizją, wideotechniką i dalszymi wynalazkami tego typu. A to już będzie inna, niż dziś, sytuacja.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Pod prąd

Małe rozbrojenie

Kilka lat temu „Odgłosy" pisały o smutku w łódzkich i nie tylko łódzkich sklepach zabawkarskich. Że mały wybór, że zła jakość, kiepskie wzornictwo oraz — że choć od zakończenia II wojny światowej minęło już kilkadziesiąt lat, producenci zabawek i handlowcy wciąż wciskają naszym dzieciom w ręce karabiny, pistolety, czołgi, transportery opancerzone, tudzież inne militaria.

I co? Ano — nic. Na podwórkach malcy dalej biegają z plastikową bronią różnego kalibru, krzyczą „ta-ta-ta, ta-ta-ta, zabity!", zaś wytwórcy tych koszmarnych i budzących grozę imitacji sprzętu do sprawnego rabiania dalej doskonale prosperują i ani myślą zmieniać profilu swej „zbrojeniowej" produkcji. A jeśli już coś się zmienia, to tylko w ten sposób, że starsze typy uzbrojenia wypierane są przez nowe.

2.

Jeżeli chodzi o mnie, to nie miałem i nie mam złudzeń. Jak długo zabawki militarne będą produkowane, tak długo nie braknie na nie nabywców. Zabawa w wojnę dzieciom wydaje się pyszna, gdyż budzi emocje, a jeśli nawet przyjdzie w jej trakcie zginąć na polu chwały, to przecież — tylko na niby. Tak samo — w Dempseya i Makepeace, Bergeraca, czy co tam jeszcze telewizja akurat pokazuje, a małolaty otwarcie lub po kryjomu oglądają. Większość rodziców też zdaje się być z tego zadowolonych, bo synek, czy córeczka zajęci strzelaniem do wroga, albo tropiący groźnych przestępców z sąsiedniej klatki schodowej, nie plączą się pod nogami, nie marudzą i nie wymyślają zabaw z czynnym udziałem tatusia i mamusi, którzy zmęczeni pracą zawodową, staniem w kolejkach, sprzątaniem, mają przecież prawo do chwili spokoju.

3.

Polska była inicjatorem przyjęcia przez ONZ rezolucji w sprawie wychowania w duchu pokoju. Polska starała się prowadzić pokojową politykę. Polska doświadczyła wielu wojen, w tym dwóch światowych, a zakres zniszczeń i ofiar, jakie w ich wyniku poniosła, trudny jest często w innych krajach do wyobrażenia.

I oto w tej samej Polsce w prawie każdym kiosku „Ruchu" kupić dziś można pistolet, albo karabin. Trzy- czteroletnie szkraby wiedzą już, co to czołg, wyrzutnia rakiet taktycznych czy też samolot bombowy. Starszy zaś przychówek nie opuściłby ani jednego odcinka „Czterech pancernych i psa" gdyby ów serial pokazano w telewizji po raz, bodajże, siedemnasty.

4.

Nie jestem zwolennikiem administracyjnych zakazów. Nawet, jeśli taki zakaz miałby dotyczyć zabawek militarnych. Znam życie na tyle, by wiedzieć, iż zakazy pod różnymi pretekstami można łamać i omijać. Wiem też, że producenci zabawek — tak państwowi, jak i spółdzielczy, czy prywatni — nie daliby wcale łatwo za wygraną i „do ostatniej kropli krwi" bronili się, argumentując, iż robią to, na co jest zapotrzebowanie, a zatem ich działalność w tym kierunku jest społecznie uzasadniona.

Niemniej jestem głęboko przekonany, iż o tym, czy daną zabawkę dopuścić do sprzedaży, czy nie, powinna decydować odpowiednia komisja. Ta z kolei powinna zaś kierować się nie tylko walorami estetycznymi, czy jakością, ale również mieć na uwadze skutki, jakie wywołuje w psychice młodego człowieka nieodpowiednia zabawka. Można wszak zbadać to naukowo. Można zatrudnić psychologów, pedagogów...

Wszystko jednak wskazuje, że się tego nie robi.

5.

W ostatnim czasie opinia publiczna dowiedziała się o zmniejszaniu stanu liczebnego naszej armii, o likwidacji pewnych jednostek, o sprzedaży sprzętu, który zamiast wojsku, służył teraz będzie cywilom i była to, chyba dla wszystkich dobra wiadomość. Póki co, istnienie sił zbrojnych jest koniecznością, ale wszystko musi mieć swoją miarę.

Co stoi na przeszkodzie, aby po prawdziwej zająć się teraz bronią plastikową? Aby przyjrzeć się bliżej naszym kioskom i sklepom z zabawkami. Czy i w nich nie przydałoby się nam jakieś rozbrojenie?

JÓZEF RETMAN

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

Good – bye, Georgia! (9)

Georgia nie miała ochoty na wtapianie się w grupę żydowską. Początkowo zapraszano ich każdego wieczoru na towarzyskie „spędy", raz w jednym, raz w drugim mieszkaniu, zwykle zaczynało to się od wspólnej jazdy do kina, cztery samochody pełne ludzi, około dwudziestu osób, potem „Cafe de la Paix" na Bloor Street, albo węgierska kawiarenka na tyłach wciąż opanowanej przez dogasających hipisów dzielnicy Yorkville. Duch polubił te grupowe wyprawy, ponieważ zawsze znalazła się jakaś ładna dziewczyna, podtrzymująca emocje i budząca nadzieje na bliską przyszłość. Więc kiedy Georgia po kilku dniach odmówiła, Duch spędzał sam wieczory w grupie nowych przyjaciół.

Najbardziej dawała mu w kość nieznajomość języka. Czuł się jak kaleka. Kurs jeszcze się nie zaczął i Duch załatwiał wszystko na migi. Kanadyjczycy nie są jednak ludźmi tak dobrze wytrenowanymi w migach, jak Polacy czy Rosjanie. Według nich każdy powinien znać angielski, w ogóle człowiek bez angielskiego to jakby przybysz z Marsa. Grupa żydowska władała angielskim przyzwoicie po czterech latach, i kiedy poszli do klubu jazzowego „Old Brunswick", albo do ogromnej niemieckiej piwiarni pod nazwą „Bavaria", Duch z zazdrością patrzył na swobodnie poruszających się kolegów. Sam nie potrafił nawet zamówić niczego, bardziej skomplikowanego niż piwo czy golonka. Angielski jest wymagający — nie wystarczy znać pewną ilość słów, trzeba przede wszystkim znać system połączeń. A tego nie można się nauczyć samemu, ba, nawet wieloletnie studia uniwersyteckie dają mało w porównaniu z jednym rokiem prawdziwego życia w kraju anglojęzycznym.

Duch jednakże był tu dopiero kilka tygodni i masa dźwięków, która go otaczała, budziła strach i niewiarę we własne siły. Nie potrafił rozróżnić osobnych słów, nawet tych, które znał. Każdy człowiek wypowiadał je inaczej, zlewały się z innymi, był to jeden nieustający bełkot, mający przecież jakieś swoje, zupełnie nieznane Duchowi prawa. Zresztą, nawet kiedy skończył kurs i porozumiewał się z ludźmi w pracy, nie szło tak, jak powinno. Wyobrażał sobie, że kiedy „pozna" angielski, będzie się mógł nim posługiwać w ten sam sposób, w jaki posługiwał się polskim. Że po prostu wystarczy przełożyć błyskawicznie na angielski to, co sobie po polsku pomyślał, i już wszystko zagra. I tu właśnie ponosił klęski.

Po latach Duch zna prawdę, dotyczącą angielskiego, prawdę, w którą wielu ludzi nie chce uwierzyć — bo pytają go w Polsce, w ile czasu można opanować angielski. Duch odpowiada: w miesiąc. A kiedy nie wierzą, dodaje: albo w pięć lat. To jest jego prawda. Pięć lat nieustannego zatopienia w morzu angielskim, pięć lat życia z kobietą, która posługuje się wyłącznie tym językiem, pięć lat pracy z Kanadyjczykami, czy Amerykanami, i to pracy w handlu, gdzie trzeba gadać godzinami, używać telefonu i pisać — pięć lat, w czasie których mózg zaczyna myśleć wyłącznie po angielsku, to jest właściwy okres nauki. Kiedy ktoś gwałtownie zbudzi cię w środku nocy, i zamiast: „O Jezu, co się stało?", wykrzykniesz: „What the hell's goin' on?" — dopiero wtedy możesz powiedzieć, że władasz angielskim. I nie ma tu znaczenia jeden czy drugi błąd, który popełnisz, czy nawet sto błędów, których nie popełni dyplomant uniwersytetu. Polacy robią błędy we własnym języku, Kanadyjczycy w swoim też. Ale to są ich własne języki, ich własne życie w obszarze tych języków, dlatego są Polakami, albo Kanadyjczykami. Jest się tym, w jakim języku się myśli.

Duch na razie był kaleką, niemową, nikim. Oglądał filmy z Jamesem Bondem, jeździł do kompleksu rozrywkowego nad jeziorem, zwanego „Ontario Place", zwiedzał miasto, przeżywał romans z Eva Mannix, ale był odcięty od kanadyjskiej rzeczywistości niewidzialną szybą, której przebić nie było sposobu. Wiedział, że musi minąć określony czas, że tylko czas wessie go w życie tego kraju.

Georgia inaczej. Znała angielski już przedtem, oczywiście była to znajomość szkolna, podstawowa. Ale mogła się dogadać. Jean-Berthold dzwonił prawie codziennie z Brukseli i rozmawiali po angielsku. To znaczy, on mówił, Georgia słuchała, czasami tylko wstawiając jakieś krótkie zdanie w potok dźwiękowej spermy zakochanego samca. Duch początkowo próbował przetrzymywać te konwersacje, siedział milcząco w pokoju, ale trwały coraz dłużej, godzinę, dwie, w końcu zaraz na początku wynosił się z domu, ale ile można spacerować około północy w dzielnicy odległej od śródmieścia, bez grosza przy duszy? Nieraz wracał po dwóch godzinach, a oni jeszcze gadali.

— Skończ z tym — powiedział pewnego dnia — bo już nie mogę wytrzymać.

— Zazdrosny jesteś?

— Ja? Jeżeli, to chyba nie o ciebie.

Ale nie wiedział, jak sobie samemu wytłumaczyć to, że go dzwonienie Belga denerwuje. Możliwe, że trwanie tych rozmów uzmysławiało mu nędzę, w jakiej żyje — kosztowały majątek. Tamtego było stać nawet na nieustanne, non stop trzymanie otwartej linii z Kanadą, na pewno odpisywał sobie te wydatki od podatków, że niby rozmawia w interesach. Duch był po prostu upokorzony, ale nie miało to nic wspólnego z Georgią, jako z kobietą. Spali zresztą osobno.

Próbowałem kilkakrotnie ściągnąć Georgię do mojego mieszkania, które wynajmowałem w zachodniej dzielnicy miasta, pełnej pijaków, prostytutek i karaluchów. Zawsze unikała tej przyjemności. Zabawa ze mną w układzie kanadyjskim nie by jej nie dała. Tak samo jak Duch, znajdowałem się w sytuacji beznadziejnej. Droga do góry z tego dna, zarówno finansowego, jak i społecznego, będzie trwała wiele lat, to było jasne. Byliśmy złapani w pułapkę, ale Georgia była wolna. Nigdy jeszcze nie była w pułapce, i tym razem też nie miała zamiaru dzielić naszego losu.

Stawała się coraz bardziej nerwowa. Jej pojedynek z arystokratą belgijskim trwał już za długo. Wiedziała, że najbliższe dni powinny przynieść rozwiązanie: wóz albo przewóz. Pragnęła, żeby po nią przyjechał, wtedy jej los byłby raz na zawsze określony po stronie „ma".

Tymczasem żyła z zapomogi, otrzymywanej z Manpower. Nie miała zamiaru naruszyć tej masy forsy, którą dostała przed wyjazdem z Brukseli od Felixa i Jean-Bertholda. To był kapitał, który na drugi dzień po przyjeździe umieściła w banku, żeby zbierał odsetki. Gdyby urzędnicy wiedzieli, że ona dysponuje sumą, za którą można było w tym czasie kupić w Toronto używany dom — a nowy kosztował niespełna dwa razy tyle! — to by jej zapomogi nie przyznali. Na pytanie, ile Georgia wwozi z sobą, odpowiedziała, że nic. I słusznie.

Ale nerwy puszczały. Kiedyś Duch wrócił do domu głodny. Georgii nie było. Otworzył wielką lodówę — w środku pusto. Tylko samotny pojemnik z „cottage cheese", takim twarożkiem kanadyjskim, do którego trzeba się przyzwyczaić, żeby smakował. Nawet chleba nie było. Duch złapał łyżkę, wyjadł pół pojemnika i popił wodą.

Wróciła Georgia i do lodówki. Otwiera pojemnik.

— Do jasnej cholery! Kto wyżarł mój serek?!

Biegnie do Ducha, podtyka mu pojemnik pod nos.

— Był pełny! To jest moje, rozumiesz?! Dla siebie to kupiłam, nie dla ciebie, skurwysynu! Masz swoją zapomogę, to się za nią odżywiaj. Jeszcze raz ruszysz moje, to mnie popamiętasz na całe życie!

Duch miał kilka reakcji do wyboru: albo dać jej w mordę, albo kopnąć ją w dupę, albo zbluźnić, albo wyjść, albo zaszantażować, że powie w Manpower o forsie w banku. Mógł zresztą zrobić to wszystko naraz. Nie zrobił nic. Siedział i patrzył, jak ta głupia suka wyżera łyżką twarożek. Też bez chleba, bo nie kupiła. Żal jej było forsy, myślała, że przymusi Ducha do kupienia, i wtedy weźmie parę kromek. Duch nawalił, pewnie to ją rozwścieczyło. Ale nie popiła wodą, tylko naparzyła sobie herbaty. Uwielbiała herbatę. Na szczęście bez cukru, bo cukru też nie było.

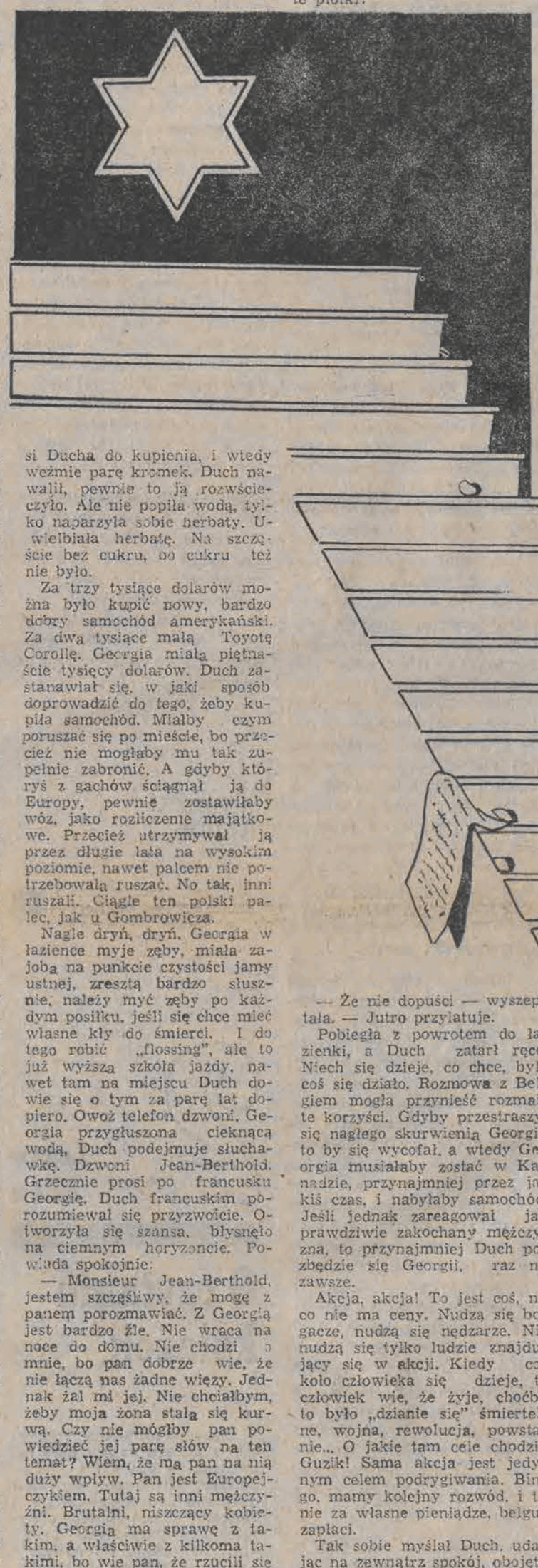

Za trzy tysiące dolarów można było kupić nowy, bardzo dobry samochód amerykański. Za dwa tysiące małą Toyotę Corollę. Georgia miała piętnaście tysięcy dolarów. Duch zastanawiał się, w jaki sposób doprowadzić do tego, żeby kupiła samochód. Miałby czym poruszać się po mieście, bo przecież nie mogłaby mu tak zupełnie zabronić. A gdyby któryś z gachów ściągnął ją do Europy, pewnie zostawiłaby wóz, jako rozliczenie majątkowe. Przecież utrzymywał ją przez długie lata na wysokim poziomie, nawet palcem nie potrzebowała ruszać. No tak, inni ruszali. Ciągle ten polski palec, jak u Gombrowicza.

Nagle dryń, dryń. Georgia w łazience myje zęby, miała zajoba na punkcie czystości jamy ustnej, zresztą bardzo słusznie, należy myć zęby po każdym posiłku, jeśli się chce mieć własne kły do śmierci. I do tego robić „flossing", ale to już wyższa szkoła jazdy, nawet tam na miejscu Duch dowie się o tym za parę lat dopiero. Owoż telefon dzwoni. Georgia przygłuszona cieknącą wodą, Duch podejmuje słuchawkę. Dzwoni Jean-Berthold. Grzecznie prosi po francusku Georgię. Duch francuskim porozumiewał się przyzwoicie. Otworzyła się szansa, błysnęło na ciemnym horyzoncie. Powiada spokojnie:

— Monsieur Jean-Berthold, jestem szczęśliwy, że mogę z panem porozmawiać. Z Georgią jest bardzo źle. Nie wraca na noce do domu. Nie chodzi o mnie, bo pan dobrze wie, że nie łączą nas żadne więzy. Jednak żal mi jej. Nie chciałbym, żeby moja żona stała się kurwą. Czy nie mógłby pan powiedzieć jej parę słów na ten temat? Wiem, że ma pan na nią duży wpływ. Pan jest Europejczykiem. Tutaj są inni mężczyźni. Brutalni, niszczący kobiety. Georgia ma sprawę z takim, a właściwie z kilkoma takimi, bo wie pan, że rzucili się na nią jak jastrzębie na kanarka. Najgorszy jest taki jeden milioner z Teksasu, który tu ma szyby naftowe w Albercie. On nawet chciał mnie zabić. Jeżeli Georgia za niego wyjdzie, to będzie klęska dla Europy, nie mówiąc już o niej samej...

Zdławionym głosem Jean-Berthold poprosił, żeby Georgia podeszła do telefonu. Duch ochoczo pobiegł do łazienki. Jego żona wściekle szorowała swój aparat do kruszenia, miażdżenia i żucia pokarmów.

— Dzwoni twój opiekun — rzucił oschle.

Rzuciła szczotkę do wanny i z pianą w gębie, przelykając ją pośpiesznie, pobiegła do living-roomu.

— Yes? Jean-Berthold? Oh, how nice to hear you again, dear!

Nagle zamilkła. Otwarła usta i strużka białej miętowej śliny wypłynęła na brodę, po czym zawisła dość niepewnie nad stolikiem, chwiejąc się i wydłużając. Twarz Georgii robiła się blada, i wyglądało to tak, jakby ktoś do białej kawy dolewał coraz więcej mleka. Wreszcie piana spadła na telefon, resztę Georgia przełknęła, wybąkała kilka przytaknięć i rozmowa się skończyła.

Georgia podeszła do Jana.

— Coś ty mu nagadał?

— Ja? Przecież nie znam angielskiego.

— Musiałeś mu nagadać po francusku. O jakichś facetach...

— Niemożliwe! Może przeczytał gdzieś w prasie. I co on na te plotki?

— Że nie dopuści — wyszeptała. — Jutro przylatuje.

Pobiegła z powrotem do łazienki, a Duch zatarł ręce. Niech się dzieje, co chce, byle coś się działo. Rozmowa z Belgiem mogła przynieść rozmaite korzyści. Gdyby przestraszył się nagłego skurwienia Georgii, to by się wycofał, a wtedy Georgia musiałaby zostać w Kanadzie, przynajmniej przez jakiś czas, i nabyłaby samochód. Jeśli jednak zareagował jak prawdziwie zakochany mężczyzna, to przynajmniej Duch pozbędzie się Georgii, raz na zawsze.

Akcja, akcja! To jest coś, na co nie ma ceny. Nudzą się bogacze, nudzą się nędzarze. Nie nudzą się tylko ludzie znajdujący się w akcji. Kiedy coś koło człowieka się dzieje, to człowiek wie, że żyje, choćby to było „dzianie się" śmiertelne, wojna, rewolucja, powstanie... O jakie tam cele chodzi? Guzik! Sama akcja jest jedynym celem podrygiwania. Bingo, mamy kolejny rozwód, i to nie za własne pieniądze, belgus zapłaci.

Tak sobie myślał Duch, udając na zewnątrz spokój, obojętność. Georgia nie spała całą noc. Myślał sobie, że może i warto byłoby zerżnąć ją po raz ostatni, dla dobrej kompozycji losu. Ale ten perwersyjny pomysł mógłby okazać się zbyt trudny do zrealizowania, ponieważ Duch nie miał na tę kobietę najmniejszej ochoty.

Następnego dnia usunął się z domu wcześnie. Georgia dopiero w południe miała jechać autobusem na lotnisko, by przywitać kochanka. Dlaczego autobusem? Taksówka nie kosztowałaby więcej niż dwadzieścia dolarów. Rozwijało się w rozrzutnej niegdyś dziewczynie skąpstwo. No, ale kiedyś rozrzucała nie swoje pieniądze, tylko Ducha. Teraz wolałaby sobie krwi upuścić niż uszczuplić konto.

Cały dzień spędził samotnie, jeżdżąc bez celu subwayem, odwiedzając księgarnie, wpartując się w masy książek, wywalonych w skrzyniach na przecenie, ustawionych na półkach nie grzbietami do klienta, tylko całą powierzchnią okładek. Nie zajmowało to więcej miejsca, ponieważ za jedną książką było ich jeszcze dziesięć, lub więcej, a kiedy weźmiesz odpowiednią ilość książek, to czy ustawisz je grzbietem do siebie, czy okładką, paczka będzie tej samej grubości. Klient jest atakowany frontalnie setkami kolorów, błyszczących liter, rysunków, fotografii na okładkach. Tysiące książek! Co chwila powtarza się słowo „bestseller" na nalepkach. Duch bierze te książki w łapy, obraca, wącha, ocenia jakość papieru, otwiera brutalnie, spodziewając się, że grzbiet puści i źle przyklejone kartki polecą na podłogę. Nic z tego. Ach, żeby rozumiał choć słowo! Tyle tu do czytania! Można brodzić w tym sezamie godzinami, nikt się człowiekiem nie zainteresuje, nie popędza, nie zmusza do kupna. Księgarnia operuje na innych zasadach niż każdy inny sklep.

W końcu w pewnym domu towarowym, takim dla biedoty, Duch widzi wielką skrzynię na kołach, w której znajdują się rajstopy w porozrywanych opakowaniach. Dlatego są na przecenie. Jakieś spocone, czarno ubrane Włoszki i Portugalki grzebią w tym bałaganie. Ale są też tam książki, po 25 centów, twarde oprawy, z obwolutą. I nagle Duch widzi: Jerzy Andrzejewski — „Ciemności kryją ziemię". Domyślił się, że to ten tytuł. Obejrzał, zobaczył wstęp, podpisany przez cwaniaka, występującego pod nazwą Kott. Poczuł piekący wstyd. Kiedy odwiedzał Andrzejewskiego w Warszawie i patrzył na regał, dźwigający tłumaczenia książek pisarza na ponad czterdzieści języków, odczuwał tchnienie wielkiego, lepszego świata. I nagle idol sprowadzony w kałużę; utwór który sprowokował na pewien czas gorączkową aktywność krytyki polskiej, teraz rzucony między majtki dla nędzarek. Obok niego Chinki, Węgierki, Hinduski w długich sari, Greczynki i Hiszpanki, cała nędza świata śmierdząca czosnkiem i curry, zwalona tutaj jak gruz, który ma wskrzesić się w postaci człowieka za sprawą Boga-Dolara, a w tym bagnie cichy jak mumia, tak zwany znakomity pisarz polski.

Duch przypomniał sobie tytuł eseju jakiegoś mędrca, w którymś z krajowych miesięczników: „Jerzego Andrzejewskiego dramat postaw moralnych", coś tak nadętego i nudnego, że nie przeczytał. Dramat postaw moralnych? Co to takiego? Co to jest moralność? Co to jest literatura? W skłębionym życiu pięciu miliardów istnień ludzkich na globie cóż znaczy mysi głos jakiegoś pisarzyny, produkującego mamrotanie w nic nie znaczącym narzeczu?

Wtedy nastąpiło pierwsze z małych przejaśnień w koszu na śmieci Jana Ducha, zwanym głową. Pierwszy raz poczuł znikomość lokalnych wielkości, wynikających z układów. Kraj jest układem, powiat jest układem, klasa „czwarta B" jest układem w jednej z niezliczonych szkół na planecie. Dwoje dzieci na podwórku to układ, stosunek wielkości. Jeden jest wielki, inny mały. Gromady myszy, plemiona karaluchów. Karaluch z Indii — co wie o karaluchu z Japonii? I co wiedzą oba te stworzenia o karaluchu żerującym w Polsce?

Ogrom świata, potęga anonimowości, potworna przewaga biologii nad abstrakcją — oto, co zobaczył Jan Duch, patrząc w skrzynię pełną damskich majtek i pończoch gdzieś po drugiej stronie Atlantyku. I od tej pory... Tak, chyba od tamtej pory ma w dupie to, co inni o nim powiedzą. Zrozumiał, że ci inni są niczym, po prostu nie istnieją, i on dla nich też nie istnieje. Tak, podróże kształcą. Muszą to być jednak bardzo dalekie, bardzo długie podróże. Był chyba jedynym facetem w Ameryce Północnej, który kupił tę książkę Andrzejewskiego, wydaną przez jakiś uniwerek. Po pewnym czasie, kiedy już czytał po angielsku, dowiedział się z chełpliwej, pełnej wyższości przedmowy pajaca, że to on właśnie zarekomendował ten utwór do wydania. Niby, że bez jego rekomendacji kiops, mister Andrzejewski... No właśnie. Ale co za znaczenie dla Ameryki Północnej miało wydanie tej sterty papieru?

Więc Duchowi zwisa Kantalupą to, co o nim mówią. Lecz trzeba prowokować, żeby mówili. Bo z hałasu rodzą się pieniądze. A z pieniędzy buduje się mur, a dopiero za murem można żyć swoim własnym, prywatnym życiem — i za ten mur nie wpuszcza się tych, którzy mówią. Przetarg nicości odbywa się podczas krótkich wypadów do magazynu z majtkami.

Georgia zniknęła na dwa tygodnie. Jean-Berthold wynajął samochód i pojechali do Ottawy, do Montrealu, a także do miejscowości o nazwie Warsaw. Kochanek zrobił jej zdjęcie pod tablicą miasteczka, i to zdjęcie Georgia przysłała Duchowi na pamiątkę. Kiedy wróciła, Belg już leciał do Europy. Ona miała podążyć za nim natychmiast.

Tak też się stało. Nie zdążyła nawet spakować wszystkich swoich rzeczy, Duch musiał jej później wysłać kilka paczek pod wskazany w liście adres.

Następnego ranka odwiózł ją na lotnisko. Dała mu dwadzieścia dolarów na powrót taksówką. Zjedli galaretkę owocową w restauracji samoobsługowej na Terminal Two. Potem szybko przeszła za barierę nie oglądając się już.

Wyszedł na zewnątrz i stojąc przy niskim murku, wieńczącym taras, który wtedy był jeszcze w budowie, patrzył na wielki „jet" Sabeny, podnoszący się pod dużym kątem w powietrze.

Kiedy samolot znikną, Duch spostrzegł, że twarz ma mokrą od łez. Godzinę później poszedł do autobusu.

C.D.N.

Rys. Dariusz Romanowicz